



Mieczysław Szustakowski

# Od Zbaraża do Wrocławia – na Czarnym Tatarskim Szlaku

## Wspomnienia



Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej  
Wrocław 2010

Publikacja pod patronatem Stowarzyszenia Absolwentów Politechniki Wrocławskiej  
wydana z okazji 100-lecia Uczelni Technicznych we Wrocławiu  
oraz 65-lecia Politechniki Wrocławskiej

Publikacja finansowana przez:  
Prorektora ds. Organizacji Politechniki Wrocławskiej, prof. Jerzego Walendziewskiego  
Dziekana Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej, prof. Andrzeja Matynię  
Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Wrocławskiej  
Pracownie Badawczo-Projektowe „EKOSYSTEM” Sp. z o.o., Zielona Góra

Opracowanie redakcyjne i korekta  
Agnieszka Ściepuro

Projekt okładki  
Dominika Osadców-Będkowska

Fotografie – archiwum autora i Eugeniusza Jaworskiego

Wcześniej wydanie książki pt. *Wspomnienia zbaraskie i inne 1934–2006*  
opublikowano nakładem własnym autora, Wrocław 2006.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki, zarówno w całości,  
jak i we fragmentach, nie może być reprodukowana w sposób elektroniczny,  
fotograficzny i inny bez zgody wydawcy i właściciela praw autorskich.

© Copyright by Oficyna Wydawnicza Politechniki Wrocławskiej, Wrocław 2010

OFICYNA WYDAWNICZA POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

Wybrzeże Wyspiańskiego 27, 50-370 Wrocław  
<http://www.oficyna.pwr.wroc.pl>; e-mail: [oficwyd@pwr.wroc.pl](mailto:oficwyd@pwr.wroc.pl)

ISBN 978-83-7493-550-0

Drukarnia Oficyny Wydawniczej Politechniki Wrocławskiej. Zam. nr 854/2010.

## Spis treści

Słowo wstępne .....	5
Od autora .....	7
1. Zbaraż i ziemia zbaraska .....	9
2. Kościół oo. Bernardynów w Zbarażu .....	19
3. Mój mały świat .....	27
3.1. Ulica Długa w Zbarażu .....	27
3.2. Wrzesień 1939 roku .....	33
3.3. Okupacja niemiecka .....	35
3.4. Wyzwolenie i brak nadziei .....	37
4. Dom rodzinny .....	41
4.1. Polacy na Ukrainie .....	41
4.2. Rodzina i dom rodzinny .....	44
5. Ewakuacja .....	55
5.1. Zagrożenie .....	55
5.2. Przygotowania .....	58
5.3. Wyjazd .....	59
6. Na Dolnym Śląsku .....	67
6.1. Ziemia „obiecana” .....	67
6.2. Nowi osadnicy .....	69
6.3. Moje nowe miejsce na ziemi .....	77
7. Opowieści z ław szkolnych .....	79
7.1. Szkoła podstawowa w Zbarażu .....	79
7.2. Szkoła podstawowa w Żeliszowie .....	81
7.3. Technikum Chemiczne w Jeleniej Górze .....	84
8. Studia i praca .....	91
8.1. Studia .....	91
8.2. Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna .....	98
8.3. Studium Doktoranckie .....	99
8.4. Instytut Chemii Fizycznej PAN .....	99
8.5. Politechnika Wroclawska .....	100
8.6. Politechnika i Uniwersytet Zielonogórski .....	107
8.7. Staż naukowy .....	108
8.8. Studenckie praktyki zagraniczne .....	114
8.9. „Solidarność” .....	118
8.10. Konferencje i seminaria .....	121
8.11. Sport, turystyka i rekreacja .....	123

9. Mój trabant .....	127
10. Moje pielgrzymki na Kresy .....	131
10.1. W Zbarażu po 50 latach .....	131
10.2. Rekonsekracja kościoła oo. Bernardynów w Zbarażu .....	139
10.3. Pielgrzymka na Kresy, 12–19 lipca 2005 r. ....	140
10.4. Podróż do rodzinnej ziemi zbaraskiej – Zbaraż 2009 r. ....	149
Bibliografia .....	155
Załączniki .....	157
1. Miejscowości na ziemi zbaraskiej na prawach gminy .....	159
2. Udokumentowana liczba zamordowanych Polaków przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA w powiecie Zbaraż w latach 1939–1946 r. ....	162
3. Plan Przedmieścia Tarnopolskiego w Zbarażu przed 1939 r. ....	163
4. Plan Kretowiec w powiecie Zbaraż przed 1945 r. ....	164
5. Plan Hrycowiec w powiecie Zbaraż przed 1945 r. ....	165
6. Plan Zarudzia w powiecie Zbaraż przed 1945 r. ....	166
7. Plan Wałachówki w powiecie Zbaraż przed 1945 r. ....	167
8. Lista mieszkańców ulicy Długiej w Zbarażu przed 1945 r. ....	168
9. Mieszkańcy Załuża Małego k. Zbaraża w czasie II wojny światowej .....	169
10. Mieszkańcy Ustronia i Żeliszowa po wojnie w 1945 r. ....	170
11. Opis mienia pozostawionego w Zbarażu przez Tomasza Szustakowskiego w 1946 r. Archiwum Państwowe w Tarnopolu, 2007 r. ....	172
12. Akt nadania gospodarstwa Tomaszowi Szustakowskiemu, 1960 r. ....	173
13. Świadectwo z I klasy szkoły podstawowej w Zbarażu, 1942 r. ....	174
14. Świadectwo ukończenia klasy IIIA szkoły podstawowej w Zbarażu, 1945 r. ....	175

# Słowo wstępne

Szanowni Czytelnicy,

rok 2010 jest rokiem jubileuszowym dla naszej Uczelni – Politechniki Wrocławskiej. Z tej okazji Stowarzyszenie Absolwentów Politechniki Wrocławskiej postanowiło wesprzeć inicjatywę publikacji wspomnień jej absolwentów. Stowarzyszenie ogłosiło między innymi konkurs pt. „Politechnika w mojej pamięci”, w wyniku którego powstała książka pod tym samym tytułem. W ten nurt wpisuje się również wydanie w postaci osobnej publikacji wspomnień naszego absolwenta Pana Mieczysława Szustakowskiego. Ciekawe przeżycia autora – opisane na tle jakże ważnych dla Polski wydarzeń z okresu II wojny światowej, tułaczki narodu polskiego, odbudowy kraju – pozwalają poznać historię widzianą z perspektywy znacznej części Polaków. Stowarzyszenie Absolwentów jest dumne, że może wspierać takie inicjatywy.

Sierpień 2010 r.

Jerzy Łaskawiec  
przewodniczący SAPWr.



## Od autora

Znane powiedzenie mówi, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; moje koleje losu doprowadziły mnie do Wrocławia. Po drodze były wspomnienia, a inspiracją do wspomnień stała się ziemia zbaraska i ziemia dolnośląska. Tak się składa, że obie te ziemie leżą na historycznym Czarnym Szlaku Tatarskim, którym w czasie pokoju wędrowali kupcy, a w okresie wojny zagony mongolskie i kozackie. Po wielu latach my również podążyliśmy tą drogą na zachód.

Ziemia zbaraska była moją „małą ojczyzną”, ponieważ tam się urodziłem i spędziłem lata dziecięce, natomiast ziemia Dolnego Śląska stała się przystanią, gdzie osiadłem z rodziną na stałe. Po II wojnie światowej setki tysięcy polskich mieszkańców Kresów Wschodnich zostało wysiedlonych i opuściło ziemię swoich przodków, udając się na ziemie zachodnie i północne Polski. Już w listopadzie 1945 roku i później do Ustronia i Żyrardówka na Dolnym Śląsku przybyli Polacy – głównie z Czahar, Kretowiec, Maksymówki i innych miejscowości z okolic Zbaraża. Opuścili oni ziemię swoich przodków z powodu zagrożenia życia ze strony ukraińskich nacjonalistów oraz polityki władz radzieckich, dających Polakom alternatywę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego lub, w przypadku odmowy, zesłania na Sybir. Przesiedleńcy jechali długie tygodnie transportami kolejowymi w wagonach towarowych. Zabrali najcenniejszy dobytek w postaci inwentarza żywego i martwego. Opiekę nad nimi sprawował Polski Urząd Repatriacyjny. Inną grupą nowych mieszkańców Ustronia i Żyrardówka byli emigranci z Kujaw, Białorusi, Podkarpacia i innych obszarów. Przybywali też ludzie wywiezieni w czasie wojny na roboty do Niemiec. W zajmowanych domach przebywały jeszcze ciągle niemieckie rodziny: kobiety, małe dzieci i staruszki. Po ich wysiedleniu osadnicy podjęli życie pionierów na „dzikim zachodzie”. Dzisiaj rosną tu już kolejne pokolenia, dla których ziemia te stają się ich „małą ojczyzną”.

Szczególną uwagę poświęcam mojej „małej ojczyźnie”, jaką była okolica widziana z perspektywy ulicy Długiej w Zbarażu. Na ziemi tej od wieków spletały się losy narodowości ruskiej, polskiej i żydowskiej. Po wiośnie ludów zaczął się okres kształtowania świadomości społecznej, w wyniku którego dochodziło do polaryzacji świadomości narodowej i politycznej ludzi zamieszkujących to wspólne miejsce na ziemi.

Efektom tego procesu były tragiczne wydarzenia w czasie II wojny światowej oraz jego skutki po wojnie.

W rozdziałach poświęconych rodzinie, życiu, szkole, studiom i pracy wspominam drogę jaką wielu, podobnych do mnie, młodych ludzi pochodzenia kresowego, przeszło w trudnym okresie przemian zachodzących w Polsce w czasie i po II wojnie światowej. Wiele miejsca w moich wspomnieniach zajmują studia i praca na Politechnice Wrocławskiej. Opisuję także warunki odbywania praktyki podoktorskiej w Instytucie Technologicznym w ramach umowy między Polską a ZSRR. Wspominam też o wymiennych praktykach zagranicznych studentów, konferencjach naukowych oraz „Solidarności”. Natomiast o początkach rozwoju masowej motoryzacji w Polsce piszę w rozdziale *Mój trabant*. Wreszcie rozdział poświęcony pielgrzymce na Kresy nawiązuje do historii i tęsknoty za ziemią naszych przodków.

Należę do pokolenia, które uczyło się historii w zgiełku wojny i terroru. W swoich wspomnieniach staram się poznawać historię z różnych punktów widzenia, ponieważ zdaję sobie sprawę, że czytelnicy mogą mieć różne poglądy na przebieg tych samych wydarzeń. Często nie zadajemy sobie trudu, aby postawić pytanie, jak postąpilibyśmy na miejscu naszych oponentów – sąsiadów. Moje wspomnienia, które dotyczą dwóch odległych od siebie regionów, starałem się ulokować w przestrzeni geograficzno-histerycznej Tatarskiego Szlaku, kiedy to w krótkim czasie miały miejsce niezwykle przemiany, od epoki glinianych chat pod strzechą do ery atomowej i elektroniki.



# 1. Zbaraż i ziemia zbaraska

Miasto Zbaraż leży nad rzeką Gniezną na pograniczu Wołynia i Podola. Kiedyś rzeka tworzyła rozlewiska, bagna i stawy – jeden Bazarzyniecki, drugi Zbaraski, które stwarzały naturalny system obronny miasta. Przez ziemie te przebiegał tzw. Czarny Szlak Tatarski<sup>1</sup>, którym w czasach pokoju wędrowały karawany kupców, natomiast w czasach licznych wojen tędy ze wschodu ciągnęły czambuły wojsk Mongołów, Tatarów, Turków i Kozaków.

Początki historii Zbaraża giną w mrokach przeszłości. Pierwsze wzmianki o Zbarażu pochodzą z lat 1211–1213, kiedy polski król Leszek Biały wspomagał księcia ruskiego, Daniela Romanowicza, w walce o tron księstwa Halickiego. Książęta polscy i ruscy wchodzili wtedy wielokrotnie w bliskie związki pokrewieństwa i wzajemnie się wspomagali w chwilach zagrożenia. Takim zagrożeniem były właśnie między książętami oraz Tatarzy, którzy przez około sto lat utrzymywali Ruś pod jarzmem zależności. W roku 1340 Kazimierz Wielki przejął Ruś Czerwoną w ramach sukcesji rodzinnej po Bolesławie Trojdenowiczu. Po przejściowej przynależności do Węgrów, królowa Jadwiga odzyskała te ziemie dla Polski w 1387 roku. Ziemie Rusi Czerwonej, leżące na obszarze szlaków łączących wschód z zachodem, były terenem częstych najazdów Mongołów, Tatarów i Turków. Również Litwini, Węgrzy i Wołosi byli zainteresowani tymi żyznymi ziemiami. Ich bezpieczeństwa strzegły grody w Krzemieńcu, Kamieńcu Podolskim i Starym Zbarażu. Zamek obronny w Starym Zbarażu, mimo dogodnego położenia, nie zapewniał dostatecznej obrony, dlatego książę Krzysztof Zbaraski postanowił założyć nowy gród w Nowym Zbarażu. Skuteczna obrona tego grodu przez skromną załogę zamku w 1649 roku przed wielokrotnie większymi siłami Bohdana Chmielnickiego i Tatarów przyniosła mu sławę, opisaną następnie barwnie przez Henryka Sienkiewicza w powieści „Ogniem i mieczem”.



<sup>1</sup> H. Ślaski, *Zbaraż w przeszłości i teraźniejszości*, PTTK, Tarnopol 1934, s. 15.

Częste walki sprzyjały wyniszczeniu ziemi i mieszkańców. W powstałej próżni osiedlali się ludzie, m.in. z Polski. Przybywali oni z Wielkopolski, Małopolski, Śląska, Mazur, Podhala, Podlasia oraz Beskidów<sup>2</sup>. Były to czasy feudalne. Każdy mieszkaniec tej ziemi był poddany księcia, bez względu na wyznanie, język i pochodzenie. W owych czasach nikt nie zmuszał nikogo do zmiany swej mowy ojczystej i wiary, ani nie prześladował z tego powodu. Ludzie dzielili się na poddanych, duchownych i stan dobrze urodzonych – majątnych.

Nie dysponujemy danymi gęstości zamieszkania ziemi zbaraskiej w okresie I Rzeczypospolitej. Według Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego<sup>3</sup> w roku 1890 w Zbarażu żyło 8785 mieszkańców, z czego 2992 (34,1%) rzymskich katolików, 2161 (24,6%) grekokatolików i 3632 (41,3%) izraelitów. Mieszkańcy miasta deklarowali narodowość polską w 74,5%, ruską w 25,4% i niemiecką w 0,1%. Zupełnie inne proporcje były w powiecie. Wypadały one bardziej korzystnie dla społeczności ruskiej. Na ogólną liczbę 66722 mieszkańców powiatu zbaraskiego – 41714 (62,5%) osób było wyznania grekokatolickiego, 19080 (28,6%) rzymskich katolików i 5898 (8,8%) izraelitów. Języka ukraińskiego używało w tym czasie 45112 (67,7%), polskiego 20249 (30,4%) i niemieckiego 1300 (4,6%). Ciekawe informacje uzyskujemy też na temat szkolnictwa; oprócz pięcioklasowej szkoły o profilu żeńskim i męskim, w powiecie było pięć szkół dwuklasowych oraz dwadzieścia dziewięć szkół jednoklasowych. Językiem nauczania był ukraiński w 25 szkołach, polski w 9 szkołach, a w dwóch szkołach używano języka polskiego i ukraińskiego. Liczba dzieci w wieku 6–12 lat, objętych nauczaniem w roku szkolnym 1894/1895 wynosiła 7906, z czego do szkoły uczęszczało jedynie 5130 dzieci. Blisko pół wieku później, w okresie zmienionych warunków politycznych II Rzeczypospolitej, spis ludności w 1931 roku w powiecie zbaraskim wykazał 66160 mieszkańców, z czego 87% przypadało na ludność wiejską. Do społeczności polskiej przyznawało się 32983 (49%), do ruskiej 29966 (46%) i żydowskiej 3231 (5%) osób<sup>4</sup>. Była to znaczna różnica w stosunku do spisu z roku 1890, którą być może należałoby przypisać bardziej uwarunkowaniom politycznym niż demograficznym. W latach trzydziestych dwudziestego wieku Zbaraż liczył około 8,5 tysięcy mieszkańców, z czego większość stanowili Polacy i Żydzi. Dzisiaj zarówno Polacy, jak i Ukraińcy opowiadają, że społeczności te żyły obok siebie zgodnie, bez większych konfliktów. Ta równowaga została naruszona w dwudziestym wieku, w szczególności podczas II wojny światowej. Najpierw wymordowano Żydów, a następnie przystąpiono do eksterminacji Polaków.

Na przestrzeni lat każda grupa etniczna podtrzymywała swoje rodzime zwyczaje oraz język i wyznanie. Duże znaczenie w integracji społeczności polskiej miał Ko-

<sup>2</sup> J. Kachel, *Dzieje kościoła i klasztoru Ojców Bernardynów w Zbarażu (1628–1946)*, Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 2001, s. 133.

<sup>3</sup> *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Zbaraż, Tom XIV, s. 509, Internet: [http://dir.icm.edu.pl/pl/slownik-geograficzny/tom\\_XIV/509](http://dir.icm.edu.pl/pl/slownik-geograficzny/tom_XIV/509) 1980–1914.

<sup>4</sup> H. Ślaski, *Zbaraż w przeszłości...*, dz. cyt., s. 26.

ściół. Kontakty różnych społeczności wywierały na siebie wpływ. W ten sposób na przestrzeni wieków kultura przybyszów na tych ziemiach ulegała ewolucji. Szczególnym wpływom poddawane były jednostki pozostające w rozproszeniu, które odrywały się od swojej kultury, przyjmując kulturę miejscową. Charakterystycznym zjawiskiem był wpływ języka ukraińskiego na język polski. Na przykład, kiedy do grupy Polaków rozmawiających po polsku przyłączał się chociaż jeden Rusin, natychmiast dalsza rozmowa toczyła się w języku ukraińskim. W wyniku wzajemnego oddziaływania język nabierał charakteru gwarowego. Społeczeństwo ziemi zbaraskiej żyło pozostając przez długi czas w stosunkach podległości feudalnej, a następnie monarchii konstytucyjnej. Brak własnej państwowości łączył Polaków i Ukraińców; szczególnie najniższe warstwy społeczne, podlegające obowiązkom pańszczyźnianym. Ojczyzną dla tych prostych ludzi była Austria, a dobrym panem – cesarz Franciszek Józef. Zniesienie pańszczyzny w połowie XIX wieku wyzwoliło wśród społeczności chłopskiej poczucie swobody, z czym mogła się wiązać świadomość narodowa. W tym czasie nie było jeszcze wśród ludności ziemi zbaraskiej radykalnego nacjonalizmu. Zaczynało natomiast budzić się silne poczucie odrębności wyznaniowej oraz narodowej, która nabrała szczególnego znaczenia w XX wieku. W tym bowiem okresie zaczęły zaznaczać się silne antagonizmy narodowe między Polakami i Ukraińcami w dążeniu do wyzwolenia narodowego i uzyskania własnej państwowości. Kontrowersyjny pogląd na temat stosunków polsko-ukraińskich na ziemi zbaraskiej wyraża Iwan Praszko<sup>5</sup>. Twierdzi on, że na ziemi zbaraskiej nie wszyscy rzymscy katolicy byli Polakami. Jeszcze za jego pamięci na Tarnopolskim Przedmieściu Zbaraża, na Załużu, Bazarzyńcach i w wielu wsiach zbaraskich, żyło wielu rzymskich katolików, którzy posługiwali się językiem ukraińskim, brali udział w ukraińskim życiu i czuli się Ukraińcami. Nie znali oni zupełnie polskiej mowy, ale będąc rzymskimi katolikami, uczęszczali do kościoła. Twierdzi on dalej, iż duchowieństwo kościoła rzymskokatolickiego z końcem XIX wieku, a szczególnie za czasów Polski międzywojennej, zaczęło bardzo intensywnie polonizować rzymskokatolickich Ukraińców. Szczególną rolę w tym procesie miał odegrać zakon oo. bernardynów, który działał w Zbarażu oraz w okolicznych wioskach. Wskutek tego działania, takie wioski jak: Netreba, Kretowce, Hrycowce, Wałachówka, Zarudzie, Jacowce, które na początku dziewiętnastego stulecia należały do wiosek mieszanych, za czasów Polski stały się wioskami czysto polskimi, natomiast wioski: Kurniki, Zarubińce, Opryłowce, Stary Zbaraż, Czahary, Klebanówki, w których żyło wielu rzymskokatolickich Ukraińców, pod różnymi naciskami, a najbardziej pod wpływem polskiego duchowieństwa, zmieniała się w wioski mieszane lub nawet z przewagą polskiego elementu!

Powyższe poglądy wydają się mieć charakter wybitnie polityczny, a przywołane zostały w celu wyjaśnienia nacjonalizmu ukraińskiego. Nasuwa się bowiem pytanie

---

<sup>5</sup> W. Żiła (red.), *Zbarażczina*, t. 1, Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki, Nowy Jork–Paryż–Sydney–Toronto 1980, s. 233.

skąd na Rusi wzięli się Ukraińcy wyznania rzymskokatolickiego, gdzie religią pierwotną i dominującą rdzennej ludności było tam od wieków prawosławie, a na zachodniej Ukrainie wyznanie greckokatolickie? Prawdopodobnym wytłumaczeniem tego zjawiska był wzrost świadomości zarówno ludności polskiej, jak i ukraińskiej, w czym swój udział miał kościół i cerkiew oraz rozwój oświaty. Faktem jest, że Polacy znali język ukraiński, a Ukraińcy język polski.

Do historycznych pamiątek Zbaraża należą: zamek, kościół z klasztorem oo. Bernardynów z dzwoniczami, synagoga oraz cerkwie – mała i duża. Najśłynniejszym zabytkiem miasta jest zamek zbaraski. Pierwotnie zamek był zbudowany w Starym Zbarażu, oddalonym o niecałe cztery kilometry od dzisiejszego zamku. Został on zniszczony przez Mongołów. Jego ruiny przetrwały do czasów współczesnych, kiedy to ostatecznie władze radzieckie wykorzystały pochodzący z ruin kamień do naprawy dróg! Nowy zamek zbaraski został zbudowany i ufortyfikowany w latach 1621–1631 przez Jerzego Zbaraskiego według projektu włoskiego architekta Wincenta Skamociego. Po bezpotomnej śmierci książąt Zbaraskich, ziemia zbaraska przeszła na własność książąt Wiśniowieckich z pobliskiego Wiśniowca. W tym czasie zamek został ufortyfikowany przez architekta holenderskiego Henryka van Poene. Już w roku 1649 zamek bronił się skutecznie przed 300 tys. armią Kozaków Chmielnickiego oraz 100 tys. tatarskich wojowników Islam Gereja. Zamek zbaraski wraz z twierdzami w Kamieńcu Podolskim w Krzemieńcu oraz innymi zamkami na Podolu stanowił obronę Kresów Rzeczypospolitej przed zagrożeniem od wschodu. Przechodził on różne koleje losu, oprócz sukcesów ponosił też klęski. W roku 1675 został zdobyty przez tureckie zastępy Ibrahima Szyszmana i zmieniony w ruiny. Z ruin zamek dźwignął Dymitr Wiśniowiecki. Po jego śmierci Zbaraż uzyskał w 1689 r. magdeburskie prawa miejskie<sup>6</sup>. Następnie dobra zbaraskie wraz z zamkiem odziedziczył Józef Potocki. Za jego czasów zamek był dwukrotnie zajmowany w 1707 i 1734 roku przez wojska rosyjskie, które zwalczały siły konfederacji barskiej. Po śmierci Józefa hr. Potockiego zamek odziedziczył jego syn Stanisław, a następnie wnuk Wincenty Potocki. Czasy Wincentego hr. Potockiego są znamienne z powodu procesu, jaki mieszkańcy (w oryginale mieszczanie i przedmieszczanie) Zbaraża wytoczyli hrabiemu za bezprawne zmuszanie ich w okresie od 1 listopada 1786 roku do końca października 1801 roku do robót szarwarkowych przy budowie domu dworskiego dla urzędników wojskowych. Należy przypuszczać, że mieszczanie i przedmieszczanie Zbaraża stanowili grupę ludzi wyzwolonych, a hrabia nadal traktował ich jako swoich poddanych pańszczyźnianych. Ponadto z procesu wynika, że sprawa dotyczyła mieszkańców wyznania katolickiego. Interesujący opis tego wydarzenia znajdujemy w małej broszurce pt. *Garść wiadomości o zabytkach Zbaraża*, napisanej przez anonimowego kierownika Szkoły Powszechnej Żeńskiej w Zbarażu

---

<sup>6</sup> G. Rąkowski, *Przewodnik po Ukrainie Zachodniej*, cz. II, *Podole*, Pruszków 2006, s. 79.

w maju 1933 roku<sup>7</sup>. Proces toczył się przed Komisją Urzędu Cyrkularnego w Tarnopolu, w wyniku którego Wincenty hr. Potocki został skazany, na mocy dekretu Urzędu Gubernialnego z 13 listopada 1801 roku, na zapłacenie kary 34814 florenów polskich oraz na taką samą sumę zapłaty mieszkańcom Zbaraża za wykonywaną pracę. Po procesie hr. Potocki zawarł w dniu 15 kwietnia 1803 roku ugodę przez pełnomocnictwo z mieszkańcami Zbaraża wyznania katolickiego, w której mieszkańcy zrzekli się sumy 69628 florenów polskich w zamian za przyznane przez Wincentego hr. Potockiego na rzecz mieszczan i przedmieszczan Zbaraża, po wieczyste czasy, następujących ustępstw:

1. Prawo działania i sądzenia (jurysdykcja realna) mieszczan i przedmieszczan przelał w całości na Magistrat miasta.

2. Wszystkie domy, ogrody, pola, sianożęcia, pastwiska, pasieki w obrębie przedmieść: tarnopolskiego, przygródeckiego i żałozieckiego posiadane przez mieszczan i przedmieszczan darował posiadającym, z tym warunkiem, że mieli oni opłacać pewne kwoty na rzecz hr. Potockiego i jego spadkobierców, np. od domu w rynku 18 fl. pol., przy ulicy 8 fl. pol., na zaułkach 4 fl. pol., na przedmieściach za dom z ogrodem 5 fl. pol., od morgi lasu 1 fl. pol. rocznie itp.

3. Wyrzekł się pobierania tzw. „świńszczyzny” i „owczyzny”.

4. Wyrzekł się pobierania dziesięciny od pni pasiek tzw. „oczkowego” i ustanowił stałą opłatę roczną na 834 fl. pol. i 28 gr.

5. Oddał mieszczanom i przedmieszczanom 79 morgów i 1564 sążni pól w obrębie miasta położonych, tzw. pospolicie „bokowych” pod pasieki za opłatą po 2 fl. pol. i 20 gr. za morgę.

6. Oddał na pastwiska dla mieszczan i przedmieszczan chrześcijan 97 morgów i 634 sążni tzw. wygonów, zastrzegając sobie stawianie wiatraków i wypas bydła przez urzędników dworu oraz to, że pastwiska te nie mogą być zabudowane!

7. W młynach: przygródeckim, kornijowskim i starozbaraskim zastrzegł pierwszeństwo mlewu na jednym kamieniu w każdym młynie, dla mieszczan i przedmieszczan Zbaraża za opłatą normalnej miarki, za co mieszczanie i przedmieszczanie mieli utrzymywać drogi do tych młynów i groble w dobrym stanie.

8. Wyrzekł się tzw. „żarnowego” i nakładania wszelkich robót i ciężarów nieujętych w umowie.

Umowa została zatwierdzona przez Wincentego hr. Potockiego w Brodach 9 grudnia 1803 roku, a następnie przez Sąd Okręgowy w Tarnopolu 20 marca 1809 roku. (*Na podstawie wpisu w dawnej tabuli krajowej przechowywanej w Archiwum Państwowym we Lwowie, Lib. Instrumentorum t. 147, pag. 247–255*). Rezultaty opisanych wyżej wydarzeń wyprzedzały znacznie czasy uwłaszczenia chłopów w Galicji.

W roku 1893 dobra zbarskie przeszły w posiadanie Nientowskich, zaś około 1908 w ręce Jawetzów. W roku 1833 gen. Józef Bem urządził w zamku cukrownię. Do

<sup>7</sup> *Garść wiadomości o zabytkach Zbaraża*, Zbaraż 1939, broszura.

ostatecznego upadku zamku doprowadziła I wojna światowa. W zamku zostały wtedy zakwaterowane wojska rosyjskie, które dla pozyskania drewna na opał rozebrały dach i sufit, a także uszkodziły mury obronne zamku. Obecnie zamek jest odbudowywany. Stanowi bowiem zabytek historii i architektury.

Najstarszym zabytkiem miasta była prawdopodobnie synagoga, zbudowana w 1537 roku. Jej losy były podobne do historii innych budowli sakralnych miasta. Podobnie jak kościół uległa ona spaleniowi w roku 1675, a następnie została odnowiona staraniem Potoczków w 1755 roku. Ponownemu zniszczeniu uległa za okupacji niemieckiej w 1941 roku, a po wojnie, po odbudowie, została adaptowana na zakład produkcyjny.

Kościół rzymskokatolicki oo. Bernardynów pod wezwaniem św. Antoniego oraz św. Jerzego został ufundowany przez Stanisława Potockiego i zbudowany w latach 1746–1752 według projektu i pod kierunkiem Antoniego Ganca z Kierniowa na Śląsku. Wcześniej zakon oo. bernardynów sprowadził do Zbaraża Jerzy Zbaraski, kasztelan krakowski. Zbudowali oni początkowo mały klasztor oraz kościół, który został zniszczony przez najazd Tatarów w 1675 roku. Jednak już w 1676 rozpoczęto budowę nowego, większego kościoła i klasztoru. W tym czasie rolę kościoła parafialnego pełnił kościół farny. Kiedy ten spłonął, kościołem parafialnym, aż do czasów współczesnych, został kościół oo. Bernardynów. Przed II wojną światową w klasztorze oo. Bernardynów znajdowało się Liceum im. Henryka Sienkiewicza. Kościół ucierpiał w roku 1941, kiedy to w czasie ustępowania Armii Czerwonej przed Niemcami, spaliły się wieże kościelne. Poważnemu uszkodzeniu uległa wtedy też ściana kościoła na skutek uderzenia w nią czołgu sowieckiego, który przebiwszy się przez mur okalający kościół, zatrzymał się na murze kościelnym. Najbardziej jednak kościół ucierpiał po wojnie. Został on wtedy poddany całkowitej dewastacji fizycznej, i co się z tym wiąże również moralnej. Od strony południowej do kościoła przylegał klasztor oo. Bernardynów. Budynki klasztorne, będące w trakcie remontu, uległy niedawno częściowo ponownemu spaleniowi! Obecnie, poszczególne pomieszczenia klasztoru są przekazywane przez władze miasta na cele komercyjne.

Dzwonnica kościelna została zbudowana w latach 1627–1630. Jej styl architektoniczny – późny renesans – nawiązuje do wcześniejszego, już nieistniejącego, kościoła farnego. Pewne późniejsze rekonstrukcje jej fragmentów są wykonane w stylu barokowym. Innym zabytkiem jest mała cerkiew Uspienska. Obecna architektura cerkwi w stylu barokowym przypomina kościół katolicki. Kiedyś opowiadano, że dawniej był to kościółek katolicki, jednak Mandrik i Werboweckij<sup>8</sup> twierdzą, że styl cerkwi jest wynikiem łańciskiej stylizacji po Unii w 1596 roku. Nie przeszkodziło to, dobudowaniu już współcześnie wieżyczki, która nadaje budowli bardziej cerkiewny charakter. Wielka cerkiew Woskresienska znajduje się w zachodniej części miasta. Została zbudowana w latach 1760–1764 przez Mikołaja Potockiego w stylu barokowym. W okresie 1960–1989 cerkiew była zamknięta. Obecnie odrestaurowana przeżywa swą dawną świetność. Charakterystyczną cechą dawnego Zbaraża był jego naturalny

---

<sup>8</sup> *Zbaraż misto w Medoborach*, 1996, dodatek do czasopisma „Wisnik istorii kraju”, broszura, s. 15.

ekumenizm. Domy modlitwy dla Żydów, Rusinów i Polaków fundowali Potoccy. Poddani natomiast współżyli zgodnie, nawzajem się szanując, niejednokrotnie brali udział w obrządkach swych sąsiadów, a przynajmniej je honorowali.

W różnych miejscach, przy ulicach miasta oraz przy drogach polnych za miastem, stały niegdyś liczne figury świętych: Antoniego, Jana Nepomucena, Mikołaja, Matki Bożej Różańcowej i inne, które nadawały ziemi zbaraskiej osobliwy charakter. Figury świętych były obce kulturze chrześcijaństwa wschodniego, w którym były powszechnie czczone szczególnie ikony świętych. W okresie powojennym przydrożne figury zostały przez komunistów prawie całkowicie usunięte i zniszczone, z małymi jednak wyjątkami. Wyjątkiem była między innymi figura, która zachowała się w Łubiankach Wyższych, dzięki postawie miejscowej ludności ukraińskiej. Również w zaułku samego Zbaraża, w drodze na Stary Zbaraż, odkryłem na wysokim cokole figurę św. Grzegorza. Wydaje się, że ambicją obecnych władz miasta jest nawiązanie do dobrych, starych tradycji. Po pięćdziesięciu latach moją uwagę zwróciła charakterystyczna kamienna kapliczka z figurą świętego, którą pamiętałem z dzieciństwa przy Czarnym Moście, nad rzeką Gniezną. W czasach radzieckich figura ta została usunięta i zniszczona, dzieląc los wielu innych podobnych obiektów sakralnych, jako świadectwo minionych czasów. Słyszałem, że po upadku imperium radzieckiego, w miejsce starej rzeźby, wstawiono figurę-nagrobek św. Jana Nepomucena, pochodzącą prosto z cmentarza w Zbarażu. Stała ona podobno wcześniej na grobie Jana Gurgurewicza, niegdyś obywatela tego miasta i krewnego ze strony mojej matki. Trzeba dodać, że cmentarze w Zbarażu są prawdziwym muzeum kamiennych dzieł miejscowej sztuki cmentarnej.

Idąc w kierunku stacji kolejowej można było dojść do cmentarza komunalnego: greckokatolickiego, rzymskokatolickiego oraz cmentarza żydowskiego. Cmentarz żydowski został zniszczony podczas okupacji niemieckiej. Dzisiaj pozostało po nim tylko kilkadziesiąt maceb. Cmentarz polski, na którym nie ma większych oznak dewastacji, znalazł opiekunów z Polski w osobach państwa Aliny i Ireneusza Skrzypczaków z Fundacji Longinus w Łańcucie<sup>9</sup>. Całość cmentarza stanowi dzisiaj zabytkową nekropolię. Znalazłem tam również, w dobrym stanie, nagrobek mego dziadka, Antoniego Szustakowskiego. Najstarsze nagrobki na tym cmentarzu pochodzą z połowy XIX wieku. Wcześniej zmarłych grzebano przy kościele na farze, gdzie znajdowano później ślady pochówków w czasie prowadzonych tam prac budowlanych. Oficjalne obrzędy ponownego pochówku ekshumowanych szczątków zmarłych na nowym cmentarzu komunalnym odprawiono 27 lutego 1793 roku. Wcześniejsze groby wiernych greckokatolickich znajdują się na cmentarzu w Załużu. Tam też znalazłem nagrobki przodków mego dziadka ze strony matki – Łukasza Komendata.

Na południe od rynku, w dole nad rzeką Gniezną, znajdowała się dzielnica żydowska – getto. Pamiętam, że była to gęsto zabudowana część miasta, którą poznałem później,

<sup>9</sup>A. Skrzypczak, I. Skrzypczak, *Polski cmentarz w Zbarażu, inskrypcje nagrobne*, Fundacja Longinus, Rzeszów 2010, s. 15.

gdy jej mieszkańców już tam nie było. Byłem w owym czasie zbyt młody, aby poznać bliżej mieszkańców tej dzielnicy. W szkole nie mogłem ich poznać, ponieważ swoją edukację szkolną zacząłem podczas okupacji niemieckiej w 1941 roku. W domu często padały żydowskie nazwiska wymieniane przez rodziców: kupców, lekarzy. Pamiętam, że lekarzem do czasów okupacji niemieckiej był Landau. Pamiętam też zbieraczy surowców wtórnych, wołających: *butelki, szmaty, pierze kupuję...* W okresie międzywojennym dawał o sobie znać konflikt interesów społeczeństwa rolniczego i komercyjnego. Konflikt ten nie miał jednak nic wspólnego z tym, co się stało przyczyną akcji prowadzonej przez faszystowskie Niemcy, w wyniku której w krótkim czasie jedna trzecia mieszkańców miasta została fizycznie wyeliminowana. Polska część mieszkańców Zbaraża opuściła swoją ojcowiznę w latach 1945–1946, bojąc się unicestwienia. Dawna, charakterystyczna atmosfera małego miasteczka kresowego bezpowrotnie minęła. Pozostały jedynie pożółkłe fotografie i pocztówki starego, romantycznego świata i wspomnienia tych, którzy tam żyli i jeszcze gdzieś może żyją na całym świecie. Zastanawiam się czy dzisiejsi mieszkańcy miasta, którego ludność wzrosła do około piętnastu tysięcy mieszkańców, zdają sobie sprawę z tego, co naprawdę stało się tam kilkadziesiąt lat temu. Liczne rodziny ukraińskie przesiedlone z Polski mieszkają dzisiaj w naszych dawnych domach na ziemi zbaraskiej. Wiele z nich wybudowało domy na miejscu starych chat. Niektórzy z nich jednak twierdzą, że wróciliby chętnie na ziemi swoich przodków. Widocznie tęsknota do miejsca urodzenia nie omija nikogo.

Zbaraż otaczały przedmieścia: Przygródek, Dłużek, Tarnopolskie Przedmieście oraz Załuże Duże i Małe. Ponadto wyróżniano osiedla: Garb, Sadki, Laski i Dębina. Dalej znajdowały się liczne wioski: Stary Zbaraż, Bazarzyńce, Tarasówka, Czernichowie, Stryjówka, Kretowce, Hrycowce, Łubianki Wyższe, Łubianki Mniejsze, Czahary Zbaraskie, Maksymówka, Czarny Las, Nowe Siolo, Nowy Rogowiec, Wałachówka, Ochrymowce, Zarudzie i inne. Z wymienionych wiosek tylko Kretowce, Hrycowce, Ochrymowce, Wałachówka i Zarudzie były zamieszkałe prawie wyłącznie przez ludność polską, natomiast w Stryjówce, Maksymówce i Czaharach Zbaraskich mieszkała znaczna liczba Polaków. W pozostałych miejscowościach proporcje Polaków i Ukraińców były różne, aczkolwiek chyba z przewagą lub znaczną przewagą tych ostatnich. Jak podaje abp Ignacy Tokarczuk, w Łubiankach Wyższych w roku 1880 na ogólną liczbę 1554 mieszkańców w gminie było ok. 250 Polaków i 1300 Ukraińców. Miejscowości na prawach gminy z 1929 roku oraz mapę powiatu Zbaraż przedstawia załącznik nr 1.

Stosunki społeczne i zwyczaje w wioskach zbaraskich w okresie międzywojennym bliżej opisują: Tokarczuk<sup>10</sup>, Tarnowski<sup>11</sup>, Łukasiewicz<sup>12</sup> i Milaszewski<sup>13</sup>. Często sły-

<sup>10</sup> I. Tokarczuk, *Od Zbaraża do Przemyśla*, Michalineum 1998, s. 74.

<sup>11</sup> Z. Tarnowski, *Ze Zbaraża*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2000, s. 68.

<sup>12</sup> B. Łukasiewicz, *Wspomnienia ze Stryjówki koło Zbaraża*, wydanie II, wydane nakładem autora, Szczecin 2000, s. 5.

<sup>13</sup> R. Milaszewski, *Wspomnienia z Kresów Wschodnich i frontowych dróg*, Rzeszów 2004, s. 12.



szymy, że na ziemi zbaraskiej do II wojny światowej żyli obok siebie bez większych konfliktów Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Niechęć Ukraińców do Polaków narastała w miarę wzrostu świadomości narodowej społeczeństwa ukraińskiego. Po I wojnie światowej, po nieudanych próbach uzyskania niepodległej Ukrainy na obszarze Wschodniej Galicji, pozostał wśród społeczności ukraińskiej zawód niespełnionych nadziei na uzyskanie niezależnego państwa. W okresie międzywojennym nastroje te były tłumione, jednak aktywiści prowadzili prace organizacyjne, szkoleniowe i ideologiczne w kraju i za granicą, obliczone na sprzyjający ich dążeniom międzynarodowy konflikt w regionie. Stosunek administracji polskiej do społeczności ukraińskiej, chociaż często się zmieniał, nie miał większego znaczenia dla przyszłych wydarzeń. Proces kształtowania narodowej świadomości ukraińskiej zaczął się znacznie wcześniej, w miarę rozwoju oświaty oraz często w wyniku błędnej polityki lub jej braku na przestrzeni wieków w stosunku do wielonarodowej mniejszości Rzeczypospolitej. Wcześniej, przed rozbiorem, Polacy, Rusini (Ukraińcy) i Żydzi, w ramach wielonarodowego społeczeństwa feudalnej Polski nie wykazywali aspiracji narodowych.

Powiat zbaraski miał charakter wybitnie rolniczy. W okresie międzywojennym na całkowitą liczbę 66 tys. mieszkańców, na ludność wiejską przypadało aż 87% mieszkańców z 62 tys. ha ziemi uprawnej, z czego 30% stanowiło własność wielką. Chociaż ziemia zbaraska była bardzo urodzajna, wydajność upraw nie była wysoka. Na jednego mieszkańca przypadało około 925 kg zboża rocznie. Przyczyną małej wydajności była niska kultura rolna oraz klimat. Okolice Zbaraża należały do tzw. „Zimnego Podola”, gdzie masy powietrza z wyżyny rosyjskiej zimą wdzierały się przez otwarty płaskowyż, od strony północno-wschodniej, w dolinę rzeki Gniezny, natomiast dopływ ciepłych prądów do doliny był ograniczany przez pasmo Miodoborów, położonych od strony południowo-zachodniej. Powodowało to mroźne i śnieżne zimy, krótkie okresy wiosenne oraz upalne lata. Duży problem stanowiły drogi, które w okresach wiosennych i jesiennych były nieprzejezdne z powodu błota, a zimą z powodu zasp śnieżnych. Ziemia zbaraska charakteryzowała się jedynie 5% zalesieniem. Przyczyną tego stanu, podobnie jak na całej Ukrainie, był masowy wyrąb lasów w celu pozyskania ziemi uprawnej, dla produkcji potażu, rozwijającego się w XIX wieku przemysłu cukrowniczego oraz budowy kolei żelaznej<sup>14</sup>.

Duże znaczenie dla oceny panujących stosunków społecznych i kulturowych na Kresach, w tym na ziemi zbaraskiej, mogłaby mieć analiza zwyczajów, tradycji oraz słownictwa i języków społeczności żyjących tam przed 1945 rokiem. Niestety, nie miałem możliwości, aby bezpośrednio i dostatecznie dobrze poznać ten problem. Dziś mogę się opierać jedynie na obiegowych opiniach, stereotypach oraz własnych odczuciach i doświadczeniu, a także literaturze źródłowej. Jako dziecko prawie zupełnie nie miałem kontaktu ze społecznością żydowską z tego powodu, że w naszym sąsiedztwie Żydzi nie mieszkali, natomiast w szkole podstawowej dzieci żydowskich

<sup>14</sup> D. Beauvois, *Walka o ziemię*, Sejny 1996, s. 224.

nie było, ponieważ w czasie okupacji niemieckiej, nie miały one takiego prawa. Poza tym duża część z nich została wkrótce przez Niemców wymordowana. W szkole nie miałem też bezpośrednich kontaktów z Ukraińcami, ponieważ dzieci ukraińskie uczęszczały do szkoły ukraińskiej, która mieściła się w Narodnym Domu. W miejscu zamieszkania przy ulicy Długiej w Zbarażu również nie mieliśmy bezpośrednio ukraińskich sąsiadów, a ja kolegów. Godnym uwagi jest więc fakt, że te trzy społeczności zamieszkujące Zbaraż były od siebie odizolowane, w przeciwieństwie do czasów wcześniejszych oraz okresu przedwojennego. Pewne osobiste doświadczenie zdobywałem wśród krewnych ze strony mojej mamy, która pochodziła z mieszanej rodziny, polsko-ukraińskiej. Charakterystyczną cechą tych relacji było to, że w obecności Ukraińców porozumiewano się w języku ukraińskim. Sprzyjało to przyswajaniu przez Polaków słów i zwrotów ukraińskich i powstawaniu mowy regionalnej. Ukraińcy, szczególnie ci, którzy uczęszczałi przed wojną do polskich szkół, znali dobrze język polski w mowie i piśmie. Widoczne były również pewne wpływy niemieckie jako świadectwo rządów austriackich w niedawnej przeszłości. Tak więc, obok charakterystycznego lwowskiego *balakania*, obciążeni byliśmy żargonem galicyjskim. W wyniku repatriacji, a także dzięki szkole udało się w znacznym stopniu zatracić ten charakterystyczny styl. Jedynie ludzie starzy oraz ci, którzy wyemigrowali zaraz po wojnie i żyją obecnie za granicą, odizolowani od kraju, zachowali jeszcze tę piękną archaiczną odmianę języka. Dzisiaj, z pewnym trudem przypominam sobie niektóre słówka pochodzenia ukraińskiego lub też niemieckiego, wyniesione z dawnych lat, jak np.: *kiernica (studnia)*, *bajura (kałuża)*, *grali (widły)*, *koromysło (nosidło)*, *bambetel (ława do spania)*, *wankierz (kuchnia)*, *bratrura (piekarnik)* itp. Przed rokiem 1945, może jedynie w wioskach zamieszkałych wyłącznie przez ludność polską, zachował się język pochodzący z pierwotnych obszarów pochodzenia, z rdzennej Polski, chociaż i tam na co dzień mówiono gwarą galicyjską. Kultura oraz zwyczaje polskie były szeroko prezentowane na imprezach kulturalnych. Oczywiście w czasie wojny zwyczaje polskie nie mogły być eksponowane, kultywowano je natomiast starannie w domu, podczas świąt i uroczystości weselnych. W tym czasie nie ujawniano też odrębnej polskiej kultury kresowej wśród społeczności polskiej, z wyjątkiem być może ziemiaństwa. Niewątpliwie tym, co łączyło Polaków na Kresach i odróżniało od otoczenia, były wartości nadrzędne, takie jak polski język oraz przywiązanie do kościoła i religii rzymskokatolickiej. Tak więc Polacy na Kresach zachowali swoją odrębność w kościele i w domu.

## 2. Kościół oo. Bernardynów w Zbarażu

Znaczenie kościoła i klasztoru oo. Bernardynów dla mieszkańców Zbaraża i jego okolic trudno przecenić. W niedziele i święta, a szczególnie 13 czerwca, w dzień św. Antoniego, tłumy wiernych gromadziły się w kościele i wokół kościoła. Kościół i klasztor oo. Bernardynów w Zbarażu, położony nad rzeką Gniezną, otoczony był grubym murem. Cały kompleks budowli miał charakter obronny, co było następstwem przebytych doświadczeń historycznych. Historia kościoła i klasztoru w Zbarażu sięga 1627 roku, kiedy to książę Jerzy Zbaraski, kasztelan krakowski, sprowadził zakon oo. bernardynów do Zbaraża. Po jego bezpotomnej śmierci w 1631 roku budowę murowanego kościoła oraz klasztoru zajął się książę Janusz Wiśniowiecki i jego żona Eugenia Katarzyna z Tyszkiewiczów.



Prace budowlane postępowały na tyle szybko, że książę Janusz, który zmarł 13 stycznia 1637 roku, mógł być już pochowany w tym kościele. Jeszcze w tym samym roku jego żona wydała akt fundacyjny i wyznaczyła opłatę dla klasztoru, co zostało potwierdzone przez biskupa łuckiego, Bogusława Radoszewskiego. Akt założenia przyjął prowincjał Bonifacy Czechowski, a generalny komisarz zakonu oo. bernardynów w prowincji rosyjskiej Pacyfik Romanus, osobiście wprowadził zakonników do klasztoru i kościoła pod wezwaniem św. Jerzego. Klasztor uzyskał rangę formalnego konwentu. Kościół był niewielki, podobnie jak klasztor przeznaczony dla kilkunastu mnichów<sup>1</sup>.

Początek wojny kozackiej w 1648 roku zakłócił spokojne życie w klasztorze. Po klęsce pod Piławcami Kozacy złupili klasztor, a mnichów, którzy nie zdążyli się ukryć, wymordowali. Po tych wydarzeniach do klasztoru wróciło tylko kilku mni-

---

<sup>1</sup> J. Kachel, *Dzieje kościoła i klasztoru Ojców Bernardynów w Zbarażu*, Wydawnictwo Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 2001, s. 177.

chów, aby pełnić posługę pasterską dla parafian, którzy byli pozbawieni kościoła parafialnego. Podczas słynnej obrony zbaraskiej w 1649 roku klasztor ocalał. Jednak i tym razem zginęło trzech zakonników pracujących przy rannych. W zakonie pozostało ich niewielu, dlatego kapituła prowincji w 1650 roku zaliczyła klasztor do rzędu rezydencji. Mimo zagrożenia ze strony Tatarów i Turków, w tych niespokojnych czasach, udało się na tyle naprawić szkody w kościele i klasztorze, że kościół znowu uzyskał tytuł konwentu.

Znacznie większe nieszczęście nastąpiło w roku 1675, kiedy Turcy ograbili i spalili klasztor oraz kościół, a także zamordowali trzech zakonników. Przez kilka następnych lat w miejscu klasztoru i kościoła sterczały gołe mury, w większości bez dachu. Generalny wizytator zakonu, Andrzej Paszczyński, zastał tam w 1687 roku „*puste pola i ubogą rezydencję*”. Odbudowa klasztoru zaczęła się, kiedy Zbaraż, w spadku po Wiśniowieckich, przeszedł w ręce Józefa hr. Potockiego, wielkiego hetmana koronnego i kasztelana krakowskiego. Fakt ten zbiegł się z nową fundacją Potockiego dla klasztoru. Życzliwość Józefa hr. Potockiego, a szczególnie jego syna Stanisława, który przejął administrację nad Zbarażem, skłoniła starszego spośród zakonników, Szymona Michalskiego, do rozpoczęcia gruntownej rozbudowy kościoła i klasztoru. W roku 1729 wybudowano nowy drewniany klasztor dla większej liczby zakonników. Następnie zaczęto budowę nowego klasztoru – murowanego z kamienia. Właściwym fundatorem był Stanisław Potocki, wojewoda kijowski i jego żona Olena z Zamojskich. W roku 1746 rozpoczęła się budowa od fundamentów nowego kościoła, znacznie większego od poprzedniego. Jednocześnie prowadzono budowę klasztoru. Budową kościoła kierował architekt Antoni Ganc z Kierniowa na Śląsku. W dniu 23 lipca 1752 roku kościół został poświęcony i oddany do użytku. Nowa świątynia w stylu barokowym, pod wezwaniem św. Antoniego i św. Jerzego, miała trzy nawy i dwie charakterystyczne wieże. Oryginalnie wkleśłą fasadę kościoła zdobiły figury świętych. Dach pokryty był dachówką, a wieże blachą. Kościół ostatecznie został konsekrowany 2 sierpnia 1755 roku przez biskupa łuckiego Antoniego Erazma Wołowicza.

Wkrótce zakończono też budowę klasztoru i budynków gospodarczych, a teren wokół klasztoru otoczono murem. Ołtarze dla kościoła wykonano w lwowskiej pracowni Antoniego Osińskiego. Szczególnym kultem w całym regionie cieszył się św. Antoni Padewski, którego obraz znajdował się w ołtarzu głównym kościoła. W ten sposób konwent zbaraski stał się jednym z największych klasztorów, który odgrywał coraz większe znaczenie w życiu zakonnym prowincji. Klasztor władał dwoma majątkami: Łanek w pobliżu Zbaraża oraz drugim, przekazanym później parafii w Maksymówce. Miał on również 89 legatów i innych dokumentów na prawo władania majątkami, które były pozyskane w XVIII i XIX stuleciu.

W 1760 roku odbył się w kościele pogrzeb Stanisława Potockiego, który zgromadził 5 biskupów, przedstawicieli duchowieństwa obu obrządków chrześcijańskich, tysiące szlachty oraz rzesze wiernych. Wielkość klasztoru oraz dobrze prowadzona

gospodarka zdecydowały o lokalizacji w nim, przez kapitułę prowincji w 1763 roku, nauczania ogólnej teologii, które trzy lata później przeniesiono jednak do Lublina. W tym czasie w Zbarażu wznowiono nauczanie filozofii i retoryki. Dla potrzeb dydaktycznych wydzielono z klasztoru część pomieszczeń, które uzyskały nazwę seminarium. W 1768 roku w Zbarażu przebywało 10 zakonników, 17 kleryków i 6 braci zakonnych. Dobry stan klasztoru oraz znaczna liczba zakonników pozwoliła zająć się działalnością duszpasterską wśród miejscowej ludności parafii, którą w tym czasie prowadziło duchowieństwo świeckie. Tak więc od roku 1763 bernardyni byli w okresie postu spowiednikami w kościele parafialnym, który znajdował się na farze w najbliższym sąsiedztwie klasztoru i kościoła oo. Bernardynów. Działania wojenne związane z konfederacją barską nie ominęły Zbaraża. Walki, a następnie obecność w Zbarażu wojsk rosyjskich w 1769 roku, wyrządziły wiele szkody w mieście i w klasztorze. Po I rozbiórce Polski Zbaraż znalazł się w granicach austriackiej Galicji. W pierwszych latach zaboru praktycznie niczego w klasztorze nie zmieniono. W Zbarażu nadal prowadzono zajęcia z filozofii oraz odbywały się kapitule jednej, chociaż podzielonej politycznie, prowincji w latach 1778, 1789, 1822 i 1846.

W roku 1777 klasztor przejął kolejne obowiązki, jakimi było otwarcie i prowadzenie szkoły parafialnej. W tym celu wybudowano osobny budynek, a podręczniki sprowadzano aż z Warszawy. Oprócz tego w 1768 r. przy klasztorze zaczął działać przytułek-szpital dla biednych, chorych i kalekich osób. Materialny stan klasztoru pozwolił na prowadzenie odnowy kościoła, a nawet budowę obszernego zajazdu dla przyjezdnych na kapitule, a także gości i sponsorów wspierających kościół. Z czasem jednak wzmocił się nacisk biurokracji austriackiej. W 1782 r. przeor klasztoru, Poncjaj Gatowicz, został usunięty z kierownictwa klasztoru za uczestnictwo w kapitule prowincji poza granicami Galicji – w Zasławiu. W tym też roku do Lublina przeniesiono nauczanie filozofii. W zamian usprawniono szkołę parafialną, w której wprowadzono program państwowy, nadal jednak realizowany przez zakonników. W roku 1784 zorganizowano gimnazjum łacińskie z obsadą 6 profesorów i prefekta. Działało ono do 1794 roku, kiedy to władze państwowe sprowadziły profesorów świeckich, a w 1805 przenieśli 11 z nich do Brzeżan.

Duży pożar 17 czerwca 1788 r. zniszczył sporą część Zbaraża. Spalił się wtedy kościół parafialny na farze. Ogień dostał się również do wnętrza kościoła oo. Bernardynów, w którym spłonął ołtarz główny, kilka ołtarzy bocznych oraz organy. W klasztorze pożar zniszczył dach i częściowo cele klasztorne na piętrze. Powstałe szkody wywołały przygnębienie wśród mnichów, krążyły nawet opinie, aby porzucić to pechowe miejsce służby. Szybko jednak, dzięki energicznym akcjom prowincjała Eukarpa Weigla, wśród zakonników znowu pojawiła się nadzieja na lepsze czasy. Prowincjał nie tylko pozyskał fundusze na odbudowę, ale sam zajął się zdobywaniem materiałów, organizacją i wykonawstwem robót. Już w następnym roku kościół nadawał się do użytku, klasztor zaś został zabezpieczony przed dalszym niszczeniem. Gruntowne prace trwały jeszcze przez kilka lat, dzięki którym klasztor powrócił do

pierwotnego stanu i znaczenia. Został też odbudowany budynek szkolny. Z powodu braku środków, znacznie dłużej trwała odbudowa przytułku-szpitala dla ubogich, ale i ten po pewnym czasie został odnowiony.

W następstwie pożaru kościoła parafialnego na farze, ówczesny proboszcz parafii zrezygnował z pełnienia dalszych obowiązków. Za poparciem Ksawerego Potockiego, w wyniku konkursu z 4 września 1788 roku, proboszczem parafii został o. Gaudenci Moszkowiczewski, jednocześnie przeor klasztoru oo. Bernardynów. Funkcje liturgiczne przeniesiono do kościoła klasztornego. Kościół parafialny nie był remontowany z braku pieniędzy i wiosną 1792 roku został wystawiony na aukcję przez władze austriackie i sprzedany na rozbiórkę. Z tego powodu parafia została przeniesiona do kościoła klasztornego, a następnie konsekrowana według reguł zakonu oo. bernardynów. Na klasztor przeniesione zostały też wszystkie prawa i obowiązki całej parafii, do której należało 40 okolicznych wiosek, zamieszkałych przez wiernych obrządku rzymskokatolickiego.

W tym czasie, na obszarze jednej rzymskokatolickiej parafii, było 17 parafii greckokatolickich, które miały jeszcze kilka cerkwi filialnych. Jak widać, dostęp do cerkwi był znacznie łatwiejszy niż do kościoła, stąd chrzty i śluby odbywały się często w obrządku wschodnim, a zapisy w księgach metrykalnych uwzględniały zmianę obrządku. Odbudowany klasztor w Zbarażu był jednym z ważniejszych konwentów prowincji zakonu oo. bernardynów. Dlatego też, gdy otwarto nowicjat i w klasztorze znów pojawili się klerycy, przeor zakonu Weigel wprowadził w 1798 roku w Zbarażu kurs teologii. Profesorowie teologii sprawowali jednocześnie opiekę nad innymi szkołami, otwartymi w tym czasie w Zbarażu. Mimo wielu trudności, nauczanie w klasztorze teologii pod kierownictwem o. Antoniego Waltera przetrwało aż do roku 1806, kiedy to znaczenie konwentu w Zbarażu zmalało, a profesorowie i studenci opuścili klasztor. W następstwie kampanii Napoleona Bonapartego i nowego układu politycznego, Zbaraż znalazł się w 1809 roku w granicach Rosji, a klasztor został przyłączony do rosyjskiej prowincji zakonu. Po kongresie wiedeńskim w 1815 roku Zbaraż powrócił do Galicji w Austrii.

Duszpasterska i parafialna praca była głównym zadaniem zbarskiego klasztoru w XIX wieku. Za ofiarną pracą zakonników administracja parafii otrzymywała niejednokrotnie podziękowania od arcybiskupów lwowskich, przełożonych zakonu i władz państwowych. W razie potrzeby oo. bernardyni ze Zbaraża z chęcią pomagali w pracy innym parafiom. W 1816 roku szkoła elementarna pod kierunkiem o. Izydora Chmury została podniesiona do rangi szkoły głównej. Szpital-przytułek, który został już odbudowany po pożarze i nazywany żartobliwie „Dziadowszczyzną”, udzielał pomocy i przytułku kalekim i bezdomnym. W tym czasie prowadzono intensywną działalność kulturalno-oświatową wśród ludności miasta i wiosek. Dzięki staraniom i wpływom klasztoru budowano kaplice i kościoły filialne w oddalonych miejscowościach: Zarudeczku, Kapuścińcach, Stryjówce, Maksymówce, Hrycowcach, Kretowcach i Sieniawie. W większości z nich, po rozbudowie, zostały utworzone niezależne

parafie. Duże zasługi w tej sprawie mieli oo. Wojciech Szuber, Marcin Długosz, Michał Wójcik, Simforian Gdowski, Letus Olszewski i Salwator Szpila. W 1839 roku parafia zbaraska została podzielona na 7 mniejszych parafii i 8 kaplic filialnych. W XIX wieku klasztor w Zbarażu był jednocześnie miejscem odbywania kar dyscyplinarnych dla duchowieństwa archidiecezji lwowskiej.

Ojcowie bernardyni radzili sobie doskonale w wielowyznaniowym i wielokulturowym obszarze ziemi zbarskiej. Opinie proboszczów parafii unickich na ziemi zbarskiej potwierdzały na ogół dobre relacje z bernardynami. Mimo że bernardyni nie stawiali sobie za cel nawracania na obrządek łaciński, przyjmowali oni wiernych do Kościoła rzymskokatolickiego z innych obrządków chrześcijańskich lub wyznania mojżeszowego. Problem dotyczył głównie małżeństw mieszanych zamieszkałych w wioskach. Zdarzało się bowiem, że kapłani unicy samowolnie zmieniali wyznanie dzieci przy chrzcie, wpisując je do własnych ksiąg parafialnych. Te właśnie osoby, przy okazji aktów małżeńskich, powracały często do wyznania swoich rodziców. Z badań o. Kachela<sup>2</sup> wynika, że w roku 1865 miały miejsce jednostkowe konwersje unitów na obrządek łaciński w wioskach: Czernichowce (2), Dobromirka (3), Głębozeczek (1), Jacowce (3), Kapuścińce (3), Klebanówki (3), Łubianki Niższe (1), Ochrymowce (2), Puchowce (2), Szyły (1), Terpiłówka (1) i Załuże (2) oraz w większej skali w wioskach mieszanych, zamieszkałych w znacznym stopniu przez Polaków: Sieniawie (14), Starym Zbarażu (10), Stryjówce (30) i Wałachówce (7). Natomiast w roku 1881 zdarzył się tylko jeden taki przypadek w Maksymówce. Podobnie, w okresie międzywojennym zdarzały się pojedyncze konwersje, z wyjątkiem roku 1937, kiedy to 52 osoby z sieniawskiej parafii zadeklarowały urzędowo w starostwie polską narodowość i przeszły do Kościoła rzymskokatolickiego. Obowiązywało porozumienie, w myśl którego w małżeństwach mieszanych dzieci dziedziczyły wyznanie po rodzicach zgodnie z płcią – córki po matce, a synowie po ojcu.

Szkoła elementarna, która później zyskała rangę szkoły głównej, była obsługiwana przez oo. bernardynów do roku 1892, po czym została przejęta przez Krajową Radę Szkolną Galicji, która wybudowała własny budynek i zorganizowała szkołę według obowiązującego prawa. Z inicjatywy klasztoru i przy jego wydatnej pomocy w 1896 roku otwarto przy nim przytułek dla sierot, którym opiekowały się siostry felicjanki. Przytułek przetrwał aż do 1946 roku. Natomiast w 1910 roku otwarto prywatne gimnazjum, na potrzeby którego oddano znaczną część pomieszczeń klasztoru. Tak wszechstronna duszpasterska i oświatowa praca konwentu była wysoko oceniana przez duchowieństwo i szerokie kręgi inteligencji. W owym czasie zbarski konwent był największym aktywnym klasztorem w prowincji zakonu oo. bernardynów, a w samym mieście stanowił instytucję, z którą liczyły się wszystkie organizacje i urzędy. Działające dawniej bractwa św. Anny, Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i św. Franciszka przekształciły się w połowie XIX wieku w Trzeci Zakon

---

<sup>2</sup> J. Kachel, *Dzieje kościoła...*, dz. cyt., s. 447.

św. Franciszka. W 1829 roku założono nowe bractwo św. Leopolda, które było mocno wspierane przez administrację austriacką.

Pierwsza wojna światowa w latach 1914–1918, a następnie wojny polsko-ukraińska oraz polsko-sowiecka, które trwały do jesieni 1920 roku, wyrządziły wiele szkody klasztorowi i parafii zbaraskiej. Z tego powodu konieczne było prowadzenie pracy duszpasterskiej, mającej na celu odrodzenie sfery duchowej, a także odbudowę materialną na terenie całej parafii. Wielką pracę wykonał o. Daniel Magoński, przeor klasztoru w latach 1914–1924. Jako przeor był on niejednokrotnie jedynym autorytetem, wokół którego skupiała się miejscowa ludność. Mieszkańcy w dowód wdzięczności nazwali jego imieniem jedną z ulic Zbaraża.

Okres międzywojenny również upłynął pod znakiem intensywnej pracy duszpasterskiej i oświatowej. Gimnazjum nadal znajdowało się w klasztorze, niezależnie od tego, że w 1924 roku uzyskało ono status szkoły państwowej. Uczyla się w nim młodzież polska, ukraińska i żydowska. Absolwentem gimnazjum zbaraskiego był m.in. abp Ignacy Tokarczuk, późniejszy ordynariusz diecezji w Przemyślu. W tym czasie wszystkie szkoły na terenie parafii były obsługiwane przez katechetów z klasztoru. Podobnie było w nowoutworzonych parafiach, gdzie religii uczyli oo. bernardyni. Z bractw, które działały w kościele zbaraskim w okresie międzywojennym, odznaczyły się: Trzeci Zakon św. Franciszka, Żywy Różaniec, Franciszkański Związek Maryjny, Akcja Katolicka oraz Papieskie Dzieło Propagowania Wiary. W momencie wybuchu II wojny światowej w 1939 roku klasztor zbaraski stał się na pewien czas miejscem schronienia dla uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, zarówno duchownych, jak cywilnych. Ówczesny przeor klasztoru, Maurycy Rzecznik, rozwinął szeroką działalność dobroczynną, która była w tym czasie bardzo potrzebna. Podczas okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej w klasztorze stacjonowały oddziały wojskowe. W czasie wojny w latach 1941–1945 spaliły się wieże oraz została uszkodzona konstrukcja kościoła, klasztor natomiast ucierpiał w małym stopniu, chociaż nie obyło się bez szkód. W roku 1946 kościół i klasztor zostały zamknięte przez miejscową władzę, ponieważ wyznawcy religii rzymskokatolickiej repatriowali do Polski. W dniu 30 maja 1946 roku spora liczba wiernych przysłała na wieczorne nabożeństwo. Odprawił je ostatni gwardian i proboszcz zbaraski o. Marcelli Cymbalista, który z bratem Benedyktem Bielakiem, wśród wielkiego lamentu zgromadzonych, żegnał się ze świątynią, klaszturem i parafianami. Następnego dnia, po mszy świętej o godzinie 7, o. Marcelli i brat Benedykt ucałowali posadzkę świątyni, której drzwi zostały następnie zamknięte, a klucze przekazane ks. Mareckiemu, duszpasterzowi z Podwołoczysk. Część rzeczy kościelnych, które udało się wcześniej wywieźć, znalazła się w klasztorach w Leżajsku, Rzeszowie i Alwerni. Tak zakończyła się działalność jednego z największych ośrodków zakonnych w prowincji bernardyńskiej na Kresach Wschodnich w latach od 1627 do 1946<sup>3</sup>.

---

<sup>3</sup> *Kościel oo. Bernardyni w m. Zbarazhi, Zbarazh 1992*, broszura wydana nakładem oo. bernardynów, s. 10.



Uważa się, że w ciągu 400 lat historii kościoła w Zbarażu największych zniszczeń dokonano po roku 1946, za czasów panowania ustroju sowieckiego. W kościele ulokowano magazyn przedsiębiorstwa „Kwantor”. Główny ołtarz został porąbany. Zniszczono też liczne ekspresyjne rzeźby kościelne wykonane w lwowskiej lub buczańskiej pracowni Johana Geoga Pinzela. Po bardzo cennych organach pozostał tylko szkielet i kilka drewnianych piszczałek basowych. Na samym szczycie organów zachowały się dwa anioły, w rękach których znajdowały się kiedyś flet i skrzypce. O wielkości organów można sądzić chociażby na podstawie tego, że miały one dwa manualy, 21 rejestrów oraz nożną klawiaturę. W kościele znajdowało się kiedyś 12 ołtarzy bocznych i jeden główny, co dawało możliwość odprawiania nabożeństw przy 13 ołtarzach jednocześnie; wszystkie zostały zniszczone! Dzisiaj kościół z trudem odbudowuje i wypełnia puste ramy obrazów w ołtarzach. Na rekonstrukcję cennych malowideł świętych na ścianach kościoła i klasztoru brakuje pieniędzy. W nawie głównej kościoła cudem zachowała się pamiątkowa tablica poświęcona Adamowi Mickiewiczowi:

NA PAMIĄTKĘ ADAMOWI MICKIEWICZOWI  
W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN  
1798–1898

Przed kościołem znajdowały się resztki krzyża misyjnego z napisem: „950-lecie chrztu Rusi-Ukrainy”. To wszystko co ocalało po komunistycznych rządach. Droгоценne obrazy zostały wykradzione albo pocięte na części, których fragmenty leżały gdzieś żałośnie w kościele. Nie oszczędzono też umarłych. W podziemiach kościoła zniszczono resztki trumien, porozbijano grobowce. W poszukiwaniu skarbów przekopano każdy centymetr podziemi, zerwano płyty z podłóg, w rezultacie czego kości ludzkie rozrzucano po podziemiach.

Komitet Społeczny Polaków – Zbarażan od wielu lat zabiegał u władz państwowych różnych szczebli o zwrot kościoła wiernym. Starania w Tarnopolu prowadziła pani Zofia Kanas, a w Moskwie zgodę na remont i pieniądze uzyskał ks. Stanisław Ganowski. Wreszcie, w dniu 25 grudnia 1989 roku, władze w Moskwie podjęły decyzję o zwrocie kościoła katolikom obrządku łacińskiego w Zbarażu<sup>4</sup>. W roku 1990 wróciło wreszcie życie do kościoła. Znaleźli się ofiarni ludzie: o. Józef Świdorski, o. Aureliusz Juliusz Nowak, o. Otto Roman Pierzchała. O. Aureliusz i o. Otto ukończyli Wyższe Seminarium Duchowne w Kalwarii Zebrzydowskiej i sami zgłosili się do pracy w Zbarażu, aby brać udział w odbudowie kościoła i nieść ludziom słowo Boże. Pochodzący z Żytomierza o. Bernardyn ukończył Seminarium Duchowne w Rydze. Zakonnicy żyli w trzech celach klasztoru, a katechizacja dzieci odbywała się w korytarzu klasztornym. Kaplicę, w której odprawiano nabożeństwa, poświęcono

---

<sup>4</sup> H. Hankowska, list – informacja prywatna, 2007, archiwum autora.

25 sierpnia 1990 roku. Wśród wiernych pojawiły się też dzieci. Pośród nich byli chłopcy ministranci i dziewczęta, które próbowały swoich sił w chórze kościelnym. Dzieci były całą nadzieją parafii. Mimo trudności, już 3 kwietnia 1992 roku, po raz pierwszy do pierwszej komunii przystąpiło dziesięcioro dzieci z parafii.

Sprawy związane z odbudową kościoła posuwały się wolno z powodu braku dokumentacji, materiałów i pieniędzy. Dzisiaj władze miasta traktują kościół w Zbarażu jako zabytek muzealny. Na frontowej ścianie kościoła widnieje tablica w języku ukraińskim, której tekst w polskim przekładzie brzmi:

UKRAIŃSKA RADIANSKA SOCJALISTYCZNA RESPUBLIKA  
PAMIATNIK ARCHITEKTURI  
KOSTIOŁ BERNARDINIW  
1627 R.  
OCHRONIAJETSJA DERZHAWOJU  
POSHKODZHENIJA KARAJETSJA  
ZAKONOM

W zabytkowej dzwonnicy znajdowały się dawniej trzy dzwony o imionach: św. Michał, św. Wiktoria oraz św. Antoni, ufundowane w latach: 1743, 1755 i 1829. Kiedyś dźwięczały one tak głośno, że słyszano je w okolicznych wioskach. Potem zamilkły na wiele lat. Po sześćdziesięciu latach ciszy, w dniu świętego Antoniego 2006 roku, zabrzmiał dzwon elektroniczny, zapraszając na uroczystą mszę świętą. Projekt i wykonanie tego dzwону to dzieło uczniów Zespołu Szkół Nr 2 w Łańcucie. Maksymilian Bartnik i Rafał Sadlej, pod opieką Marcina Grochowiny, wykonali jego montaż. Na mszę, oprócz oo. bernardynów ze Zbaraża, przybyli goście z Tarnopola, grupa uczniów ze szkoły w Łańcucie pod kierownictwem państwa Aliny i Ireneusz Skrzypczaków oraz miejscowi przedstawiciele cerkwi greckokatolickiej i prawosławnej<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> M. Szustakowski (red.), *Kronika ziemi zbaraskiej*, wydane nakładem autora, Wrocław 2006, s. 97.

## 3. Mój mały świat

### 3.1. Ulica Długa w Zbarażu

Mój mały świat przy ulicy Długiej na Tarnopolskim Przedmieściu rósł razem ze mną. Jego granice wyznaczał horyzont krajobrazu, który powiększał się wraz z moim wiekiem. Jako dziecko najpierw poznawałem mój dom rodzinny, który w okresie mego dzieciństwa miał już kilkadziesiąt lat. Łączył on tradycje kilku pokoleń rodziny. Kiedy nieco podrosłem, zacząłem poznawać też świat wokół mojej starej chaty; poznawałem podwórze oraz budynki gospodarskie wokół niego, sprzęty oraz zwierzęta. Odkrywałem sad i ogród, ulicę – skąd mogłem zobaczyć całą moją „małą ojczyznę” – Zbaraż.



Horyzont od strony południowej zamykały Laski, na skraju których rosły stare, spróchniałe wierzby. Bywało, że gdy o zmroku wpatrywałem się w tamtą stronę, wierzby zdawały się poruszać, co powodowało we mnie taki strach, że miałem wrażenie, iż włosy jeżą mi się na głowie, po czym uciekałem do bezpiecznej kryjówki w chacie. W Laskach rosły prawie wyłącznie drzewa liściaste, między którymi były ścieżki i ścieżynki oraz tajemnicze szerokie rowy, pamiętające być może dawne wydarzenia wojenne. Wczesną wiosną, kiedy słońce przygrzewało, a śnieg – obfity w czasie zimy – gwałtownie topniał, Laski pokrywały się najpierw białym runem śnieżynek, następnie kaczeciców i innych kwiatów leśnych, a wśród drzew rozbrzmiewał śpiew ptaków. W tej scenerii, po długim okresie postu, na Wielkanoc rozbrzmiewały dźwięki dzwonów kościelnych. Jesienią zbierano w Laskach grzyby, głównie opieńki.

W Laskach znajdowały się osady Laski i Dębina. Laski miały swoją bogatą historię, związaną z dziejami Zbaraża. Henryk Sienkiewicz w powieści „Ogniem i mieczem” umieścił śmierć Longinusa Podbipięty na Dębinie, w czasie pamiętnej obrony Zbaraża przed wojskami Bohdana Chmielnickiego w 1649 roku. Natomiast

w czasie ostatniej wojny, w tych samych Laskach znajdował się lazaret wojskowy armii radzieckiej, kiedy front zatrzymał się pod Tarnopolem. W kilka dni po przeniesieniu szpitala w inne miejsce, obszar ten został zbombardowany późną nocą przez niemieckie samoloty. Bomby spadły na Laski, ogrody i pobliskie sady, nie wyrządzając jednak większej szkody. Rankiem następnego dnia znajdowałem na podwórku odłamki bomb świeżo zabarwione w przełomie na błękitno-fioletowy kolor.

Ulica Długa na Przedmieściu Tarnopolskim, położona w południowej części miasta Zbaraża, była dogodnym miejscem widokowym. Stąd roztaczał się rozległy widok na miasto i jego otoczenie. Na zachodzie widoczne było wzgórze zwane Skalą oraz dalej zielone wzniesienia „Horodyszcz” Starego Zbaraża. Tam nad urwiskiem, nad przełomem rzeki Gniezny, znajdowała się pierwotnie stara twierdza zbaraska. Jej wczesna historia ginie w mrokach dziejów. W tym miejscu rodziła się legenda przodków rodu książąt Zbaraskich i Wiśniowieckich. W tamtej okolicy swoje miejsce znaleźli również oo. bazylianie. Tam też jeszcze dzisiaj możemy zobaczyć starą obronną cerkiew Spassa z 1600 roku, zwaną monasterkiem. Cerkiew zbudowana z kamienia w stylu gotyckim miała charakter obronny. Obok na wzgórzu znajdujemy też stary cmentarz pokryty kamiennymi, charakterystycznymi krzyżami z starocerkiewnymi inskrypcjami. Nasłuchawszy się opowieści o dziejach tamtej okolicy, często spoglądałem w jej stronę i nasłuchiwałem odgłosów. Ale jedynie widziałem zielone wzgórza oraz słyszałem pienia kogutów.

Strona południowa, położona na łagodnym wzgórzu i osłonięta Laskami, a także zabudowana częściowo wschodnią, nie prezentowały rozległych widoków. Poczynając od strony zachodniej, w zieleni drzew widać było osiedla Załuża oraz Sadków. Oba osiedla ciągnęły się na wysokich nabrzeżach przełomu rzeki Gniezny. W tej części okolicy, na rzece znajdowały się młyny wodne oraz browar. Znajdował się tutaj również niski budynek pod strzechą, w którym przechowywano przez okrągły rok lód dla potrzeb browaru. W okolicach browaru, przy młynie Kurnija, na rzece zastawiona była śluza spiętrzająca wodę, dzięki czemu w części południowo-zachodniej miasta powstał rozległy staw, gęsto zarośnięty sitowiem. Woda spływała ze śluzy z wielkim szumem w dół, a część odprowadzana była na koło młyńskie. Roślinność wodna nadawała otoczeniu charakterystyczny zapach stawu. Mimo że poniżej okresowo rosło len i konopie, w rzece żyły ryby: płocie, kielbie, okonie, karasie i szczupaki. Odważni chłopcy skakali z kilkumetrowej wysokości mostu do wody, między sterzące grube drewniane pale, tkwiące w wodzie poniżej śluzy. W letnie wieczory dochodził często z tej strony rechot żab, zapowiadający opady ciepłego deszczu. Daleko na horyzoncie widoczna była stacja kolejowa na linii Tarnopol – Zbaraż – Łanowce. Była ona oddalona o kilka kilometrów od centrum miasta, z powodu niekorzystnego położenia geograficznego terenu, a mianowicie głębokich dolin zwanych prowałami, które oddzielały stację od miasta. Kolejowe połączenie Zbaraża z Tarnopolem nastąpiło w roku 1906, natomiast o połączenie Zbaraża z Łanowcami postarali się Rosjanie w roku 1918, podczas okupacji ziemi zbaraskiej w czasie I wojny światowej. Linia ta biegła w trudnym terenie wzgórz Miodoborów, o czym może świadczyć m.in. to,

że w latach dwudziestych ubiegłego wieku, czas przejazdu pociągu na trasie Tarnopol – Zbaraż, o długości około 30 km, trwał ponad godzinę. Stację tę kojarzę z następującymi obrazami: z transportami wywożonych Polaków na Sybir zimą i później w 1940 roku, którym towarzyszył charakterystyczny ryk lokomotyw z czarnym obłokiem dymu palących się zbiorników ropy naftowej podczas ustępowania Sowieć przed Niemcami w czerwcu 1941 roku, ze strzelającymi stamtąd działami przeciwlotniczych „zenitówek” do samolotów niemieckich, z przejazdem transportu polskich elewów szkoły w Riazaniu oraz exodusu Polaków z ziemi zbarskiej. Nieco poniżej stacji znajdowały się zbarskie cmentarze: greckokatolicki, rzymskokatolicki i żydowski. W dzień Zaduszek widać tam było wielką łunę światła pochodzącą od zapalonych na grobach zmarłych zniczy i świeczek. Najstarsze nagrobki, z wyrytymi orłami polskimi z lat 1756 i 1790, znajdowały się na cmentarzu żydowskim<sup>1</sup>.

W centralnej części panoramy miasta wyróżniała się sylwetka kościoła z klasztorem oo. Bernardynów oraz cerkwie – mała i duża. Masywną architekturę kościoła w stylu barokowym podkreślały dwie masywne wieże zakończone ostrymi hełmami oraz sygnaturka nad prezbiteriałną częścią kościoła. Cały kompleks budowli otaczał mur obronny, co było następstwem przeżytych doświadczeń dziejowych. W pobliżu kościoła stała dzwonnica, która zbudowana w stylu baroku, przypominała o nieistniejącym już, od końca osiemnastego wieku, kościele farnym. Pamiątką po tym kościele jest jeszcze parafialna plebania, w której potem zamieszkały siostry zakonne – felicjanki. Niedaleko, na lekkim wzniesieniu, znajdowała się mała cerkiew filialna Uspienska, której sylwetka przypominała kościół. W dalszej części miasta widoczna była duża cerkiew Woskresienska, nad którą widniały dwie szeregowo ustawione wieże z obszernymi kopułami. Tuż przy cerkwi wznosił się piętrowy, nowoczesny blok szkoły powszechnej. Za cerkwią, w stronę stacji kolejowej, stał budynek ukraińskiego Narodnego Domu. Między tymi charakterystycznymi budynkami widoczne były liczne mniejsze domy miasta. Tam też znajdował się plac targowy. Z bardziej znanych domów pamiętam Sobolówkę, w której podobno mieścił się posterunek policji, restauracja oraz sklepy. W centrum miasta widoczny był komin bodajże jedynej w mieście zakładów metalowych i odlewni Kahane. Na skraju miasta, od strony rzeki, znajdowała się dzielnica biedoty żydowskiej – getto. Pod murami klasztoru oo. Bernardynów rozciągały się błonie, przez które leniwie płynęła od strony północnej miasta, przez staw Bazarzyniecki, rzeka Gniezna. Była ona gęsto zarośnięta sitowiem i tylko gdzieś tam znajdowały się miejsca, w których zażywaliśmy kąpieli w upalne dni lata. W czasie przyborów jesiennych woda szeroko rozlewała się na błonie, a podczas mrozów zamarzała, stwarzając warunki do jazdy na łyżwach. Przy błoniach stał również spalinowy młyn Zacharasiewicza. Z jego komina buchały małe obłoczki dymu, a ciepła woda, odprowadzana z chłodnicy silnika, służyła pracownikom i okolicznym mieszkańcom do kąpieli. Daleko na północnym horyzoncie widoczna była zieleń wio-

<sup>1</sup> H. Ślaski, *Zbaraż w przeszłości i teraźniejszości*, PTTK, Tarnopol 1934, s. 39.

ski Bazarzyńce z kopulastą cerkwią pod wezwaniem św. Mikołaja. Staw Bazarzyniecki oraz mokradła wzdłuż rzeki stwarzały niegdyś korzystne warunki dla obrony zamku i miasta Zbaraża przed licznymi wrogami. Przekonali się o tym również Sowieci, kiedy topili tam swoje czołgi w czasie pośpiesznego odwrotu przed niemieckim atakiem w 1941 r. Przeprawę przez rzekę zapewniały mosty, które ze względu na geograficzny charakter okolicy, miały duże znaczenie. Drewniany most na Przygródku, przy stawie Bazarzynieckim, znajdował się na ważnej drodze prowadzącej w kierunku Łubianek i granicznych Podwołoczysk na Zbruczu. Drugi most drewniany przy zachodnim stawie Zbaraskim prowadził w kierunku Starego Zbaraża. Trzeci most, zwany Czarnym Mostem, zbudowany z betonu w okresie międzywojennym, łączył oba brzegi rzeki na gościńcu Tarnopolskim. Jego nazwa nawiązywała do historycznego Czarnego Szlaku Tatarskiego.

W kierunku północno-wschodnim znajdowało się wzgórze zamkowe, na którym rosły kilkusetletnie lipy. Zamek otoczony był murem obronnym oraz fosą. W centrum zamkowego wzgórza znajdował się zespół pałacowy, również wzmocniony murem, do którego prowadziła charakterystyczna brama wjazdowa. Za czasów mego dzieciństwa wszystko to przedstawiało przykry widok ruin. Historia tego miejsca sięga pierwszej połowy siedemnastego wieku, kiedy to książę Jerzy Zbaraski zlokalizował tu budowę nowej twierdzy zbaraskiej. Jej losy często były tragiczne, lecz rok 1649 okazał się szczęśliwy, przysporzył jej sławy na następne wieki, dzięki bohaterskiej obronie zamku przed wojskami Chmielnickiego. Miejsce to kojarzy się również z tragicznymi wydarzeniami. Miały tu miejsce egzekucje dokonywane przez Niemców oraz przez Rosjan w najnowszej historii miasta. Pod murami zamku znajdowało się osiedle Przygródek. W tej samej okolicy mieściło się starostwo, a niżej Dom Sokoła. Natomiast poniżej, nad samą rzeką, stał młyn wodny Szmajuka oraz nieco dalej zbaraska elektrownia.

Zbaraż leżał na uboczu wielkich szlaków komunikacyjnych. Wprawdzie od strony północno-wschodniej Zbaraża przebiegał, znad Morza Czarnego w kierunku Lwowa i dalej na zachód tzw. Czarny Szlak Tatarski, którym w czasie pokoju wędrowali kupcy, a w czasach wojny Mongołowie, Tatarzy, Turcy i Kozacy, to w ciągu ostatnich kilku wieków stracił on na znaczeniu. Przez Zbaraż prowadziła wspomniana wcześniej linia kolejowa z Tarnopola do Łanowic. Natomiast z ważniejszych dróg należałoby wymienić przebiegającą przez Zbaraż drogę z Tarnopola przez Krzemieniec do Dubna. W kierunku wschodnim natomiast prowadził drugorzędny gościniec do Łanowic oraz przebiegająca przez wieś Łubianki droga do Podwołoczysk. Na południo-wschodnich rubieżach ziemi zbaraskiej znajdowały się wioski – miejsca dawnego osadnictwa Polaków. Należały do nich: Sieniawa, Łubianki Niższe i Wyższe, Kretowce, Hrycowce, Czahary Zbaraskie, a także Maksymówka, Stryjówka, Wałachówka, Ochrymowce i Zarudzie.

Najlepiej znałem ulicę Długą na Przedmieściu Tarnopolskim Zbaraża. Jej nazwa początkowo być może nieoficjalna, zmieniała się wraz z biegiem historii na ulicę

Tadeusza Kościuszki – w okresie międzywojennym, Karola Marksa – za Sowietów, Danielewicza – za okupacji niemieckiej, w zależności od sytuacji politycznej ziemi zbarraskiej. Obecnie znowu nosi nazwę Długa. Przy tej ulicy mieszkali przeważnie drobni posiadacze ziemi – chłopci, z jednego końca ulicy raczej narodowości polskiej, z drugiego, zwanej Kątem, w większości narodowości ukraińskiej. Tak przynajmniej wtedy mawiano. Były jednak również wyjątki: ludzie o innej profesji, zamożności oraz różnego pochodzenia. Cała ulica miała charakter wioski krytej w większości strzechą; gospodarstwa otoczone były sadami i ogrodami. Kiedyś posesje starannie grodzono, o czym świadczyły pozostałości parkanów oraz płotów. W czasie wojny nikt już nie troszczył się o estetykę ulicy. Nawierzchnia ulicy Długiej pokryta była „utwardzonym” błotem. Po deszczu pokrywały ją kałuże i gęste błoto żyznej gleby lessowej. Kamienne figury świętych przy ulicy świadczyły o wydarzeniach historycznych; na jednej z nich widniał napis: „*Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie*”, nawiązujący do jednej z licznych epidemii chorób, które nawiedzały ziemię zbarraską. Na wysokiej skarpie skrzyżowania, przed naszym domem, stała figura Najświętszej Marii Panny w błękitnej szacie. Figurę ogradzają drewniany płot, a dookoła rosną krzewy bzu. Obecność figury na tym rozdrożu była wielce symboliczna. Figura świętej zdawała się czuwać nad naszym losem. Przy każdej piątej posesji znajdowały się głęboko wiercone studnie, z których czerpano wodę za pomocą ręcznych pomp, zwanych przez nas kiernicami. Tylko na końcu ulicy, przy posesji Dąbków, znajdowała się jedna studnia kopana. Była ona tak głęboka, że oczko zwierciadła było ledwo widoczne. Natomiast w biały dzień można było w nim dojrzeć gwiazdy na niebie. Studnie stanowiły miejsce sąsiedzkich spotkań, podczas których dochodziło do wymiany bezpośrednich informacji i plotek. Woda zbarraska była bardzo smaczna i zdrowa. Czerpaliśmy ją z wiadra i piliśmy o każdej porze dnia, herbatę zaś raczej tylko w czasie choroby. Z naszą pompą miałem przykrą przygodę, kiedy w mroźny dzień koledzy namówili mnie, abym dotknął językiem dźwignię pompy. Gdy nie namyślając się długo liczałem wypolerowaną rękojeść dźwigni, mój język natychmiast przymarzył do jej powierzchni. Kiedy ostatnio odwiedziłem ulicę Długą, nasza stara kiernica nadal stała na swoim miejscu, ale jej zardzewiałe ramie wskazywało na to, że nie jest już używana.

Niektórych dawnych mieszkańców ulicy Długiej znałem dość dobrze. Dzisiaj staram się odtworzyć ich obecność w mojej pamięci. W naszym sąsiedztwie, pod numerem 31/33 w dwurodzinnym domu mieszkały rodziny Ignacego i Macieja Bojarczuków. Dom w którym żyli, miał dwa wejścia do mieszkań z dwóch przeciwnych stron. Pamiętam, że na Ignacego wołano „Pu...”, co go bardzo złościło. Pewnego razu, po takim zawołaniu, starsi koledzy uciekli, a pan Ignacy dopadł tylko mnie, ale krzywdy mi nie zrobił. Rodzina Macieja Bojarczuka liczyła czworo dzieci: Rozalię, Kazimierza, Jana i Helenę. Maciej Bojarczuk spędził jakiś czas w Stanach Zjednoczonych. Natomiast za czasów sowieckich został zesłany do pracy w kopalni węgla w Donbasie, skąd wrócił schorowany i po operacji w szpitalu we Lwowie niedługo potem zmarł. Po wojnie rodzina Bojarczuków osiedliła się w Tawęcynie koło Lęborka na

Kaszubach. Bojarczukowie mieli krewnych – Stankiewiczów w Laskach. Rodzina Stankiewiczów miała dwóch synów: Tomasza i Alojzego. Alojzy był moim kolegą szkolnym w Zbarażu, a po wojnie w Żeliszowie na Dolnym Śląsku. Tomasz natomiast stał się po latach towarzyszem wspomnień. Dalej, w sąsiedztwie Bojarczuków, mieszkali również w dwurodzinnym domu Ludwik i Ignacy Stankiewicz. Ludwik Stankiewicz miał dwoje dzieci: Mieczysława i Franciszkę (Nuškę). Mieczysław był moim bliskim kolegą. Razem uczęszczaliśmy też do szkoły w Zbarażu. Ludwik Stankiewicz grał w orkiestrze dętej w Zbarażu, brał udział w wojnie we wrześniu 1939 roku, podczas której dostał się do niewoli niemieckiej. Po wojnie rodzina Ludwika osiedliła się w miejscowości Łąka koło Bolesławca na Dolnym Śląsku. Pan Ignacy Stankiewicz miał dwóch synów, z których starszy służył w jednostce pancernej i zginął w czasie wojny. Sam pan Ignacy nie wyjechał po wojnie do Polski, pozostając na ziemi swoich przodków. Naprzeciw po drugiej stronie ulicy mieszkał pan Ignacy Burakowski. Jego syn Florian miał bogatą jak na tamte warunki bibliotekę i był kolegą mego starszego brata Karola. W czasie wojny służył w wojsku i po jej zakończeniu nie wrócił do swego ojca, który zdecydował się nie opuszczać Zbaraża. Obok mieszkała moja matka chrzestna – pani Angelika Kurajczuk z mężem Wojciechem. Pan Wojciech pracował w magistracie w Zbarażu, a wcześniej za granicą – w Ameryce. Opowiadano, że czasami przyjeżdżał do domu fiakrem, co świadczyło o jego zamożności. W jego domu słuchałem po raz pierwszy w życiu radia. Naszymi sąsiadami z drugiej strony posiadłości była bezdzietna rodzina Feliksa Szustakowskiego. Był on moim ojcem chrzestnym i pomimo dalekiego pokrewieństwa, nazywaliśmy go stryjem. W czasie I wojny światowej brał on udział w kampanii włoskiej w wojsku austriackim i był rozbitkiem na Morzu Adriatyckim. Jego fotografia w mundurze austriackiego żołnierza wisiała kiedyś na ścianie w naszym domu. Miejsce osiedlenia tej rodziny po repatriacji do Polski nie jest mi znane. Dalej, w sąsiedztwie stryja Feliksa mieszkała rodzina Karola Bojarczuka. Mieli oni murowany dom „pod blachą”, a ich syn, jeśli dobrze pamiętam Michał, był kolegą mego brata Karola. Pamiętam też, że moja babcia Łucja brała udział w spotkaniach różańcowych w domu państwa Bojarczuków. Za gospodarstwem Bojarczuków była posesja pani Hebanowskiej (imienia nie pamiętam), której zabudowania od ulicy kryły się w zieleni parku. Ojciec pani Hebanowskiej – pan Krajewski był podobno na terenie Galicji starostą. Opowiadano, że miał on oryginalny zwyczaj strzelania solą z dubeltówki do dzieci zakradających się do jego sadu. W spadku po ojcu, pani Hebanowska odziedziczyła bogatą bibliotekę, której częścią opiekowałem się w czasie ekspatriacji na ziemie zachodnie Polski. Sąsiadem pani Hebanowskiej była ukraińska rodzina Piotra Humeniuka. Miał on m.in. syna Władysława, który kolegował się również z moim bratem Karolem. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw posesji pani Hebanowskiej, mieszkał wraz z liczną rodziną brat mego ojca i mój stryjek Ignacy Szustakowski. Obok Ornawkowie i Czaplinska, a tuż przy skrzyżowaniu, za sadem Bocheńskich, stał wybudowany tuż przed wojną i jeszcze niewykończony piętrowy dom Dowhaniów. Mieszkali w nim dwaj



młodzi bracia Ukraińcy. Gdzie byli ich rodzice, tego nie umiem powiedzieć. Młodszy z nich dostał się w 1944 roku do polskiego wojska, gdzie wykształcił się na felczera. W takim też charakterze, a może już jako lekarz, pracował po wojnie w szpitalu w Radkowie na Dolnym Śląsku. Z różnych opowieści wiem, że przed wybuchem wojny w 1939 roku, młodzież polska i ukraińska z ulicy Długiej uczęszczała do wspólnej szkoły oraz brała udział we wspólnych zabawach, rozrywkach i spotkaniach. Pamiętam fragment tęsknej pieśni, którą chłopcy wtedy razem śpiewali:

*„Rozprahajte chłopci koni toj lahajte spoczywat' a ja pidu w sad zeleny w sad kryniczeńku kopat'”*

Dzisiaj wiemy, że ten sielski obraz był pozorny, ponieważ w tym samym czasie Ukraińcy prowadzili wśród młodzieży szereg nielegalnych akcji szkoleniowo-dywersyjnych skierowanych przeciw Polsce i Polakom. We współczesnych źródłach ukraińskich dominuje krytyczny ton na temat sytuacji Ukraińców w Polsce, a w szczególności na ziemi zbaraskiej: Pawło Babjak pisze<sup>2</sup>: *„Wynikiem I wojny światowej była nowa bieda; ukraińscy chłopcy byli gnębieni przez bezwzględną polską okupację. Obok ubóstwa ekonomicznego była też niesprawiedliwość religijna, kulturalna i polityczna. W miarę jak warunki polityczne zaczęły się stabilizować, Ukraińcy zaczęli szukać nowych rozwiązań w rozwoju spółdzielczości oraz w zastosowaniu nowych sposobów gospodarowania. W 1926 roku rozpoczął działalność Powiatowy Związek Kooperatyw w Zbarażu, wokół którego zaczęła się szeroko rozwijać działalność ruchu spółdzielczego”*. I dalej: *„Niestety, cały ten dorobek zniszczyła druga wojna światowa i bolszewicka okupacja. Wielu ideowych pracowników narodowych umarło w bolszewickich więzieniach, inni odeszli od nas wcześniej, a reżim moskiewsko-radziecki zlikwidował główne organizacje ukraińskiego życia, w tej liczbie Towarzystwo „Silskij Gospodar” i ukraińską kooperatywę, określając je jako „instytucje burżuazyjne, które współpracowały z polskimi obszarnikami na szkodę biedoty wiejskiej”, zmieniając gospodarzy wiejskich w bezrolny proletariat”*.

Z ostatniego fragmentu można wyciągnąć wniosek, że Ukraińcom nie było aż tak źle w Polsce, jak się powszechnie głosi i pisze.

## 3.2. Wrzesień 1939 roku

Z okresu wczesnego dzieciństwa pamiętam tylko nieliczne fakty. Jedno zdarzenie utkwilo mi jednak szczególnie w pamięci. Jak wielu moich kolegów miałem procę i celowałem z niej do wszystkiego co się ruszało. Pewnego razu wypatrzyłem młodego wróbelka. Siedział niepewnie na gałązce wiśni i ćwierkał cicho metr nad moją głową, a ja celowałem do niego i nie mogłem trafić. Trwało to chwilę, zanim się opa-

<sup>2</sup> W. Żiła (red.), *Zbarażczina – zbirnik stattej, materijałiw i spominiw*, Nowy Jork–Paryż–Sydney–Toronto 1980, s. 438.

miętałem i zlitowałem nad małym stworzeniem. Kiedy dzisiaj słyszę w krzakach wesole ćwierkanie szarych wróbelków, wspominam tamto zdarzenia. Wspominam też chwile, kiedy przebywałem w polu w okresie wiosennym. W tamtych czasach kobiety nie tylko sprawowały opiekę nad dziećmi, również ciężko pracowały. Rodzice brali mnie w pole, sadzali na miedzy, a sami w tym czasie pracowali. Pamiętam z tamtego czasu ciemnozielony kolor łąnów zbóż oraz śpiew skowronków wysoko nad ziemią. Przypominam sobie, kiedy innym razem udawałem się sańmi wraz z rodzicami na święta Bożego Narodzenia do dziadków, Marii i Łukasza w Sadkach. Dzwonki zawieszane na szyjach koni wydzwaniały melodię dzyń, dzyń, dzyń. Pamiętam też manewry wojskowe tuż przed wybuchem wojny, wojsko na podwórku, czołgi na szosie, dalekie odgłosy artylerii, wreszcie kopanie okopów przy gościńcu Tarnopolskim i tłumy ludzi uciekających z centralnej Polski z maskami przeciwgazowymi u boku. Wszyscy oni kierowali się w stronę granicy w Zaleszczykach. Pamiętam wreszcie, jak wkroczyli do Zbaraża bolszewicy. Była to wrześnieowa niedziela 1939 roku. Panowała wtedy piękna wrześnieowa pogoda, promienie słoneczne nadawały otoczeniu złocisty odcień jesieni. Od tego momentu moje doświadczenia stają się bardziej wyraźne. Wtedy zaczęła się okupacja sowiecka, a z nią nowe porządki. Na ulicy pojawiał się od czasu do czasu człowiek z werblem i ogłaszał mitingi lub odczytywał odezwy i rozporządzenia. Wkrótce potem odbyły się wybory do rad, dość oryginalne, bowiem do chorych wysyłano urny wyborcze, a w lokalach podobno podawano wódkę. Zaraz po wyborach ogłoszono oficjalnie, że ponad 99% społeczeństwa opowiedziało się za przyłączeniem Kresów Wschodnich do Związku Sowieckiego. Wydarzeniom tym towarzyszyła hałaśliwa propaganda. Zaraz po tych wyborach, staliśmy się wszyscy formalnie obywatelami sowieckimi. Jedną z pierwszych akcji po wyborach była parcelacja i przydział ziemi biedakom i małym chłopom. Jednocześnie zaczęły się aresztowania ludzi pełniących w Polsce jakiegokolwiek funkcje administracyjne i wojskowe, a następnie zaczęto wywozić całe rodziny na Sybir, głównie jednak Polaków. Wśród informatorów szczególną aktywnością odznaczyli się komuniści oraz ludzie nieprzychylni Polakom. Kiedy na stacji w Zbarażu podstawiano transport towarowych wagonów z kominkami, był to znak zbliżającej się zsyłki – bez żadnego sądu i wyroku. Przychodzili nocą, bez uprzedzenia i zabierali całe rodziny, od niemowląt po staruszków. Z napięciem czekaliśmy na podobny los, ale ten był dla nas łaskawy. Od czasu do czasu widziałem na ulicy patrole sowieckich żołdatów na nartach, umundurowanych w białe kombinezony i w spiczastych czapkach budionówkach na głowach. Stacjonowali oni w klasztorze oo. Bernardynów. Ten stosunkowo krótki okres władzy sowieckiej doprowadził do zniszczenia tradycyjnej społeczności Zbaraża. Nawet najwięksi miejscowi entuzjaści ideologii marksistowsko-leninowskiej zostali pozbawieni złudzeń, co do systemu komunistycznego panowania. Ludzi młodych i starych wysłano na Sybir, innych do łagrów, wojska lub do pracy w kopalniach węgla w Donbasie. Dzisiaj trudno w to uwierzyć, że cieszyliśmy się, kiedy w czerwcu 1941 roku wojska niemieckie uderzyły na Sowietów.

### 3.3. Okupacja niemiecka

Zdobycie przez Niemców Zbaraża poprzedziło bombardowanie Czarnego Mostu na rzece Gnieźnie. Byłem świadkiem, kiedy w niedzielne pogodne przedpołudnie, dwie połyskujące w słońcu bomby zrzucone z niemieckiego samolotu spadały w kierunku mostu. Na szczęście nie trafiły one w planowany cel ataku. Zaskoczenie było jednak tak duże, że Sowieci uciekali w popłochu zostawiając ciężki i lekki sprzęt wojskowy w bezładzie w różnych częściach miasta i okolicy. Jeden czołg przebił się przez mur i uderzył w ścianę kościoła, powodując pęknięcie ściany prawej nawy świątyni, drugi ugrzązł w bagnie rzeki Gniezny, tuż przy Czarnym Moście, pozostałe zostały prawdopodobnie opuszczone bez walki przy szosie tarnopolskiej i w innych częściach miasta. W kierunku wschodnim, na drodze do Maksymówki, stał opuszczony wóz pancerny. Wszystkie te obiekty były później przedmiotem naszego zainteresowania i penetracji. Szczególnym zainteresowaniem cieszyły się kółka z przekładni czołgów oraz maski przeciwgazowe, z których wycinaliśmy gumy na proce. Krytyczną noc przesilenia spędziliśmy w piwnicy pod stodołą, zza której słychać było głosy żołnierzy sowieckich. Przez uchylone drzwi piwnicy widzieliśmy płonące wieże kościoła oo. Bernardynów, a później przez wiele dni czarne dymy palących się magazynów paliw płynnych na stacji kolejowej. Rankiem w ogrodzie sąsiadów znaleziono zwłoki radzieckiego żołnierza. Tej samej nocy zginął też jeden z mieszkańców ulicy Długiej – Granatyr, kiedy wychylił się z piwnicy, w której ukrywał się wraz z rodziną. Wtedy zdałem sobie sprawę, że podczas wojny giną zarówno wojskowi, jak i ludność cywilna.

Niemcy opanowali miasto niemal bez walki, w ciągu jednej nocy. Następnego dnia mieszkańcy z ciekawością wypytawali czy widział już ktoś żołnierzy niemieckich i jakiego koloru mają mundury? Ku naszemu zaskoczeniu, nową sytuacją najbardziej byli ucieszeni nacjonaliści ukraińscy. W pochodach i demonstracjach manifestowali oni powstanie wolnej Ukrainy oraz głosili antypolskie i antyżydowskie hasła. Pewnego dnia na naszym podwórku pojawili się żołnierze Wehrmachtu (był wśród nich również Ślązak, który mówił po polsku) i zażądali wydania koni dla wojska. W naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie hodowano konie półkrwi angielskiej. Były to dwie siwej maści kobyły, bardzo starannie utrzymywane przez ojca. Charakterystyczną cechą ich zachowania było to, że z domu wyruszały raczej niechętnie, ale gdy napotykały przed sobą inny powóz konny, starały się go wyprzedzić. Ponadto, do domu zawsze wracały szybko i bezbłędnie. Po targach ze Ślązakiem, udało się ojcu uratować jedną kobyłę, natomiast druga została zabrana za pokwitowaniem, które po wojnie miało stanowić podstawę do rekompensaty. Ze względów wojskowych konie w tamtych czasach były w cenie. Z tego też powodu miały one wystawiane dokumenty podobne do dzisiejszych paszportów osobowych.

W nowej sytuacji, w miarę upływu czasu, warunki bezpieczeństwa ludności polskiej znacznie się pogorszyły. Powstałe już w lipcu władze ukraińskie zaczęły prze-

prowadzać rewizje i aresztowania. Aresztowano też m.in. mego ojca pod zarzutem posiadania broni. Była to wiązka zardzewiałej amunicji z czasów I wojny światowej, którą jakoby znaleziono pod podłogą w spichrzu. Sąsiada Karola Bojarczuka aresztowano, ponieważ przy ogrodzeniu jego posiadłości podobno znaleziono granat. Stefana Tendaja, uchodząc z Wołynia, który zdołał uratować się przed wywózką na Sybir, aresztowano nie wiadomo za co. Wszyscy oni byli bici i torturowani, ale po interwencji uczciwych Ukraińców, na szczęście wrócili do domu. Dla wielu innych aresztowania zakończyły się rozstrzelaniem w lesie koło Łubianek Wyższych. Później ograniczono władzę Ukraińców w ramach Generalnego Gubernatorstwa. Na mieszkańców nałożono obowiązkowe dostawy zboża i mięsa pod groźbą kary śmierci, wysyłania do obozów koncentracyjnych lub w najlepszym razie do pracy w Niemczech. Mój brat Karol został powołany do pracy w Arbeitsampcie na kolei w Tarnopolu. Wprowadzony przez Niemców system administracyjny doprowadził do tego, że w domu nie było mąki do pieczenia chleba, gdyż nie wolno było mleć zboża. Natomiast posiadanie żaren groziło karą śmierci. Apetyt na pierogi był jednak tak duży, że mąkę, mimo zagrożenia, mieliliśmy u sąsiadów. Pierogi, szare w wyglądzie, nie były jednak z tej mąki zbyt smaczne. Bydło i trzodę chlewną kolczykowano. Nielegalny chów oraz ubój zwierząt był surowo karany.

Jednocześnie Niemcy rozpoczęli realizację programu „ostatecznego rozwiązania”, czyli mordowania ludności żydowskiej. Podczas słonecznego dnia, 31 sierpnia 1942 roku, w miasteczku rozległy się strzały. Była to akcja likwidacji getta w Zbarażu. Większość Żydów, mieszkańców miasta wywieziono do obozu śmierci w Bełżcu<sup>3</sup>, część wymordowano na miejscu w okolicach zamku zbaraskiego. Tylko jednostki zdołały się uratować i schronić u mieszkańców Zbaraża i okolic. W ten starannie zaplanowany sposób zlikwidowano kilka tysięcy mieszkańców miasteczka. Ludność narodowości polskiej była również eliminowana albo przez Niemców, którzy wysyłali więźniów na przymusowe roboty do Niemiec albo mordowana przez banderowców. Zewsząd dochodziły wieści o napadach i okrutnych rzeziach polskich mieszkańcach okolicznych miejscowości, dokonywanych przez banderowców. Mieszkańcy okolicznych wiosek organizowali samoobronę, ale gdy to nie pomagało emigrowali do miasta. Był to wielki szok dla spokojnych mieszkańców okolic Zbaraża. W naszym domu mieszkali w tych czasach krewni oraz obcy ludzie, o których wspominam w innym miejscu. Szczególnym gościem naszych domów przy ulicy Długiej był też niewidomy starzec, który w myśl dawnych tradycji miał prawo do spędzenia jednej doby w każdym kolejnym gospodarstwie. Człowiek ten o nieznanym mi dzisiaj imieniu i nazwisku stanowił atrakcję dla dzieci, ponieważ opowiadał im liczne bajki i zadawał zagadki, które w tamtych czasach przypominały dzisiejsze wieczorynki telewizyjne.

---

<sup>3</sup> Nizkor FTP Internet file: [camps/aktion.reinhard/belzec.09](http://camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.09) oraz [camps/aktion.reinhard/belzec.10](http://camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.10).

### 3.4. Wyzwolenie i brak nadziei

Pod koniec 1943 roku zbliżał się ze wschodu front wojenny. Coraz wyraźniej słychać było salwy armatnich wystrzałów. Wreszcie w marcu 1944 roku nastąpiło kolejne wyzwolenie Zbaraża. Przez miasto, a także przez ulicę Długą, przemieszczał się transport wojenny: czołgi, samochody pełne wojska i sprzętów, kuchnie polowe, działa małe i duże, armaty – na kołach i bez kół. Zaraz za frontem przybywali ze wschodu ludzie w łachmanach, w słomianych kamaszach na nogach, z prośbą o wsparcie. NKWD tępiło tych nędzarzy głosząc, że w Rosji niczego im nie brak, a handlem trudnią się oni dla zysku, ponieważ otrzymane zboże, mąkę lub ziemniaki sprzedają na wschodzie według miarki na szklanki.

Podczas walk o Tarnopol nastąpiły dni i noce życia w przyfrontowym miasteczku. W tym czasie regularne niemieckie naloty i bombardowanie obiektów wojskowych, cywilnych oraz szpitala terroryzowały mieszkańców Zbaraża. Wieczorami Rosjanie wyświetlali w stodole filmy o tematyce wojennej, a kiedy nadlatywały niemieckie samoloty, sami stawaliśmy się aktorami wojennych wydarzeń. W nocy niebo rozświetlały reflektory, a wybuchy bomb i wystrzały dział przeciwlotniczych mieszały się z sobą. Czarne obłoczki na tle nieba wskazywały miejsca eksplozji pocisków przeciwlotniczych. Mimo zmasowanego ognia dział, nigdy nie doszło do trafienia samolotu. Bywało też tak, że samoloty zrzucały jarzące się lampy, które opadając powoli na spadochronach, oświetlały nocne cele bombardowania. Pewnego dnia byłem świadkiem walki powietrznej dwóch samolotów. Zdarzyło się to południową porą upalnego lata. Początkowo nic nie wskazywało na to, że są to wrogie maszyny. Krążyły one blisko siebie jak dwa bociany nad swoim gniazdem. Wreszcie jeden z nich odpalił ładunek zapalający, który trafił prosto w słomiany dach jednego z domów przy ulicy Długiej, powodując wielki pożar kilkunastu gospodarstw. Ogień, podsycany wiatrem, przenosił się z budynku na budynek, aż wreszcie został szczęśliwie zatrzymany i ugaszony tuż przed naszym gospodarstwem. Innym razem nadlatujący nisko samolot otworzył niespodziewanie ogień z karabinu maszynowego do dzieci bawiących się na podwórku. Zaskoczenie było tym większe, iż wydawało się nam, że samolot ten był oznakowany czerwonymi gwiazdami. Takich i podobnych incydentów wojennych w tamtym czasie było wiele.

Prawie wszystkim chłopakom udzielała się atmosfera wojny. Szczytem marzeń była sowiecka furażerka na głowie. Konstruowaliśmy różnego rodzaju broń, czemu sprzyjała powszechna dostępność amunicji, granatów oraz zapalników. Zdarzały się często wypadki, które kończyły się kalectwem, a nawet śmiercią młodych ludzi. Kule świsnęły czasami koło uszu, ale była wojna i wszyscy do tego już przywykli.

Jakiś czas później front przesunął się na zachód, a z kierunku odwrotnego, z zachodu na wschód zaczęły toczyć się transporty zdobyczy wojennych. Były to maszyny, sprzęty gospodarstwa domowego, rowery i wszystko co tylko można było roz-

montować, załadować na wagony i wywieźć. W tym samym czasie drogami na wschód pędzono żywe zwierzęta, głównie stada bydła. Był to przykry widok, ponieważ wiele z tych biednych zwierząt było kulawych i okaleczonych.

Gdy po wkroczeniu Armii Czerwonej wiosną 1944 roku nadal trwały antypolskie ataki terrorystyczne banderowców, a w wyniku konferencji w Jałcie i Poczdamie, nie było szans na utrzymanie tej ziemi dla Polski, Polacy zaczęli opuszczać swoją ojcowiznę pod groźbą okrutnej śmierci z rąk banderowców, względnie zsyłki na Sybir pod byle jakim pretekstem, chociażby za odmowę przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Najpierw opuszczali swoje domy ludzie najbardziej zagrożeni z okolicznych wiosek, potem pozostali.

W takich okolicznościach minęło moje dzieciństwo. Po latach wracam wspomnieniami i tęsknię za miejscem, gdzie się urodziłem i spędziłem pierwszych kilkanaście lat życia. Kiedy zaistniały warunki, zacząłem odwiedzać Zbaraż co kilka lat, odnajdując miejsca, ścieżki i kamienie z mego dzieciństwa. Nie można w pełni zrozumieć uczucia, jakie byli mieszkańcy Kresów żywią do swoich miejsc urodzenia i dzieciństwa, bez osobistego poznania tego uroczego miejsca, jego mieszkańców oraz stosunków społecznych panujących tam w różnych momentach historii. Dzisiaj nie ma już tej dawnej oryginalnej ulicy Długiej w Zbarażu i choć nazwa pozostała, to żyją tam już inni ludzie. Mimo że żyliśmy w czasach wojny, terroryzmu, wywózek i przesiedleń, tamte czasy kojarzą mi się ciągle z okresem szczęśliwym – dzieciństwem. Miałem tam kolegów: w sąsiedztwie Jasia Bojarczuka i Mietka Stankiewicza, w jakimś sensie moimi znajomymi byli również Kazik Bojarczuk i jego młodsza siostra Helena, „Nuśka” – młodsza siostra Mietka, Olga Popowicz oraz Staszek Garguliński i może jeszcze kilku innych. Bawiliśmy się w zielone i inne gry oraz zabawy, robiliśmy sobie nawzajem kawały. Byliśmy kolegami, ale nie starczyło czasu abyśmy zostali przyjaciółmi.

Dla nas Polaków początek końca starej ulicy Długiej zaczął się właściwie w atmosferze września 1939 roku, kiedy to Czarnym Szlakiem Tatarskim na ziemię zbaraską napadli Sowieci. Tamte wydarzenia dobrze oddaje wiersz Jacka Kaczmarskiego<sup>4</sup>:

### *Ballada wrześniowa*

*1. Długośmy na ten dzień czekali  
Z nadzieją niecierpliwą w duszy  
Kiedy bez słów towarzyszył Stalin  
Na mapie fajkę strzałki ruszy.  
Krzyk jeden pomknął wzdłuż granicy  
I zanim zamilkł zagrzmiały działa*

---

<sup>4</sup> J. Kaczmarski, *Ballada wrześniowa*, Internet: [http://www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/wiersze\\_alfabetycznie/kaczmarskiego/b/ballada\\_wrzsniowa.php](http://www.kaczmarski.art.pl/tworczosc/wiersze_alfabetycznie/kaczmarskiego/b/ballada_wrzsniowa.php).

*To w bój z szybkością błyskawicy  
Armia Czerwona wyruszyła.*

*Ref.: A cóż to za historia nowa?  
Zdumiona spyta Europa  
Jak to – to chłopcy Mołotowa  
I sojusznicy Ribentropa.*

*2. Zwycięstw się szlak ich serią znaczyl  
Sztandar wolności okrył chwałą  
Głowami polskich posiadaczy  
Brukują Ukrainę całą.  
Pada Podole, w hołdach Wołyń  
Lud pieśnią wita ustrój nowy  
Płoną majątki i kościoły  
I Chrystus z kulą w tyle głowy.*

*Ref.: Nad polem bitwy dłonie wzniosą  
We wspólną pięść, co dech zapiera  
Nieprzeliczone dzieci Soso  
Niezwyciężony miot Hitlera.*

*3. Już starty z map wersalski bękart  
Już wolny Żyd i Białorusin  
Już nigdy więcej polska ręka  
Ich do niczego nie przymusi.  
Nową im wolność głosi Prawda?  
Świat cały wieść obiega w lot  
Że odtąd jeden łączy sztandar  
Gwiazdę, sierp, Hackenkreuz i młot.*

*Ref.: Tych dni historia nie zapomni  
Gdy stary ład w zdumieniu zastygł  
I święcić będą nam potomni  
Po pierwszym września – siedemnasty,  
I święcić będą nam potomni  
Po pierwszym – siedemnasty.*





## 4. Dom rodzinny

### 4.1. Polacy na Ukrainie

Należy przyjąć jako bardzo prawdopodobne, że Ukraina nie była krajem pierwotnego pochodzenia moich przodków. Tak jak większość Polaków na Kresach Wschodnich, przybyli oni na tę ziemię prawdopodobnie w okresie masowej migracji spowodowanej wyludnieniem tych ziem na skutek wojen, chorób i epidemii. Żyzne ziemie Ukrainy, będące w posiadaniu ziemiaństwa, wymagały rąk do pracy, osiedlano tam na korzystnych warunkach ludzi z Polski, Niemiec i innych krajów.



Hr. Henryk Rzewuski pisał: „...Krasna Ruś jest najpiękniejszą naszą dzierzawą. Tam bez pracy prawie ziemia obdarza rolnika niezliczonym plonem, bydło tuczy się bez dozoru, najpiękniejsze konie i niezliczone trzody owiec okrywają pastwiska, a śpiewy wieśniaków i uroda wieśniaczek świadczą błogość ich życia”<sup>1</sup>.

Ten piękny kraj, który tak bardzo pokochaliśmy, był miejscem gdzie ścierały się od wieków wpływy tatarskie, polskie, tureckie, węgierskie i rosyjskie z interesami rdzennej ludności ukraińskiej.

Skąd więc wywodzą się Polacy na Ukrainie? Gdzie była wspólna kolebka ich pochodzenia? Poszukiwanie takiego miejsca postaram się przeprowadzić na przykładzie własnego nazwiska. Nie jest dzisiaj łatwe, ani prawdopodobnie możliwe ustalenie dokładnego miejsca pochodzenia naszych przodków. Nie ma bowiem dostępu do szczegółów dotyczących migracji ludzi na przestrzeni wieków. Wiele dziejowych wydarzeń decydowało o ruchach migracyjnych ludności. W ustaleniu „gniazda” nazwiska rodziny w pewnym stopniu pomocna może być dzisiaj statystyka, pozwalająca określić częstotliwość jego występowania. Należy założyć, że obecność nazwiska na pewnym obszarze nie jest

---

<sup>1</sup> H. Rzewuski, *Pamiętki Soplicy*, OW Vacatio, Warszawa 1997, s. 101.

przypadkowa, a częstość jego występowania z dużym prawdopodobieństwem może być związana z pierwotnym siedliskiem protoplasty rodziny.

Spis osobowy z roku 1992 pokazuje rozmieszczenie nazwisk na tle mapy administracyjnej Polski z roku 1992<sup>2</sup>. Z zestawienia wynika, że nazwisko Szustak najczęściej – 2076 razy występuje w województwie kieleckim (594) i warszawskim (241). Należy przypuszczać, że od tego rdzenia pochodzą inne rozwinięte formy nazwisk, głównie: Szustakiewicz (466) i Szustakowski (538). Nazwisko Szustakiewicz najczęściej występuje w województwie warszawskim (75) i skierniewickim (69). Natomiast nazwisko Szustakowski powtarza się w województwie konińskim aż 104-krotnie i warszawskim 91-krotnie (tabela 1). Przedstawiona na rysunku mapa administracyjna Polski z roku 1992 pozwala odczytać nazwy ówczesnych województw kraju.



Mapa administracyjna Polski z 1992 roku

Tabela 1. Rozmieszczenie pochodnych nazwiska Szustak w Polsce w 1992 roku

Nazwisko	Ogólna liczba	Rozmieszczenie
Szustak	2076	Wa:241, BP:4, Bs:6, BB:1, By:16, Cz:63, El:39, Gd:43, Go:59, JG:33, Kl:5, Ka:93, Ki:594, Kn:24, Ko:11, Kr:13, Lg:47, Ls:4, Lo:3, Łd:88, Ol:15, Op:19, Os:1, Pl:19, Pt:48, Pł:101, Po:48, Ra:16, Sd:7, Sr:54, Sk:33, Śl:14, Su:19, Sz:55, Tb:56, Ta:15, To:15, Wb:36, Wł:5, Wr:50, Za:1, ZG:62
Szustakiewicz	466	Wa:75, Bs:5, By:11, Cz:7, El:4, Gd:16, JG:7, Kl:7, Ka:9, Ki:15, Kn:16, Ko:12, Lu:12, Łd:5, Ol:18, Op:6, Pl:4, Pt:52, Pł:17, Po:10, Sk:69, Śl:21, Sz:41, Wr:20, ZG:7
Szustakowski	538	Wa:91, BB:1, By:8, Ci:16, El:8, Go:2, JG:20, Kl:11, Ka:5, Ki:1, Kn:104, Ko:5, Kr:1, Lg:4, Lu:28, Łd:9, Ol:2, Op:5, Os:14, Pl:25, Pt:7, Po:14, Pr:2, Ra:10, Sr:1, Sk:53, Śl:7, Sz:22, Tb:4, To:4, Wb:11, Wr:7, ZG:36

<sup>2</sup> Słownik nazwisk 1992 r.: Internet: [www.herby.com.pl](http://www.herby.com.pl).

Nazwiska pochodne od rdzenia Szostak przedstawiono w tabeli 2. Największą populacją wyróżniają się: Szostak (10192), Szostakiewicz (536) i Szostakowski (469).

Tabela 2. Rozmieszczenie pochodnych nazwiska Szostak w Polsce w 1992 roku

Nazwisko	Ogólna liczba	Rozmieszczenie
Szostak	10192	Wa:1129, BP:93, Bs:82, BB:180, By:163, Ch:106, Ci:111, Cz:30, El:173, Gd:243, Go:159, JG:203, Kl:103, Ka:, Ki:590, Kn:13, Ko:241, Kr:846, Ks:64, Lg:158, Ls:35, Lu:317, Ło:21, Łd:91, NS:77, Ol:266, Op:168, Os:66, Pl:124, Pt:5, Pł:87, Po:168, Pr:76, Ra:149, Rz:101, Sd:855, Sr:17, Sk:37, Sł:166, Su:192, Sz:207, Tb:306, Ta:288, To:41, Wb:196, Wł:25, Wr:393, Za:230, ZG:197
Szostakiewicz	536	Wa:40, BP:131, Bs:4, Ch:14, Cz:2, Gd:46, JG:1, Ka:2, Ki:9, Kr:9, Lg:7, Lu:33, Ło:4, Łd:16, Op:4, Rz:4, Sd:2, Sł:30, Su:1, Sz:15, Tb:4, Ta:9, To:1, Wb:6, Wr:21, Za:98, ZG:23
Szostakowski	469	Wa:100, Bs:7, BB:7, By:4, Ci:17, Cz:1, El:24, Gd:46, Go:1, JG:3, Kl:3, Ka:37, Kr:5, Lg:7, Lu:5, Ło:16, Ol:34, Os:1, Pl:4, Pt:1, Ra:6, Rz:1, Sł:2, Su:30, Sz:32, Tb:6, Ta:1, To:32, Wb:11, Wł:1, Wr:18, Za:6
Szostakowski Kobielis	1	Sł:1
Szostakowski vel Szostak	2	Wa:2

Nazwisko Szostak najczęściej występuje w województwie warszawskim (1129), siedleckim (855), krakowskim (846), katowickim (604) i kieleckim (590). Jak widać jest to nazwisko bardzo popularne w Polsce. Szostakiewiczze występują głównie w zamojskim, a Szostakowscy w warszawskim (100). Rody Szostaków i Szostakowskich legitymowały się herbem Łabędź. Znany członkiem tej rodziny był m.in. ziemianin Feliks Szostakowski, który działał w województwie kijowskim w XIX wieku pod zaborem rosyjskim<sup>3</sup>.

Nazwisko Szóstak (970) występuje w województwie kaliskim (263) i bydgoskim (113), a nazwisko Szóstakowski (209) głównie w województwie toruńskim (tabela 3).

Tabela 3. Rozmieszczenie pochodnych nazwiska Szóstak w Polsce w 1992 roku

Nazwisko	Ogólna liczba	Rozmieszczenie
Szóstak	970	Wa:53, BB:1, By:113, Ci:2, Cz:34, El:12, Gd:15, Go:12, JG:8, Kl:263, Ka:47, Ki:26, Kn:3, Ko:7, Kr:7, Ks:1, Lg:7, Ls:12, Lu:5, Łd:5, Ol:9, Op:3, Os:5, Pl:45, Pł:28, Po:117, Ra:29, Sd:4, Sr:8, Sk:10, Sł:15, Sz:16, Tb:5, To:12, Wb:4, Wr:18, ZG:9
Szóstakiewicz	58	Wa:8, Ch:1, Gd:3, Go:3, Ka:3, Łd:10, Pt:5, Ra:2, Sł:13, Sz:7, ZG:3
Szóstakowski	209	Wa:13, BB:2, By:12, Ci:10, El:6, Gd:23, JG:4, Ka:3, Ls:4, Lu:8, Ol:6, Po:6, Sł:4, To:102, Wr:6

<sup>3</sup> T. Bobrowski, *Pamiętniki mojego życia*, t. 1 i 2, Warszawa 1979, s. 13.

W księgach metrykalnych parafii zbaraskiej nazwisko mojej rodziny było zapisywane w postaci Szostakowski, Szustakowski oraz Szóstakowski. Ta znaczna dowolność w zapiskach parafialnych wynikała z różnej interpretacji pochodzenia oraz ortografii pisowni nazwiska. Kiedy moi rodzice udawali się na Ukrainę w latach panowania komunizmu, ojciec miał paszport wystawiony na nazwisko Szustakowski, a mama Szostakowska. W naszym sąsiedztwie żyła bezdzietna rodzina Feliksa Szustakowskiego, która była przez nas traktowana jak stryjostwo, chociaż nikt już nie pamiętał stopnia naszego pokrewieństwa. Jak wynika jednak z książki metrykalnej, stryj Feliks był świadkiem na moim chrzcie.

Na całym świecie spotkać można dzisiaj różne odmiany mego nazwiska lub jego pochodne. W pewnym stopniu statystyka występowania tych nazwisk została zaburzona wskutek migracji ludności po II wojnie światowej. Stąd ich obecność również na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski. Pewnego razu zwrócili się do mnie Robert i Ronald Szustakowscy z Buffalo w Nowym Jorku – potomkowie emigranta z okolic Wielkopolski. Poszukiwali oni swoich krewnych w kraju. W Stanach Zjednoczonych naliczyłem kilkadziesiąt adresów Szustakowskich i Szostakowskich. Nie wszyscy oni przyznawali się do wspólnego pochodzenia. Podobnie, dzięki portalowi „odnoklassniki”, znalazłem dziesiątki osób na Ukrainie i w Rosji, którzy noszą moje nazwisko w różnych odmianach. Według portalu „moikrewni” głównymi ośrodkami Szustakowskich są dzisiaj: Stargard Szczeciński i Czarnków, Bydgoszcz, Konin, Warszawa i Pułtusk, Tomaszów Mazowiecki i Żyrardów oraz Kraśnik i Opole Lubelskie. Skąd zatem wywodzą się Szustakowscy? Być może Mazowsze lub Podlasie oraz ich obrzeża były pierwotnym miejscem ich pochodzenia. Pewnym potwierdzeniem tej tezy może być informacja Lubelskiego Towarzystwa Genealogicznego o Józefie Szustakowskim, który walczył w powstaniu styczniowym w oddziale ks. Brzóska i został stracony 12 listopada 1864 w wieku 27 lat w Czemiernikach na Podlasiu<sup>4</sup>.

## 4.2. Rodzina i dom rodzinny

Moi przodkowie żyli od stuleci w Zbarażu. Najwcześniejszym zapisem metrykalnym moich przodków, jaki odnalazłem w księdze parafialnej Zbaraża, jest akt urodzenia Jana Gwalberta Szostakowskiego, z dnia 1 lipca 1779 roku, syna Andrzeja i Katarzyny, którzy mieszkali na Przedmieściu Tarnopolskim Zbaraża pod numerem 602. Prapradziadkiem moim był prawdopodobnie urodzony w 1790 roku Dionizy Szustakowski, którego syn Jan (1831–1865) ożenił się z Katarzyną Obszarską. Z tego małżeństwa urodził się mój dziadek, Antoni Szustakowski (1865–1936). Po przedwczesnej śmierci ojca, dziadek Antoni został pól sierotą, a matka powtórnie zawarła

---

<sup>4</sup> Lubelskie Towarzystwo Genealogiczne, Internet: <http://www.ltg.pl/content/view/112/53/>.

związek małżeński z Mateuszem Stockim. Z opowieści rodzinnych wynikało, że jako-by dziadek Antoni miał jeszcze dwóch braci, którzy wyemigrowali do pobliskich Podwołoczysk w poszukiwaniu pracy na kolei. Ich dalsze losy nie były znane. Mój dziadek Antoni ożenił się z Łucją Tokarczuk (1870–1953), pochodzącą z pobliskich Łubianek Wyższych. Jak przystało na dobrych gospodarzy postawili oni dom na Przedmieściu Tarnopolskim w Zbarażu pod numerem 1021, jak to wynika z zapisów w księdze parafialnej oo. bernardynów. Po latach okazało się, że dom stał przy ulicy Długiej lub Tadeusza Kościuszki w okresie międzywojennym. Dziadkowie mieli siedmioro dzieci; trzech synów: Tomasza (1894–1972), Ignacego (1900–1970) i Jana (1905–1985) oraz cztery córki: Franciszkę (1890–1966), Józefę (1897–1949), Wiktorię (1912–1992) i Zofię (1917–1989). Wszyscy oni mieli potomstwo, oprócz ciotki Zosi, która z wujkiem Wojciechem Lewandowskim dzieci nie miała. Ciocia Franciszka Sasowska mieszkała w Łubiankach Wyższych odległych o kilka kilometrów od Zbaraża. Ciocia Józefa Szuber żyła tak jak i my przy ulicy Długiej w Zbarażu. Niedaleko od naszego domu przy ulicy Długiej gospodarzył również stryj Ignacy Szustakowski. Odznaczał się on wesołym usposobieniem i specyficznym poczuciem humoru oraz fantazją. Nieraz żartował, że nie pochodzi z prostej rodziny, nawiązując do faktu, że jego ojciec miał jedną nogę krótszą i był kulawy. Miała to być aluzja do rzekomo szlacheckiego pochodzenia jego przodków. Był on człowiekiem bardzo wrażliwym i uczynnym dla osób potrzebujących pomocy. Stryj Jan Szustakowski wraz z rodziną pobudował się na Nowym Rogowcu, na ziemi po parcelacji majątku ziemskiego. Wyróżniał się inteligencją i dużym taktem. Ciocia Wiktoria Stocka mieszkała na Przygródku, tuż pod murami zbaraskiego zamku. Po mobilizacji męża Juliana, wiosną 1944 roku, zmuszona była sama wychowywać czworo małych dzieci. Ciocia Zofia Lewandowska zamieszkała w pięknie położonej okolicy w Czaharach Zbaraskich. Obie moje ciotki, Wikta i Zosia, były bardzo serdeczne i potrafiły rozładować nawet największe napięcie emocjonalne, dzięki czemu były bardzo lubiane. Miały one pogodne usposobienie i zyskały sobie wielki szacunek wśród rodziny i znajomych. Mimo że rodzina mieszkała w różnych miejscach, to utrzymywała z sobą bliski kontakt, czemu sprzyjali rodzice. Dziadek Antoni bardzo interesował się losem swoich dzieci i wnuków. Ale potrafił być porywczy. Kiedy ulubionemu synowi – Ignacemu urodziła się trzecia z kolei córka, był tak bardzo niezadowolony z tego faktu, że trzasnął drzwiami tak, aż chata się zatrzęsła. Podczas narodzin czwartej z rzędu wnuczki już nie żył. Nie doczekał też urodzin następnych trzech wnuków, których przyjście na świat sprawiłoby mu niewątpliwie wielką radość. Mój ojciec – Tomasz Szustakowski miał trzech synów: Karola (1923–1978), Władysława (1929–1993) i Mieczysława (1934). Bliskie kontakty rodzinne nie wykluczały jednak drobnych konfliktów. Pewnego razu na naszym podwórku doszło do spięcia między moim ojcem a jego bratem Ignacym. Przyczyną były grabie. Kiedy stryjowi się połamały, udał się do swojej mamy, aby je wymienić na nowe, ale nowy gospodarz, który jako najstarszy syn przejął w międzyczasie gospodarstwo po rodzicach, uznał to za grabież. Doszło do przepy-



Łucja Szustakowska z braćmi Szymonem i Karolem Tokarczuk. Ścinawka Średnia ok.1950 r.



Rodzina Szustakowskich. Siedzą od lewej: Maria z Tendajów Szustakowska z synem Wiktorem, Anna i Tomasz Szustakowscy. Stoją od lewej: Karol, Mieczysław i Władysław Szustakowscy. Żeliszów 1951 r.

chanki i zrobiło się nieprzyjemnie. Nie wiem, czy incydent ten zapisał się w pamięci bezpośrednich bohaterów wydarzenia, ale w mojej pamięci pozostawił on swój trwały ślad. Dziadek ze strony matki, Łukasz Komendat – wyznania greckokatolickiego oraz jego żona Maria z domu Gurgurewicz – wyznania rzymskokatolickiego, mieszkali naprzeciw siebie po obu stronach rzeki. Dwaj bracia Łukasz i Wasyl wzięli sobie za żony siostry Marię i Józefę Gurgurewicz. W ten sposób cała posiadłość po obu stronach rzeki pozostała w rodzinie. Było kiedyś w zwyczaju, że dzieci były chrzczone i wychowywane według wiary obojga rodziców. W tym przypadku moja mama była chrzczona w kościele i wraz z babcią uczęszczała do kościoła, a jej czterej bracia z dziadkiem do cerkwi. Tylko w wielkie święta uczęszczano zarówno do kościoła, jak i do cerkwi.

Stosunki międzyludzkie na ziemi zbaraskiej kształtowały się przez wieki. W trudnych chwilach udzielali sobie wzajemnie pomocy krewni, sąsiedzi i znajomi. Powszechnie obowiązywał system tłoki, który gromadził ludzi do pomocy przy wykonywaniu większych prac gospodarczych, jak budowa domu, żniwa, wykopki lub omloty. Ludzie byli solidarni w sytuacjach krytycznych. W roku 1940 moi rodzice zdołali przekonać enkawudzistów i uchronić Marię i Łukasza Komendatów, rodziców mojej mamy ukrywających się w naszym domu, przed wywózką na Sybir. Natomiast w roku 1941 mój dziadek – Łukasz Komendat wystarał się o zwolnienie z aresztu mego ojca i jego towarzyszy, uwięzionych przez Ukraińców w pierwszych dniach okupacji niemieckiej. W czasie Holokaustu wielu mieszkańców ziemi zbaraskiej ratowało Żydów, mimo groźby kary śmierci.

W roku 1943 wszystkich mężczyzn zdolnych do służby powołano do wojska. Mój ojciec został powołany w pięćdziesiątym roku życia i służył w jednostkach zaopatrzenia frontowego. Miał pod opieką konika oraz wóz i robił właściwie to, co potrafił i lubił. Brat Karol trafił do Szkoły Oficerskiej Piechoty w Riazaniu, a następnie w Krakowie, po której służył w 38 Łużyckim Pułku Piechoty 8 Dywizji II Armii Wojska Polskiego. Do wojska zostali też powołani nasi krewni: stryjek Ignacy (kawaleria) i Jan (artyleria) oraz wujek Julian Stocki. Wujek Julian zaginął w czasie forsowania Wisły pod Warszawą w 1944 roku. Mój kuzyn – Jan Szuber został powołany do Armii Czerwonej już w 1939 roku dlatego, że wbrew prawu stał się obywatelem radzieckim, jak my wszyscy, a następnie służył w Wojsku Polskim. Wtedy, w czasie wojny, Polacy walczyli na wielu frontach, a także w podziemiu o wolną Polskę.

Naszym domem rodzinnym była gliniana chata, której drewniany szkielet wypełniała glina zmieszana ze słomą. Dom był kryty strzechą. Mieścił sieni i trzy izby: duży pokój gościnny, alkierz oraz podłużną kuchnię. W dużym pokoju znajdowała się podłoga drewniana, pomalowana na kolor hebanowy, natomiast w pozostałych izbach podłoga była z lepionej gliny. W okresie II wojny światowej dom liczył sobie już kilkadziesiąt lat. W suficie kuchni znajdowały się dwa żelazne haki. Babcia Łucja opowiadała, że na tych hakach zawieszano plecioną kołyskę dla niemowląt. Dom oświetlano przy użyciu lamp naftowych. Instalację elektryczną w naszym

domu założono dopiero w 1942 roku. Pomieszczenia ogrzewano za pomocą kuchni-pieców, w których palono drewnem. Do pieczenia chleba służył piec chlebowy. Na zimę chatę ocieplano „zagatą” – warstwą słomy i liści drzew okrywającą zewnętrzne ściany domu. W chacie latem panował chłód, zimą natomiast było ciepło i przytulnie, a szyby okien pokryte fantastycznymi lodowymi rzeźbami stwarzały bajkowy nastrój.

Na terenie posesji znajdowały się również zabudowania gospodarcze: stajnia z chlewem murowana z kamienia i kryta blachą ocynkowaną, drewniany kurnik, stodoła z młockarnią, spichlerz z wozownią i drewnutnią oraz bróg. Oprócz stajni wszystkie budynki były kryte słomą. Stodoła składała się z klepiska oraz, po jego obu stronach – zapola, na których składano zboże i słomę. W stodole znajdowała się młockarnia napędzana kieratem. Czasami zboże młócono cepami, aby otrzymać prostą słomę do krycia dachów. Do oczyszczania zboża używano wialnię-młynek. Wozownia była miejscem, gdzie przed wpływami atmosferycznymi chowano narzędzia i sprzęt gospodarczy. Stały tam też sanie towarowe oraz osobowe, zwane załubniami, pług, brony, haki itp. Pod stodołą i spichlerzem znajdowały się dwie piwnice, zwane lochami, w których przechowywano ziemniaki i inne płody rolne. W piwnicach tych latem przechowywano także w glinianych garnkach mleko, nastawiane na śmietanę i zsiadłe mleko. W centralnej części zabudowań znajdowało się podwórze, które było regularnie zamiatane w każdą sobotę. Za zabudowaniami znajdował się sad, a w nim kryty słomą, zagłębiony w ziemi stebnik do przechowania na zimę pni pszczoł. Była to pozostałość po dziadku Antonim, który zajmował się pszczelarstwem i miał dużą pasiekę. Dalej za sadem był ogród, a następnie laski. Od strony ulicy znajdował się mały kwietnik. Posesja nasza przy ulicy Kościuszki 35 (Długiej), położona była tuż nad skarpą, na rozwidleniu ulic, co trochę utrudniało wjazd i wyjazd z podwórka. Na skarpie znajdowała się figura Najświętszej Marii Panny w niebieskim płaszczu. Zimą skarpa służyła nam do zjazdów na sankach, nartach, łyżwach i butach.

W latach 1945–1946 figura ta była przedmiotem ataków „bezprizornych” dzieci, mieszkańców pobliskiego „dietdomu”, którzy wychowywani w duchu antyreligijnym, usiłowali niszczyć obiekty kultu religijnego na terenie parafii zbaraskiej. Pomimo tego do czasu naszego wyjazdu udało się nam skutecznie uchronić figurę przed zniszczeniem. Po latach zastaliśmy w tym miejscu już inną figurę NMP z trójzębem – herbem Ukrainy.

W skład inwentarza żywego naszego gospodarstwa wchodziły: konie, krowy, świnie oraz kury. W wyposażeniu gospodarstwa znajdowały się również narzędzia i sprzęt niezbędny do samodzielnego prowadzenia domu. Dawne gospodarstwa były w dużym stopniu samowystarczalne. Uprawiano i wytwarzano w nich możliwie wszystko, co było potrzebne do życia. Między innymi uprawiano konopie, których ziarno służyło do wytwarzania oleju spożywanego w okresie adwentu i postu. Produktem ubocznym były makuchy, którymi karmiono bydło, a z łądyg konopi otrzy-



mywano włókno, z którego wytwarzano nici oraz sznurek. Proces wytwarzania włókien konopnych był dość skomplikowany, obejmował najpierw rośnięcie łądyg w rzece, następnie suszenie, międlenie, czesanie, przedzenie nici lub kręcenie powrozów i sznurka. Międleniem, czesaniem i przedzeniem zajmowały się zwykle kobiety, szczególnie babcie. Do przedzenia nici używano kądzieli i kołowrotek. Z nici konopnych wytwarzano bieliznę pościelową, bieliznę osobistą, kilimy oraz odzież. Zastanawiam się dzisiaj, w jakim stopniu rośnięcie konopi w stawach i rzekach wpływało na ekologię wód powierzchniowych. W tamtych czasach nie słyszałem o zatruciu wody i śniętych rybach w rzekach.

Dziadkowie i ich potomkowie utrzymywali się z uprawy ziemi. Mając siedmioro dzieci mój dziadek musiał podzielić swój majątek tak, aby każde z nich obdarzyć kawałkiem ziemi na samodzielnej drodze życia. Oprócz pola dawano dzieciom w wianie: córce krowę, a konia synowi. Ponieważ nie było przemysłu, ziemia stanowiła w tamtych czasach bezcenny skarb dla mieszkańców Kresów Wschodnich. Ludzie ciężko pracowali, żeby pomnożyć swój stan posiadania. W tym celu udawali się również do Ameryki, aby tam zarobić pieniądze potrzebne na zakup upragnionej ziemi. Z powodu dużego zapotrzebowania i deficytu ziemi, możliwości jej nabycia były niewielkie. Tylko parcelacja bądź bankructwo majątków ziemskich w różnych okresach dawały szansę nabycia kawałka ziemi. Do czasu zniesienia pańszczyzny ziemia należała prawie wyłącznie do ziemiaństwa i Kościoła. Po uwłaszczeniu, z biegiem lat powstawały konflikty, których istotą była walka o ziemię.

Mój ojciec, podobnie jak inni drobni rolnicy, uprawiał ziemię w wąskich zagonach pola, położonych w północno-wschodnich stronach Zbaraża. Pamiętam niektóre nazwy tych pól: Pizuńczaka, Czyste Jezioro, Kierniczki, Głębocek. Rodzice pracowali ciężko. Wstawali o świcie i kładli się spać późnym wieczorem. Były to czasy bardzo niestabilne oraz niebezpieczne. Trudno było się czegośkolwiek dorobić. Rodzice przedłużali jedynie swoją i naszą egzystencję. W tej sprawie nic się nie zmieniło po naszej ekspatriacji na Ziemię Zachodnie Polski. Kiedy wprowadzono przymusową kolektywizację wsi, nastąpił ostateczny upadek tradycji i zniknął szacunek dla ziemi.

Z racji profesji rodziny miałem w dzieciństwie i w młodości bezpośredni kontakt z przyrodą. Bardzo mocno utkwiły w mojej pamięci wrażenia związane z porami roku. Urodziłem się na wiosnę, pod znakiem Barana, dlatego ta część roku była mi szczególnie bliska. Wiosenne promienie słońca w oka mgnieniu zmieniały pokłady śniegu w rwące potoki. W pobliskich laskach śnieżyczki wyrastały wprost spod topniejącego śniegu i tworzyły białe dywany kwiatów. Na podwórku radośnie ćwierkały wróbelki. Dni stawały się coraz dłuższe i cieplejsze. Sady pokrywały się kwieciami. Kiedy wreszcie można było zdjąć ciężkie zimowe buty z cholewkami, nogi stawały się tak lekkie, że śmigały szybko po ścieżkach wilgotnej jeszcze ziemi. Na żyznych polach rosły zboża przetykane gdzieniegdzie czerwonymi makami i niebieskimi chabrami, a nad nimi zawieszono wysoko w górze, śpiewały jednostajnie skowronki, a w trawie

grały świerszcze. Zapach zbóż, trawy i zielska oraz parszkające w pobliżu konie tworzyły niezapomniany, pogodny nastrój.

Lato to jasnożółte, dojrzałe, ciężkie kłosa pszenicy, żyta, jęczmienia. Gdzieniegdzie pola zbóż przecinały wąskie zagony gryki, konopi, lnu, kapusty, kukurydzy, buraków i ziemniaków. Lato to też znojnny okres zbiorów. Sierpami i kosami ścinano dojrzałe źdźbła zbóż, wiązano starannie w snopy i układano w kopy. W tym czasie, poza okresem okupacji sowieckiej, najmowano do pracy robotników za ósmy snop. Charakterystyczne kopy zbóż stały na polach do czasu, kiedy można je było zwozić do stodół. W okresie zniw po drogach jeździły tam i z powrotem drabiniaste wozy pełne snopów zbóż. Był to okres pośpiechu, ponieważ trzeba było zdążyć zwieźć suche zboże do pustych stodół. Z latem kojarzą się także wakacje, czas wolny od nauki, ale też czas pomocy w pracy rodzicom. Głównym zajęciem dzieci w czasie wolnym od szkoły był wypas bydła. Pędziliśmy bydło rankiem daleko na gminne pastwiska, skąd powracało się dopiero wieczorem.

Jesienią zaczyna się nowy rok szkolny, ale jest to też okres zbiorów płodów rolnych: ziemniaków, buraków, kapusty itp. Konopie i len moczono w wodach rzeki, a następnie, po wysuszeniu, międlono, czesano i przędzono nici. Jesień to bardzo pracowity okres w gospodarstwie, poświęcony przygotowaniom do zimy. Aby ochronić domy przed nadchodzącym zimmem ocieplano je z zewnątrz słomą i liśćmi drzew.

Zima była okresem wytchnienia po ciężkiej pracy, której i w tym okresie nie brakowało, a jednocześnie bardzo trudnym czasem obfitych śnieżyc, zawianych dróg i dużych mrozów. Zima to również radosne Święta Bożego Narodzenia, kolędowania, ślizgania się na butach i łyżwach oraz zjeżdżania na sankach. W czasie wojny zimy były bardzo surowe. Śnieg przychodził nagle i – jak mi się wydawało – zwykle w nocy. Kiedy rano budziliśmy się, za oknem było już białe. W ciągu kilku dni grubość pokrywy śnieżnej rosła do kilkudziesięciu centymetrów; wiatr tworzył zaspas tak wielkie, że całe ulice były pokryte zaspami śnieżnymi. Tęgi mróz ścinał powierzchnię rzeki i stawów, drzewa pokrywały się szronem. Świat przybierał bajeczną postać. Śnieg leżał długo, aż do wiosny. Drogi i podwórka musiały być odśnieżane, aby uniknąć powodzi. Z podwórka wywożono więc śnieg na saniach. Drogi odśnieżano pługami. Całe to zamieszanie było spowodowane szczególnym mikroklimatem ziemi zbaraskiej.

Czasami chorowaliśmy, najczęściej były to przeziębienia. W mieście był lekarz o nazwisku Landau, który w razie potrzeby odwiedzał chorych w domu. Przepisywał wtedy jakąś cierpką w smaku miksturę, być może zawsze tę samą – jedną łyżkę stołową trzy razy dziennie. W cięższych przypadkach ordynował zastrzyki. Przeprowadzano też kurację według starych wypróbowanych sposobów – stawiano bańki lub nacierano. Powszechnie stosowany był rosół z tłustej kury dla wzmocnienia organizmu, a na poty zaparzano herbatę z kwiatu lipowego, w przypadku braku lipowego kwiatu – z ciętych pędów malin, które rosły akurat w ogródku. Starszym osobom przystawiano pijawki w celu upuszczenia starej krwi. Na ból głowy używano proszki

z kogutkiem. Ten kto przetrzymał chorobę przez kilka dni, mógł mieć nadzieję na powrót do zdrowia. Natomiast wszyscy panicznie bali się szpitala, który uważany był za miejsce, z którego nie ma powrotu. W czasie wojny występowały powszechnie: wszawica, pchły, świerz b i owrzodzenia ciała. Wszystkich tych „plag” doświadczyłem osobiście. W zwalczaniu tych dolegliwości służył nam pomocą, stacjonujący w naszym domu, rosyjski lekarz wojskowy w randze pułkownika. Wszawicę zwalczało się dzięki myciu włosów naftą, świerz b leczono wodą siarkową, a owrzodzenia ciała roztworem nadmanganianu potasu.

Dla dzieci, mimo wojny, był to czas względnie beztrudnej zabawy. Cały ciężar egzystencji brali na siebie dorośli, nie wtajemniczając w to dzieci. Nawet tęgie mrozy nie stanowiły przeszkody do zabawy na dworze. Po okresie jesiennych słońc nadchodził inny świat. Dodatkowego nastroju i podniecenia dodawały zbliżające się Święta Bożego Narodzenia, najwspanialszy czas w całym roku. Najpierw był jednak adwent – czas powagi, postu, wyczekiwania oraz pracy. Dbali o te tradycje nasi dziadkowie i rodzice. W stodołach młócono zboże – często cepami, aby uzyskać prostą słomę do pokrycia dachów chat, w drewniarniach piłowano i rąbano drzewo. Potrawy świąteczne były proste i postne. Żadnego mięsa, ani masła czy smalcu, tylko olej konopny, aż do Świąt. Dzieci miały więcej przywilejów – chleb czy pierogi mogły posmarować masłem, jeśli akurat było. Wcześniej prowadzono przygotowania do Świąt; zabijano wieprza (w czasie okupacji niemieckiej pod karą śmierci), wędzono kielbasy, szynki, wytapiano smalec itd., pieczono chleb, ciasta i ciasteczka. Dzień lub dwa przed Wigilią preparowano pszenicę na kutię. Robiło się to w tzw. stepach. Była to drewniana machina z wyżłobionym pniem, do którego nasypywano ziarno pszenicy, zwilżano wodą i poddawano łuszczeniu przez ubijanie drewnianym tłuczkiem, osadzonym na drewnianym drągu, który zawieszony w połowie na podstawie, tworzył rodzaj dźwigni-huśtawki. Stawało się na tym drągu i wahało niczym na huśtawce. Była to ulubiona praca dzieci. W Wigilię postępowano według starych zwyczajów. W wieczór wigilijny wszyscy oczekiwali pierwszej gwiazdki na niebie. Choinki w domu nie stawiano. Wieczorem ojciec wnosił do pokoju snop żyta, zwany dziadem i stawiał go w ekspozycyjnym kącie pokoju. Między kłosa wkładał opłatek. Pod obrus na stole kładł siano, a na podłogę słomę. Można sobie wyobrazić, jaka była radość dzieci. Czuliśmy się zapewne tak, jak święte zwierzątka w stajence. Nastrój stawał się podniosły, a duszę ogarniało jakieś nieokreślone uczucie. W kuchni ciągle jeszcze mama krzątała się przy posiłkach, smażyła ryby, robiła kutię. Ojciec też zdawał się być czymś zajęty; odwiedzał stajnię i chlew, zachodził do spichlerza i stodoły. Pozostali kręcili się nerwowo. Wreszcie nadchodził czas wieczerzy. W powietrzu czuć było zapach siana i zapalonej świecy. Wszyscy zbierali się w pokoju przed obrazem, klękali i cicho się modlili. Następnie ojciec brał opłatek, dzielił się najpierw z mamą, potem kolejno z nami – dziećmi, wreszcie wszyscy dzielili się między sobą – już bez ustalonego porządku. Wreszcie siadaliśmy do stołu. Wieczera wigilijna składała się z wielu potraw. Nikt chyba nie starał się, aby było ich dokładnie dwanaście jak kazała tradycja, ale było ich

wiele. Najpierw dania ciepłe: barszcz czerwony, pierogi ruskie, pierogi z kapustą, kluski z makiem i gołąbki. Następnie śledzie w śmietanie oraz ryby: smażone i w galarecie. Potem ciasta: pączki i ciastka. Wreszcie na deser kutia. Był też zawsze kompot z suszonych jabłek, gruszek i śliwek. Pod koniec wieczery śpiewano kolędy, najpierw z pamięci, potem z kantyczki – pękatej książeczki zawierającej kolędy, pastorałki oraz pieśni ludowe poświęcone narodzeniu Jezusa; nieraz bardzo dowcipne. Przed północą udawaliśmy się do kościoła na pasterkę. W kościele tłum ludzi podchwytował zaintonowane przez organistę kolędy: „Bóg się rodzi”, „Wśród nocnej ciszy” itd. Szczególnie ulubioną była kolęda „Do szopki hej pasterze” oraz „Pójdźmy wszyscy do stajenki”. Nastrój w kościele był podniosły i radosny. W takim też wracaliśmy do domów. Pod nogami skrzypiał śnieg, gdyż mróz bywał tęgi. Następnego dnia, w pierwszy dzień Świąt, jadało się śniadanie świąteczne złożone z przysmażanej kaszanki, odgrzewanych pierogów czy też gołąbków. Wszystkie te potrawy miały niepowtarzalny smak, ponieważ przez cały adwent czegoś takiego nie jedliśmy, a poza tym były one naprawdę smaczne.

Do kościoła chodziliśmy indywidualnie, o różnych porach dnia. Zwyczajowo młodszy członkowie rodziny szli na godzinę dziewiątą, dorośli na siódmą, ósmą lub na sumę. W pierwszy i drugi dzień Świąt domy odwiedzały kolędnicy. Byli to chłopcy i dziewczęta, których repertuar ograniczał się zwykle do kilku podstawowych kolęd. Za występ otrzymywali parę złotych oraz ewentualnie coś ze świątecznego stołu. Ich występy były szczególnym przeżyciem dla dzieci. Niestety Święta, kiedy nasi ojcowie i bracia zostali powołani w 1944 roku do wojska, nie były już tak radosne. Były to bardzo trudne czasy. Trwała okrutna wojna, a front przesuwał się w jedną i drugą stronę. Samoloty zrzuciły bomby, ostrzeliwały z karabinów maszynowych. W nocy napadali banderowcy i mordowali bezbronnych: matki, dzieci i starców. Zewsząd dochodziły złe wiadomości o tych wydarzeniach. Dzieci się bały, ale prawdziwe zmartwienia były sprawą dorosłych.

Zaraz po Świętach, wieczorami chodzili kolędnicy: panowie – kolędowni: „W dzień Bożego narodzenia” lub „Bóg się rodzi”, panny – „W żłobie leży”, kawalerowie – „Z Narodzenia Pana dziś dzień wesoły”, a dzieci śpiewały najczęściej „Wśród nocnej ciszy”. Mogło też być zupełnie inaczej. Zwyczaj ten utrzymywał się jednak tylko wśród rzymskich katolików. W drugi dzień Świąt był zwyczaj posypywania się zbożem, na pamiątkę ukamienowania św. Szczepana. Odpowiednikiem tego zwyczaju w kościele był moment pokropienia wiernych wodą święconą. Pamiętam księdza o nazwisku Cymbalista, który mimo głowy osłoniętej kapturem, bardzo cierpiał i złościł się na tę tradycję.

Bardzo ważnym nabożeństwem kościelnym były nieszpory w ostatnim dniu staro-go roku. Było to podsumowanie całego minionego roku. W Nowy Rok dzieci chodziły do znajomych domów z powinszowaniem noworocznym. Winszowało się: „*Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok, oby Wam się rodziła pszenica i groch...*”. Święta trwały do Trzech Króli.

A wtedy... zaczynały się ruskie Święta Bożego Narodzenia. W tamtych trudnych czasach tradycja wzajemnych bliskich kontaktów rodzinnych ciągle była jeszcze żywa. W wigilię ruskich świąt ojciec zaprzęgał konie do sanek, koniom zakładał na szyję pas z dzwonekami, po czym ruszaliśmy do babci Marii. Dzwonki donośnie dźwięczały. Ruch w miasteczku był duży, gdyż ludzie jeździli w różne strony w odwiedziny i na przejażdżki.

Ruska Wigilia nie różniła się wiele od polskiej. Pamiętam jednak nieco inny nastrój – bardziej surowy. Nie było tradycyjnego opłatka. Zamiast niego była przasna bułka zwana proszą, którą dzielił się tak jak opłatkiem. Potrawy przypominały nasze: barszcz, pierogi, gołąbki, ryby, pączki... Na końcu podawano kutię. Pod koniec wieczery śpiewano kolędy ruskie i polskie. Dziadek Łukasz mawiał, że nie ma piękniejszych kolęd i pastorałek niż polskie. Kiedy nadchodził czas zbierania się do domu, zdarzało się, że nie można było odnaleźć moich butów, ponieważ gdzieś się zapodziały. Dzięki temu niewinnemu podstępowi zostawałem u babci na jeden lub dwa tygodnie. W czasie wojny do szkoły najczęściej się nie chodziło. Zima jeszcze trwała. Bywały wtedy tęgie mrozy, a ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu. Po Świętach dziadek wynosił z domu dziada – snop żyta oraz słomę, którą następnie palił według tajemniczego obrzędu, wywodzącego się prawdopodobnie z czasów pogańskich.

W dzień święta Trzech Króli, ojciec pisał kredą na drzwiach domu trzy litery: K+M+B, a w święto Matki Boskiej Gromnicznej kreślił płomieniem gromnicy krzyż na odrzwiach domu. Był to znak, że okres Świąt Bożego Narodzenia już się kończył.

Święta Wielkanocne kojarzyły się z radosną odmianą po okresie Wielkiego Postu. Tuż przed Świętami ksiądz przybywał do domu i święcił potrawy wielkanocne: jajka, sól, kielbasy, szynki oraz babki. Wokół czuć było wiosnę, dzwony kościelne ogłaszały zmartwychwstanie Pana. Szczytowym momentem Świąt było wielkanocne śniadanie i dzielenie się święconym jajkiem. Na stole leżał pszenny biały chleb oraz wędliny, pękate lśniące baby, pierniki, makowce i ciastka. Na obiad tradycyjnie – tłusty czerwony barszcz lub żurek i biała kielbasa. Nieodłącznym atrybutem Świąt Wielkanocnych były gotowane jajka, zajączki, palmy oraz kolorowe pisanki i kraszanki. Te ostatnie były barwione w wywarze z lupinek cebuli lub w innych naturalnych barwnikach. Były one często przedmiotem zabawy polegającej na zbijaniu i wygrywaniu rozbitych kraszerek. Zwyciężały te kraszanki, które miały najmocniejszą skorupę. Największą atrakcją drugiego dnia Świąt stanowił lany poniedziałek, kiedy to chłopcy urządzali oblewanie dziewczyn.

Trzecimi pod względem znaczenia były Zielone Święta, które nie były już jednak tak bogate, a wyróżniały się tym, że przed domem stawiano zielony maik, na podłodze domu zaś układano tatarak, którego ostry zapach stwarzał specyficzny nastrój.



## 5. Ewakuacja

### 5.1. Zagrożenie

W latach 1943–1946 na Wołyniu i Podolu rozgrywały się dramatyczne wydarzenia, które chyba nigdy wcześniej nie miały podobnego charakteru. Mówią o tym liczne relacje naocznych świadków z tamtych dni<sup>1</sup>. Kiedy w roku 1944 nasi ojcowie i bracia zostali powołani do służby wojskowej, część Ukraińców poszła do lasu, w myśl dyrektyw Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), gdzie wstępowali do Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).



Ziemia zbaraska była obszarem o stosunkowo małej aktywności UPA w pierwszym okresie jej działalności. Ten fakt tłumaczy się tym, że na ogół stosunki łączące Polaków i Ukraińców, tak cywilnych, jak i kościelnych były dobre<sup>2</sup>. Jak dzisiaj wiadomo, organizowanie UPA oraz pierwsze masowe morderstwa dokonywane na Polakach miały miejsce na Wołyniu. Uważa się, że było to spowodowane sprzyjającymi warunkami geograficzno-społecznymi na Wołyniu. Stamtąd banderowcy robili wypadki na pobliskie osady poza Wołyniem. Działalność UPA na przełomie 1943/44 na ziemi zbaraskiej należałoby być może łączyć z jej przegrupowaniem na zachód w związku ze zbliżającym się frontem radziecko-niemieckim.

Dzisiaj uczestnicy tamtych wydarzeń wspominają o tych akcjach oraz drukują listy poległych na polu chwały. Z wielu publikacji dowiadujemy się o organizacji UPA, podziale na regiony, bataliony i oddziały. Poznajemy imiona i pseudonimy członków

---

<sup>1</sup> H. Komański, Sz. Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Nortom, Wrocław 2006.

<sup>2</sup> J. Kachel, *Dzieje kościoła i klasztoru oo. Bernardynów w Zbarażu (1628–1946)*, Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 2001, s. 160.

oddziałów. W czasach, kiedy miały miejsce te dramatyczne wydarzenia nie mieliśmy pojęcia o istnieniu UPA. Powszechnie mówiliśmy jedynie o banderowcach.

Według Litopisu UPA vol. 12<sup>3</sup> w opracowaniu „Moje krótkie doświadczenie w UPA”, napisanego przez Zbruczyńskiego, znajdujemy informacje o wydarzeniach, które miały miejsce na obszarze linii frontu radziecko-niemieckiego na linii rzeki Seret w okresie wczesnej wiosny 1944 roku. Autor opracowania pochodził z wioski Rożyska w powiecie Podwołoczyska. Kiedy Armia Czerwona wkroczyła na tamte tereny, zarówno on, jak i inni młodzi Ukraińcy z wioski, ukryli się, aby uniknąć mobilizacji do wojska. Późną wiosną przeszedł na Wołyń, aby wstąpić do oddziału UPA dowodzonego przez „Topolia”, który działał w pobliskich lasach Miodoborów równoległe z oddziałem dowodzonym przez „Bystrego”. Te dwa oddziały manewrowały pomiędzy wojskami Armii Czerwonej w strefie przyfrontowej, aby przebić się do lasów Wołynia. W lesie koło Łubianek w powiecie zbaraskim oddziały te wdały się w potyczkę z oddziałem Armii Czerwonej. W czasie bitwy nasz bohater odłączył się od swego oddziału, a następnie został schwytany przez Sowieców i wcielony do Armii Czerwonej. W tym samym biuletynie znajduje się między innymi informacja o tym, jak tego typu materiały dostawały się do Stanów Zjednoczonych. Otóż większość tych, jak pisze Yewhen Sztendera, wartościowych dokumentów, publikowanych w tym biuletynie, stanowi podziemną publikację pt. „Krótki opis bitew jednostki UPA LYSONIA”. Oryginalny dokument obejmuje 26 gęsto zapisanych stron o wymiarze 30×20 cm. Zawiera on opis akcji prowadzonych przez oddziały III Regionu Militarnego „Łysonia” między 16 grudnia 1943 a sierpniem 1945 roku. Dokument ten był przygotowany przez kwaterę główną „Łysonia” na podstawie raportów dostarczonych przez poszczególne oddziały. Został opublikowany przez kwaterę główną III Regionu Militarnego UPA „Łysonia” w grudniu 1945 roku. W roku 1946 natomiast powielony w Polsce z dopisanym zakończeniem przez „Irlana” tj. przez Jarosława Starucha. Jedna kopia dokumentu została dostarczona do Ambasady Amerykańskiej w Warszawie, skąd została przekazana do Waszyngtonu i złożona w Amerykańskim Narodowym Archiwum jako dokument „tajny”. W 1989 roku dokument udostępniono badaczom. Tam też został on odkryty przez Petro Potichnyja i skopiowany dla Litopisu UPA.

Zewsząd dochodziły do nas mrożące krew w żyłach wieści o masowych rzeziach polskich mieszkańców na ziemi zbaraskiej w: Berezowicy Małej<sup>4</sup>, Łubiankach Wyższych, Netrebie, Kołodnie, Zarudeczku, Stryjówce, Sieniachówce, Szyłach, Kapuścińcach, Dobrowodach, Krasnosielcach, Sieniawie i innych (załącznik nr 2). Z pobliskiego Wiśniowca i Podkamienia na Wołyniu oraz z wielu innych bliższych i dalszych miejscowości dochodziły informacje o pogromach Polaków.

---

<sup>3</sup> Litopis UPA, vol. 12, Kiiw, Ukraine 1995: Internet: <http://www.eastview.com/>.

<sup>4</sup> W. Kubow, *Polacy i Ukraińcy na Podolu. Tragedia Polaków w Berezowicy Małej koło Zbaraża*, wyd. III, popr. i rozszerz., Nortom, Wrocław 1997.



Banderowcy przychodzili często pod osłoną nocy. Spośród znanych mi osobiście faktów wymienić trzeba morderstwa popełnione w Łubiankach Wyższych, gdzie zamordowano m.in. spokrewnionych z nami Tokarczuków<sup>5</sup> oraz w Czaharach Zbarskich, gdzie zabito starego człowieka o nazwisku Szczęch, sąsiada mojej ciotki, Zofii Lewandowskiej. W obliczu panującego zagrożenia ludzie żyli w ustawicznym lęku. Mój kuzyn Stanisław, najstarszy syn stryja Jana, pod wpływem paniki wywołanej zagrożeniem, uciekał kilka kilometrów z Nowego Rogowca do swojej babci w Zbarażu. W wyniku tego zdarzenia zapadł na chorobę serca i po kilku latach przedwcześnie zmarł. Z biegiem czasu ludność polska ziemi zbarskiej zaczęła ponosić ogromne straty osobowe i materialne. W wyniku zagrożenia Polacy masowo opuszczali swoje domostwa na wioskach. Zbaraż, o ile wiem, był w tym czasie w miarę spokojny. Natomiast zewsząd docierały okrutne wiadomości. Baliśmy się o swój los. W naszej małej chatce w Zbarażu kolejno chronili się w różnym czasie: Tendajowie – ojciec z córką i synami z Białozórki na Wołyniu, ofiary pacyfikacji dokonanej przez Ukraińców i Niemców; Lewandowscy – krewni Tendajów w osobach ojca, matki, córek i syna Janka; Szewczykowie – starsze małżeństwo z Netryby; Piotr Tokarczuk z żoną i dwiema córkami z Łubianek Wyższych; wujek Szymon Tokarczuk z żoną z Łubianek Wyższych, brat babci Łucji; Rudolf Kuźniar – uciekinier kolonista z Wołynia. Jego żona wraz z synami została zesłana przez Sowieców na Sybir, gdzie zmarła. Podobnie było w innych polskich domach. Rzesze ludzi zaznały losu tułaczy, niepewnych życia i bojących się śmierci z rąk oprawców. Nie wszyscy od razu opuszczali swoje domy, niektórzy oczekiwali na zmianę sytuacji. Ta jednak nie ulegała poprawie. Zagrożenie było powszechne. Kto mógł sposobił się do obrony. Słyszeliśmy, że polskie wsie – Kretowce i Hrycowce miały doskonale zorganizowaną samoobronę. Na ogół jednak społeczność polska w tamtych czasach charakteryzowała się raczej bierną postawą. W obliczu zagrożenia brakowało obrony zorganizowanej na poziomie ówczesnych możliwości. Większość ofiar pozostawała bezbronna, zamykała się w swoich domach, chroniła się na strychach i czekała na swój los.

Wielką tragedią było to, że dwa bratnie narody przez wieki nie potrafiły się porozumieć. Wzajemne urazy doprowadziły do tragedii. Dopiero ostatnie lata dają nadzieję na poprawę naszych wzajemnych relacji. Duże znaczenie może mieć również fakt, że Ukraina uzyskała niezawisłość nie dzięki ideologii Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i działań UPA, lecz głównie w wyniku pokojowego rozpadu Związku Radzieckiego, w czym swój wielki udział miała „Solidarność”.

W tym miejscu nasuwa się uwaga odnośnie stosunków polsko-ukraińskich. Historycy ukraińscy przypisują krwawe wydarzenia na Wołyniu i Podolu w latach czterdziestych XX wieku przegranej Ukraińców z Polakami w wojnie o Lwów (1918–1920). Należałoby jednak wziąć pod uwagę fakt, że w razie zwycięstwa w tej wojnie strony ukraińskiej, ziemie te zostałyby niechybnie włączone do Ukrainy Sowieckiej. A wtedy

---

<sup>5</sup> I. Tokarczuk, *Od Zbaraża do Przemysła*, Michalineum, Marki-Struga 1998, s. 134.

jej mieszkańcy byłiby wcześniej poddani procesowi rusyfikacji i podzieliliby okrutny los ofiar klęski głodu z lat 1931–1933 pod rządami Stalina. Wiele osób zostałoby zapewne zesłanych do łagrow i na Sybir. Prawdopodobnie nie powstałaby też organizacja OUN ani UPA.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej życie Polaków na Kresach stawało się coraz bardziej trudne. Mężczyzn i kobiety powołano do wojska. W krótkim czasie szkoły polskie zostały zamknięte. Zacząłem uczęszczać na lekcje prywatne. Wreszcie, w roku 1946, należało się zadeklarować – albo przyjąć obywatelstwo radzieckie (ukraińskie), albo opuścić rodzinne strony. Emigracja ludności polskiej rozpoczęła się już wcześniej, bo na przełomie lat 1944 i 1945. W miarę upływu czasu, coraz częściej mówiono o konieczności opuszczenia ziemi naszych przodków. Ostatecznie Polacy opuszczali swoje ziemie w roku 1946.

## 5.2. Przygotowania

Była wiosna 1946 roku, kiedy ojciec wrócił z wojska. Miał na sobie polski mundur. Pamiętam czapkę – rogatywkę z orzełkiem – „wroną” oraz długi płaszcz w kolorze zielonym. Czapkę, która była dla mnie zbyt duża, ojciec zabronił mi nosić tłumacząc, że nie byłoby to mile widziane przez Ukraińców. Zaraz po wojnie ojciec, jako osadnik wojskowy, zarezerwował gospodarstwo poniemieckie w Ścinawce Dolnej na ziemi kłodzkiej, które zostawił tymczasem pod opieką krewnych, a sam udał się po rodzinę do Zbaraża.

W tym czasie wśród polskich mieszkańców ziemi zbaraskiej zapanowała atmosfera rozterki i niepewności – co robić? Niektórzy byli zmuszeni do wyjazdu, inni planowali wyjazd później, jeszcze inni zamierzali pozostać w swoich domach. Trudno dzisiaj oceniać, z jakiego powodu. Może oczekiwali szybkiej normalizacji sytuacji. Bo przecież zbiorowa emigracja narodowościowa była czymś nienormalnym w świadomości zwykłych ludzi. Mówiono też o możliwości wybuchu nowej wojny. Zdarzyło się raz, że w kościele pojawił się młody oficer w polskim mundurze wojskowym. Ale był to tylko symboliczny ptak, który zabłąkał się pod rodzinny dach. Innym razem w naszym domu nocował polski żołnierz. Miał automat, który położył sobie pod łóżkiem. Nad ranem do domu wpadli funkcjonariusze NKWD tak szybko, że biedak nie zdążył nawet sięgnąć po broń. Wreszcie zimą, na przełomie 1944/1945, przyszła wiadomość, nie wiem skąd i jak, że transport kadetów z Riazania będzie przejeżdżał przez Zbaraż. Właśnie wracałem ze szkoły, kiedy spotkałem mamę z bratem Władkiem i Romkiem Tendajem, którzy jechali saniami na stację na spotkanie z transportem. Zabrałem się więc z nimi. Po kilku godzinach oczekiwania wjechał wreszcie na stację pociąg obwieszony biało-czerwonymi i czerwonymi flagami. Kiedy pociąg się zatrzymał, z wagonów wylegli młodzi ludzie w polskich mundurach. Wśród nich był

mój brat Karol. Bardzo wychudzony, ale zdrowy. To krótkie spotkanie po latach było niezwykle; rozgorączkowane rozmowy i pośpiech. Tak długo czekaliśmy na Polskę i oto ta Polska przyjechała do nas transportem kolejowym ze wschodu. Tak nam się przynajmniej zdawało. Na jak długo może zatrzymać się pociąg wojskowy na małej stacji? Oczywiście na małą chwilę, aby nabrać wody. Usłyszeliśmy więc przeciągły gwizd lokomotywy, kłęby pary i nastąpił odjazd transportu. Pozostał żal, że nie można było zatrzymać tej chwili na dłużej. Był to jednak moment szczególny, który pokrzepił nas na duchu. Zwykle bowiem byliśmy w takich sytuacjach zagubieni, czuliśmy się zagrożeni i wyobcowani. Kiedy pewnego razu oddaliłem się od domu, jakiś młody Ukrainiec zaatakował mnie na ulicy, wołając Lachy za San. Tak dojrzewaliśmy do opuszczenia ziemi naszych przodków.

Tymczasem rodzice zaczęli załatwiać różne sprawy związane z wyjazdem. Mama sprzedawała domowe drobiazgi ze szkła Ukrainkom z okolicznych wiosek. Zaczęło się gorączkowe pakowanie i sposobienie do wyjazdu. Niektóre święte obrazy oddaliśmy na przechowanie babci Marii, inne zwijano i pakowano do ozdobnej skrzyni. Skrzynia spełniała rolę szafy oraz domowego skarbcza, zaopatrzona była w zamek i okazały klucz. Ponadto zbijano z desek skrzynie i paki. Zboże zabierano w workach. Mama smażyła kotlety mielone i zalewała je topionym smalcem, zarabiała ciasto, wałkowała i kroїła makaron, który następnie suszył się na każdej wolnej powierzchni w domu. Oczywiście pieczono też chleb na drogę. Zamówiono okazałą ilość samogonu, który miał pełnić rolę środka płatniczego w czasie podróży. Do jego gromadzenia i transportu używano różnych naczyń. Nasi sąsiedzi wybrali dwudziestolitrowy kanister po benzynie. W tym celu po wstępnym wypaleniu resztek benzyny, napełnili go wodą, zamknęli i wstawili na płytę kuchenną. Niestety, pozostawiony bez kontroli kanister eksplodował, zamieniając kuchnię w gruzowisko. Jednym słowem gotowano się na długą podróż w nieznane. Ja pakowałem do ula po pszczołach książki, które znajdowały się pod naszym dachem. Były to dzieła ilustrowane i albumy, które kształtowały moją wyobraźnię i świadomość: „Historia Polski”, „Zamki i zameczki podolskie”, „Obrona Częstochowy”, i „Obrona Lwowa – semper fidelis” i inne. Wtedy i później miałem szczególnie szacunek dla książek.

### 5.3. Wyjazd

Zbliżał się czas wyjazdu. Miał to być jeden z ostatnich transportów. W roku 1940 takie transporty zwiastowały wywózkę na Sybir, dzisiaj my sami być może uchodziliśmy przed podobnym losem, wyjeżdżając na Zachód. Wszystkich ogarnęła gorączka wyjazdu. Mieliśmy prawo wziąć ze sobą ruchomy inwentarz żywy i martwy, ale przecież wszystkiego nie byliśmy w stanie zabrać. Wozy zaprzęgnięte w konie, załadowane przede wszystkim workami zboża, mąki oraz sprzętem domowym, skrzypiąc cią-

gnęły na stację i z powrotem. Ostatnim kursem zabraliśmy się wreszcie wszyscy. Na nasze miejsce czekała już rodzina Józefa Cienkiego – przesiedleńców z Laszek spod Przemyśla. Byliśmy prawie w komplecie: mama, ojciec, brat Władysław, Roman Tendaj, który jako pól sierota wyjeżdżał razem z nami oraz ja. Brakowało tylko brata Karola, który był w tym czasie w wojsku. Wyjeżdżali z nami m.in. nasi krewni – wujkowie Szymon i Piotr Tokarczukowie z rodzinami, sąsiedzi Bojarczukowie oraz wielu innych. Wszyscy wyładowali swój dobytek na rampie stacji i czekali na podstawienie wagonów. Trwało to wiele dni, zanim wreszcie na stację wjechał długi transport krytych wagonów towarowych. Byliśmy gotowi i natychmiast rzuciliśmy się do załadunku wagonów. Na peronie pełnym słomy i szalaszów panował intensywny ruch. Wozy zostały rozebrane i także załadowane do wagonów. Konie i krowy znalazły się w oddzielnych wagonach. Termin odjazdu był już bliski. Odjeżdżających żegnali krewni i bliscy. Było nam przykro, ale przecież niedługo mieliśmy powrócić. Mnie intrygowała podróż pociągiem w świat. Po raz pierwszy miałem jechać koleją. Żegnałem się z krewnymi: babcią, wujkami, ciotkami, kuzynkami i kuzynami. Większości z nich nie miałem już zobaczyć wśród żywych. W rzeczywistości nie zdawałem sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji, a te rodzinne strony miałem odwiedzić dopiero po pięćdziesięciu latach.

W dniu 5 maja 1946 r., późną nocą, pociąg ruszył. W ciemnościach nie widziałem pozostawionej za nami ziemi zbaraskiej. Nad ranem zatrzymaliśmy się na stacji w Tarnopolu. Na pobliskim targu kobiety wołały: „*goraczije mołoko*”. Tutaj poczułem, że nie jesteśmy już u siebie. Dalej jechaliśmy przez Lwów i wreszcie w Rawie Ruskiej usłyszeliśmy na stacji mowę polską, a obok na peronie stały wagony oznaczone godłem polskim.

Byliśmy w Polsce. Po około dwóch tygodniach podróży znaleźliśmy się na stacji kolejowej w Lęborku na Kaszubach. Miało to być nasze miejsce przeznaczenia. Wraz z rodziną wujka Szymona Tokarczuka umieszczono nas w małym domku w Nowej Wsi Lęborskiej, w którym mieszkał jakiś lokator. Nasi współtowarzysze podróży zostali tymczasowo umieszczeni w dużym bloku mieszkalnym. Niektórzy z nich zostali skierowani do pobliskich miejscowości. Po dwóch tygodniach pobytu na Kaszubach, załadowaliśmy się ponownie do wagonu i ruszyliśmy w kolejną wędrówkę, tym razem na Dolny Śląsk. W czasie tej podróży podziwiałem mijane przez nas polskie krajobrazy: pola, świerkowe lasy oraz wioski, miasta i miasteczka. Wreszcie dotarliśmy do Wrocławia. Kiedy staliśmy przez kilka dni na bocznym torze, mogliśmy zobaczyć wypalone domy – zgliszcza miasta. Po przerwie ruszyliśmy dalej przez Legnicę w kierunku Bolesławca. W Miłkowicach pod Legnicą szczęśliwym trafem spotkaliśmy transport rodaków, a w nim naszych krewnych: rodzinę stryjka Ignacego, ciocię Wiktoryę z dziećmi oraz ciocię Zosię z wujkiem Wojciechem. Opuścili oni Zbaraz w dniu 17 maja 1946 roku i błakali się po Dolnym Śląsku, a teraz przez Rudną Gwizdanów udawali się na ziemię kłodzką, gdzie wcześniej miał osiedlić się, jako osadnik wojskowy, również mój ojciec. Krewni starali się namówić rodziców, aby i oni przy-

łączyli się do nich, ale ojciec nie zdecydował się na jazdę w miejsce, gdzie wybrane wcześniej przez niego gospodarstwo zostało już zajęte. Dotarliśmy więc do Bolesławca. Dzisiaj wydaje mi się, że było to w czerwcu. Po wyładowaniu dobytku z wagonu i złożeniu wozu, zaczęliśmy przewozić rzeczy do miejsca przeznaczenia, czyli do wsi, która nosiła wtedy nazwę Żyrardówek (obecnie Żeliszów). Droga asfaltowa prowadziła przez las oraz pola uprawne i była obsadzona jabłonią. Pamiętam, jak kopyta końskie w zetknięciu z asfaltem wydawały charakterystyczną melodię: klik kłok, klik kłok, klik kłok... Tak więc, na wiosnę 1946 roku znaleźliśmy się w Żyrardówku – wiosce między Bolesławcem (10 km) i Lwówkiem Śląskim (11 km) na Dolnym Śląsku. W tym czasie Żyrardówek oraz sąsiednie Ustronie były już zasiedlone przez naszych rodaków z ziemi zbaraskiej. Razem z Polakami w domach przebywali jeszcze niemieccy mieszkańcy, którzy w krótkim czasie zostali przesiedleni na zachód. Tak zaczęło się rodzić nowe życie na ziemi dolnośląskiej.

Polacy opuszczali swoją ojcowiznę na ziemi zbaraskiej głównie w latach 1945–1946. Ze stacji kolejowej w Zbarażu odjechało wtedy wiele kolejowych transportów. Kilka z tych transportów zostało udokumentowanych we wspomnieniach. Pan Zdzisław Tarnowski<sup>6</sup> opisał podróż z połowy pierwszej dekady października 1945 roku. Pani Helena Hankowska wspomina o naszym transporcie z dnia 5 maja 1946 roku<sup>7</sup>. Okoliczności ostatniego zbaraskiego transportu z dnia 31 maja 1946 roku opisał o. Józef Kachel<sup>8</sup>. W latach 1945–1946 transporty kolejowe przewiozły kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców ziemi zbaraskiej do Polski. Zostali oni zmuszeni do opuszczenia swoich domów i przesiedleni przeważnie na tzw. Ziemię Odzyskaną, dzisiaj ziemie zachodnie i północne Polski. Największe obecnie skupiska zbarażan to: Kaszuby (Lębork, Nowa Wieś Lęborska, Tawęcino), Dolny Śląsk (Kłodzko, Bolesławiec, Lwówek Śląski – Ustronie, Żeliszów), Ziemia Opolska (Głubczyce) i Ziemia Lubuska (Żary, Żagań, Międzyrzecz, Rogoźno, Nowa Sól, Szprotawa, Małomice, Lipinki), Szczecin, Kołobrzeg i Koszalin oraz inne.

W rozproszeniu żyją obecnie zbarażanie i ich potomkowie we wszystkich częściach Polski w miastach dużych, małych oraz wioskach i nie zapominają o ziemi swoich przodków oraz o zbrodniach tam popełnionych. Blisko 90-letnia pani Józefa Bojarczuk<sup>9</sup> pisze: „Urodziłam się 4 marca 1921 r. w Zbarażu przy ul. Juliusza Słowackiego. Moje dzieciństwo, lata szkolne i późniejsze były beztrudne. Wszyscy nawzajem szanowaliśmy występujące tam różnice kulturowe i religijne, aż do wybuchu wojny w 1939 r. To był początek wielkich przemian; zniknęła przyjaźń i sąsiedztwo, a narodził się strach i nienawiść. W czasie sowieckiej i niemieckiej okupacji różnie bywało, ale przetrwaliśmy. Zakończenie wojny nie przyniosło oczekiwanego spokoju,

<sup>6</sup> Z. Tarnowski, *Ze Zbaraża*, Organon, Zielona Góra 2000, s. 131.

<sup>7</sup> H. Hankowska, *Tak daleko, tak blisko*, Semper Fidelis, nr 2–4, Wrocław 2006.

<sup>8</sup> J. Kachel, *Dzieje kościoła...*, dz. cyt., s. 584.

<sup>9</sup> J. Bojarczuk, *Wspomnienia*, elektroniczny przekaz pisemny, archiwum autora, 2010 r.

bo już wiosną 1946 roku w naszym domu zakwaterowano 6-osobową rodzinę ukraińską. To zmusiło nas do opuszczenia rodzinnego domu. W maju 1946 r. razem z mężem Michałem, który wrócił właśnie z wojny (był w II Armii WP) i rodzicami (Wiktoria i Błażem Bojarczuk) oraz z 4-letnim synem wyjechaliśmy ze Zbaraża na Zachód. Po 2 tygodniach podróży pociągiem towarowym znaleźliśmy się w Lęborku i zamieszkaliśmy nieopodal w Nowej Wsi Lęborskiej. Myśleliśmy, że dwa lata szybko miną i wrócimy do Zbaraża, bo przecież tam są nasze ziemie z dziada pradziada, jak mawiali nasi teściowie. Obecnie od ponad 20 lat mieszkam z rodziną najmłodszego syna w Lęborku. Różne przeciwności życiowe (długa choroba i śmierć męża w 1962 r.) nie pozwoliły mi odwiedzić mojego ukochanego miasta, ale mocno tęsknię i zawsze powtarzam: Zbaraż to jest moje miasto. Mam dwóch synów i córkę oraz pięciu wnuków, jedną wnuczkę Anię i czterech prawnuków”. Dzięki doskonałej pamięci, pani Józefa odtworzyła nazwiska mieszkańców sprzed 1939 roku, a jej wnuczka przeniosła je na plan Przedmieścia Tarnopolskiego w Zbarażu (załącznik nr 3).

Pan Eugeniusz Jaworski<sup>10</sup> wspomina historię budowy kościoła w Kretowcach w powiecie zbaraskim: „W czasach zaboru austriackiego, Kretowce i Hrycowce oraz Stryjówka, według ksiąg Tabularnych z 1855 r., były własnością prywatną; Kretowce należały do Wincentego Wierzchowskiego, Hrycowce były własnością Pauliny Janickiej, a Stryjówka należała do Kleotyldy Brzozowskiej. Samodzielna parafia w Kretowcach, jako rezydencja w archidiecezji lwowskiej, powstała dopiero w 1936 r. i trwała do 1946 roku. Wcześniej Kretowce i Hrycowce należały do parafii Zbaraskiej. Dopiero w dniu 4 lipca 1908 r. Maciej i Paulina Krasnopolscy darowali aktem notarialnym grunt w centrum wioski pod budowę kościoła w Kretowcach. Staraniem klasztoru oo. Bernardynów w Zbarażu oraz miejscowych wiernych w 1909 r. poświęcono kamień węgielny i przystąpiono do budowy kościoła. Budowę prowadził Maciej Garguliński, miejscowy budowniczy ze Zbaraża. Dnia 18 lipca 1910 r. poświęcono kościół pod wezwaniem św. Rozalii. Kościół zbudowano w stylu neogotyckim na planie prostokąta z kamienia i cegły, o wymiarach 22 m długości, 12 m szerokości, 9 m wysokości. Dach pokryto blachą. Koszty budowy kościoła wynosiły 14 660 koron.

W lipcu 1911 r. dokończono wyposażenie wnętrza i zaczęto odprawiać w nim nabożeństwa w niedziele i święta. Księży przewożono ze Zbaraża lub ze Stryjówki. Organy podarowali kościołowi oo. bernardyni z kościoła św. Antoniego w Zbarażu. Dnia 27 lutego 1913 r. klasztor w Zbarażu wszczął starania o utworzenie w Kretowcach ekspozytury parafialnej. Konsystorz lwowski uzależnił jednak swoją zgodę od wybudowania domu parafialnego (plebanii) i zamieszkania w nim księdza na stałe. Wybuch pierwszej wojny światowej i wypadki powojenne, a następnie brak kapłanów w prowincji bernardynów odwlekł tę sprawę. Tuż przy kościele została wybudowana

---

<sup>10</sup> E. Jaworski, *Historia budowy kościoła w Kretowcach*, elektroniczny przekaz pisemny, archiwum autora, 2010 r.



Paulina Krasnopolska  
 – fundatorka placu kościelnego w Kretowcach, 1934 r.  
 Zdjęcie z archiwum pana Eugeniusza Jaworskiego

najpierw dzwonnica drewniana, którą w 1935 r. przebudowano na dzwonnice murowaną i zawieszono trzy dzwony: Jan, Józef i Maria. Do dnia dzisiejszego dzwonnica stoi i spełnia swoje zadanie. Zaraz po I wojnie światowej dla mieszkańców Kretowiec i Hrycowiec ważną sprawą był również cmentarz, ponieważ wcześniej zmarłych grzebano na polskim cmentarzu w Zbarażu. Gmina wykupiła część pola, zaraz za wioską przy drodze do Zbaraża, od Antoniego Jaworskiego i przeznaczyła na cmentarz w Kretowcach.

Dnia 13 V 1925 r. wydzielono i poświęcono w Kretowcach cmentarz parafialny i od tego czasu zmarłych z Kretowiec i Hrycowiec grzebano na cmentarzu miejscowym. W 1935 r. wybudowano murowany dom parafialny – plebanię. W następnym roku powstała również ekspozytura parafialna, w której były prowadzone księgi parafialne. Do parafii należały trzy wioski z około 2300 wiernymi. W 1937 r. dekretem Kongregacji Soboru dom parafialny (plebania) został zamieniony na rezydencję zakonną, a parafię inkorporowano na stałe do zakonu bernardynów. W parafii istniały: Trzeci Zakon św. Franciszka, Akcja Katolicka i Żywy Różaniec. Parafia uległa likwidacji po przesiedleniu w dniu 8 grudnia 1945 r. ostatnich mieszkańców, którzy wyjechali na stację kolejową do Zbaraża. Klucze od kościoła zostały przekazane nowym osiedleńcom,



Kościół pw. św. Rozalii w Kretowcach. Obecnie cerkiew greckokatolicka.  
Zdjęcie – Eugeniusz Jaworski



Kościół w Zarudziu pw. Najświętszego Serca Jezusa. Obecnie cerkiew prawosławna.  
Zdjęcie – Mieczysław Szustakowski, 2009 r.



którzy przybyli tu na nasze miejsce – od Przemyśla i Bieszczad. Proboszcz ks. Kazimierz Kille osobiście przekazał klucze od kościoła sołtysowi (Hołowa) Szczepanowi Markowskiemu, a ten z kolei oddał je władzom zwierzchnim. W roku 1946 Kretowce i Hrycowce włączono do Kołchozu w Stryjówce, a kościół miał być przeznaczony na magazyn zboża. W tym celu zdjęto wieżyczkę i rozebrano drewniany ganek przed wejściem do kościoła. Jednak mieszkańcy wyznania grekokatolickiego nie zgodzili się na takie wykorzystanie kościoła. Z czasem zainteresował się tym kościołem pop z Łubianek Wyższych i za pozwoleniem władz przyjeżdżał raz w miesiącu, a później częściej i odprawiał tu nabożeństwa. Teraz budynek jest już częściowo odnowiony i służy nowym pokoleniom jako cerkiewka grekokatolicka. Takie były losy naszego pozostawionego kościółka. Zachowało się zdjęcie z ostatniego spotkania odpustowego na Świętą Rozalię w 1945 r. na którym zagościli także księża. Towarzystwo Szkół Ludowych wybudowało w 1908 roku szkołę, której nadano imię Bartosza Głowackiego. Do roku 1939 w szkole uczyły siostry zakonne elżbietanki: ss. Agata, Paulina i Józefa. W latach 1939–1941 nauczycielami byli: Zofia Sobolał (kierownik) i Samet B. W czasie okupacji niemieckiej natomiast nauczycielem był pan W. Wojcieszczuk ze Zbaraża oraz pan Trzciniński”. Pan Eugeniusz Jaworski uzupełnił swoje wspomnienia wykonanymi przez siebie mapkami Kretowiec i Hrycowiec oraz planem tych miejscowości z podaniem nazwisk byłych mieszkańców przed 1945 rokiem (tu załączniki nr 4 i 5).

Pan Eugeniusz Lisowski<sup>11</sup> wspomina wieś Zarudzie w powiecie zbaraskim, zamieszkałą prawie wyłącznie przez Polaków. „We wsi było 107 gospodarstw i 115 rodzin. W okresie Rzezi Wołyńskiej do wioski przybyło dziesięć rodzin z Kołodna na Wołyniu i jedna rodzina z Łubianek Wyższych. W roku 1939 do wojska poszło sześć osób, z czego trzy nigdy do domów nie wróciły. W 1940 roku powołano do armii sowieckiej siedem osób, z czego do domów nie powróciły trzy osoby; jeden żołnierz zginął na Monte Cassino w Armii Andersa, drugi pod Lenino w Armii Berlinga. W kwietniu 1944 roku do II Armii Wojska Polskiego powołano 150 mężczyzn, z których zginęło dwadzieścia pięć osób. Natomiast w czerwcu 1944 roku do wojska powołano dwanaście dziewcząt”. Do wspomnień pan Lisowski dołączył plan Zarudzia wraz z wykazem mieszkańców przed 1945 rokiem (tu załącznik nr 6). Na planie tym pan Eugeniusz zaznaczył miejsca, gdzie 17 września 1939 roku lądowały sowieckie samoloty i gdzie w 1941 roku pozostał sprzęt wojskowy. Zbudowany w 1906 roku kościół filialny pw. Najświętszego Serca Jezusa służy wyznawcom prawosławia.

Pan Zdzisław Tarnowski<sup>12</sup> opisał swoje wspomnienia w książce pt. „Ze Zbaraża”, w której przedstawił dzieje wioski Wałachówka sprzed i z czasu II wojny światowej oraz losy jej mieszkańców na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski po 1945 roku. Uzupełnieniem tej publikacji jest plan Wałachówki (tu załącznik nr 7).

<sup>11</sup> E. Lisowski, *Wspomnienia z Zarudzia*, elektroniczny przekaz pisemny, z archiwum autora 2010 r.

<sup>12</sup> Z. Tarnowski, *Ze Zbaraża*, dz. cyt.

Wspomnienia ze Stryjówki koło Zbaraża<sup>13</sup> napisał również pan Bolesław Łukasiewicz. Zmarły niedawno pan Bolesław przedstawił barwny opis Stryjówki, zamieszkałej w większości przez społeczność polską. W książce znajdują się wykonane przez pana Bolesława Łukasiewicza kolorowe plany wioski oraz jej mieszkańców.

Pan Rudolf Maliszewski<sup>14</sup>, rodem z Czahar Zbaraskich, wspomina Kresy Wschodnie sprzed II wojny światowej, okres wojny i działalność band UPA oraz dalsze swoje losy w służbie Ludowego Wojska Polskiego.

Wspomnienia z kraju lat dziecięcych z Łubianek Wyższych i Zbaraża – przedstawił abp Ignacy Tokarczuk w książce „Od Zbaraża do Przemyśla”<sup>15</sup>, jako świadek czasów międzywojennych. Urodzony na wsi zamieszkałej w większości przez Ukraińców, pamięta i opisuje czasy zgodnego współżycia społeczności polskiej i ukraińskiej, zanim ideologia OUN opanowała umysły i zmieniła życie na ziemi w piekło.

Spis mieszkańców ulicy Długiej oraz Załuża Małego w Zbarażu, zgodnie z numeracją domów, przedstawiono w załącznikach nr 8 i 9.

---

<sup>13</sup> B. Łukasiewicz, *Wspomnienia ze Stryjówki koło Zbaraża*, wydane nakładem autora, Szczecin 2000.

<sup>14</sup> R. Maliszewski, *Wspomnienia z Kresów Wschodnich i frontowych dróg*, Rzeszów 2004.

<sup>15</sup> I. Tokarczuk, *Od Zbaraża do Przemyśla*, Michalineum, Marki-Struga 1998.

## 6. Na Dolnym Śląsku

### 6.1. Ziemia „obiecana”

Po II wojnie światowej na konferencji poczdamskiej zapadła decyzja o zachodniej granicy Polski na Nysie Łużyckiej i Odrze oraz o ewakuacji ludności niemieckiej z obszarów przyznanych Polsce. Szczegółowe instrukcje dotyczące realizacji porozumień zawierał komunikat Sojuszniczej Rady Kontroli w Berlinie<sup>1</sup>: *Cała ludność niemiecka przesiedlona z Polski (3,5 miliona osób) zostanie przyjęta do sowieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech (...)*.



Historycy, Davies i Moorhouse dalej piszą: *„Tak czy inaczej, do sierpnia 1946 roku 95 procent Niemców mieszkających w nowych granicach Polski miało zostać wypędzonych. Polskich wygnańców z ZSRR określano eufemistycznym mianem „repatriantów”. W ten sposób zamaskowano niewygodne fakty, że przesiedlenie było przymusowe, a cel podróży znajdował się w obcym kraju”*. Dla wielu mieszkańców Kresów Wschodnich celem tym był Dolny Śląsk, w tym m.in. Żyrardówek (od roku 1947 Żeliszów) i Ustronie – wioski, które leżą na krańcach powiatów lwóweckiego i bolesławieckiego, na Pogórzu Bolesławieckim (250–270 m n.p.m.). Dawniej ziemie te należały do Piastów Śląskich. W średniowieczu, po okresie migracji na zachód, Niemcy kolonizatorzy i osadnicy ruszyli masowo na wschód, przekraczając Łabę i Odrę. Dotarli daleko, między innymi w głąb Polski i Czech, na ziemie zamieszkałe przez Słowian.

Po wiekach repatrianci z dalekiej ziemi zbarskiej dotarli m.in. na ziemię lwówecką, do Ustronia i Żyrardówka (Żeliszów). Jaką historię miały obie te miejscowości? Najstarsza nazwa Ustronia pochodzi z roku 1305 (Sibotindorf). Później-

---

<sup>1</sup> N. Davies, R. Moorhouse, *Mikrokosmos*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2002, s. 453.

sza nazwa to Seitendorf. W 1939 roku liczba mieszkańców Ustronia wynosiła 409 osób. W 1939 roku we wsi Giersdorf (Żeliszów) żyło 716 mieszkańców<sup>2</sup>. Obie te miejscowości przed wojną należały do powiatu lwóweckiego (Loewenberg). Powiat lwówecki w roku 1939 liczył 63524 mieszkańców, w tym 72,6% pro-testantów i 25,7% katolików. W wyborach do Reichstagu 5 marca 1933 roku wzięło udział 87,9% wyborców (36421 osób), z czego na NSDAP głosowało 60,5%, na SPD – 12,3%, na Zentrum – 12,0%, na DNVP (Kampffront Schwarz-Weiss-Rot) – 8,6%, a na KPD – 4,5% wyborców. Z przedstawionych danych wynika, że w wyborach zdecydowane poparcie na ziemi lwóweckiej uzyskała partia Hitlera i jego polityka. Przeczy to twierdzeniu, że całe zło hitleryzmu rodziło się w Bawarii, a jego ofiarami była głównie ludność niemiecka we wschodnich landach Niemiec. Według źródeł historycznych na ziemiach tych do XIV wieku czerpano złotonośne piaski. Krótką historię wioski Giersdorf poznajemy za Horsetm Hoffmannem<sup>3</sup>: „*Po raz pierwszy nazwa osady była wymieniona w liście kupieckim z 1367 roku. Należała ona w owym czasie do rodziny Hohlsteinów. W 1484 roku Cunze i Wiltrich von Liebenthal osiadli we wsi Giersdorf. Natomiast w roku 1491 wszystkie dobra Wiltricha von Liebenthala przeszły w posiadanie Cunze Hohberga von der Armenruh*”. W czasach feudalnych właściciele dawnego Żyrardówka mieli, być może, swoją siedzibę w pobliżu kościoła, gdzie jeszcze dzisiaj można odnaleźć ślady wałów obronnych dawnej osady.

Kościół filialny pod wezwaniem św. Jana Nepomucena<sup>4</sup> został wzniesiony w średniowieczu i powiększony o kaplicę około 1600 r. oraz odrestaurowany w XIX w. Był to kościół jednonawowy, murowany z kamienia, z czworobocznym prezbiterium nakrytym sklepieniem krzyżowo-żebrowym wspartym na przyściennych konsolkach. We wnętrzu znajdowało się: kamienne sakramentarium z 1511 r., kamienna chrzcielnica z końca XVI w., epitafium z 1592 r., a w kaplicy dwa nagrobki z 1606 i 1607 r. W zewnętrznej ścianie kościoła wmurowana była kamienna płyta poświęcona szlachetnemu obywatelowi księstwa lwóweckiego Jeremiasowi Hoffmanowi, którego śmierć miała miejsce w 1592 roku. W roku 1835 podjęto działania mające na celu likwidację parafii. Kościół katolicki w Żeliszowie do 1962 roku należał do parafii w Raciborowicach (Hartmannsdorf). Wyznanie ewangelickie w Żeliszowie pojawiło się w XVI wieku. Kościół ten należał do administracji kościelnej we Lwówku. Kontrreformacja zahamowała proces rozwoju religii protestanckiej, nie wiadomo też jaką pozycję miał Kościół katolicki w okresie aż do roku 1654. W latach 1796/7 prowadzono odbudowę kościoła

---

<sup>2</sup> Nachschlagewerke der Geschichte der Dritten Reich, Abkürzungen, Personen-Gaue und Kreise der NSDAP, Internet: [www.wissenschaft-on-demand.de](http://www.wissenschaft-on-demand.de).

<sup>3</sup> H. Hoffmann, Giersdorf. Internet: <http://home.t-online.de/home/doris.baumert/dokumente/giersdorf.htm>.

<sup>4</sup> Heimatbuch des Kreises Löwenberg in Schlesiens, Verlag. Kreis Ausschuß des Kreises Löwenberg 1922, Internet: <http://www.doris-baumert.de/Dokumente/giersdorf>.

ewangelickiego, do którego dobudowano wtedy wieżę z zegarem i galerię widokową. W roku 1927 w kościele tym umieszczono tablicę, upamiętniającą mieszkańców gminy, którzy polegli w czasie I wojny światowej. Dzisiaj kościół protestancki nie jest czynny, pozostawiony przez lata bez opieki jest bliski ruinie. Dawne cmentarze nie zachowały się. Nie wiadomo jaki jest stan ksiąg metrykalnych wyznawców Kościoła katolickiego. Księgi metrykalne Kościoła ewangelickiego z lat 1742–1937 znajdują się w Ewangelickim Archiwum Centralnym we Wrocławiu.

## 6.2. Nowi osadnicy

W listopadzie 1945 roku i później, w towarowych wagonach, najpierw do Bolesławca, a następnie do Ustronia i Żyrardówka przybyli Polacy – przesiedleńcy z Kresów Wschodnich, głównie z Czahar, Maksymówki, Stryjówki i innych miejscowości z okolic Zbaraża (załącznik nr 10). Opuścili oni ziemię swoich przodków z powodu zagrożenia życia ze strony ukraińskich nacjonalistów UPA oraz polityki władz radzieckich, dającej Polakom alternatywę przyjęcia obywatelstwa radzieckiego lub, w przypadku odmowy, z dużym prawdopodobieństwem wywózki na Sybir. Przesiedleńcy jechali długie tygodnie transportami kolejowymi, po kilka rodzin w wagonach towarowych. Zabrali najcenniejszy dobytek w postaci inwentarza żywego i martwego. Opiekę nad nimi sprawował Polski Urząd Repatriacyjny. Inną grupą nowych mieszkańców Ustronia i Żyrardówka byli emigranci z Kujaw, Białorusi, Podkarpacia i innych obszarów.

Moja rodzina przybyła do Żyrardówka z początkiem czerwca 1946 roku. Przybyliśmy tam z Nowej Wsi Lęborskiej, dokąd dotarł nasz transport przesiedleńców ze Zbaraża. Żyrardówek był wsią położoną wzdłuż płytkiej doliny, w układzie łańcuchowym, z dwiema koloniami po obu stronach doliny. Przez wieś przepływał wartki strumyk, którego jedno ze źródeł znajdowało się w środkowej części Żyrardówka. Betonowy mostek nad strumykiem przy naszym domu przypominał nam zbaraski Czarny Most. Znajdował się on w podmokłym miejscu na drodze prowadzącej z Bolesławca do Lwówka Śląskiego. We wsi znajdowały się dwa kościoły: kościół katolicki o starej architekturze i nowszy – protestancki. Tuż obok stał budynek szkolny. Na horyzoncie widniały sosnowe lasy z bogatym runem leśnych owoców, w tym czarnych jagód, malin i jeżyn. Wszystko było nowe i intrygujące. Również to, że zbliżał się początek roku szkolnego.

W domach, które musieliśmy przejąć przebywały ciągle niemieckie rodziny – przeważnie kobiety, małe dzieci i staruszki. W miarę jak zbliżał się front, zimą z 1944 na 1945 rok, mieszkańcy wioski byli przymusowo ewakuowani przez władze niemieckie na zachód. Po zakończeniu wojny powrócili do swych domów. Nowi mieszkańcy – polscy przybysze osiedlali się w domach, które były już moc-

no ograbione przez wojsko radzieckie, a następnie przez szabrowników. W niektórych domach stacjonowały jeszcze wojska radzieckie. Napisy w języku rosyjskim na ścianach wielu domów świadczyły o wcześniejszej ich obecności w tych domach. Gdzieś widać było ślady umocnień przeciwczołgowych, mimo że obeszło się tu bez walk. Większe straty nastąpiły raczej już po przejściu frontu. Tylko nieliczne zabudowania były spalone lub zniszczone. Wokół panował stan zagrożenia. Zdarzały się napady i grabieże. W obu wioskach znajdowały się małe i duże gospodarstwa rolne. Duże gospodarstwa liczyły sobie po kilkadziesiąt hektarów ziemi. Zostały one zasiedlone przez pierwszych osadników – pionierów Żyrardówka, m.in. rodziny Rózańskich, Tomczaków, Muchów, Szmyrników, Lisów i innych. Zabudowania tych gospodarstw wyróżniały się dużymi gabarytami. Wychodzące z nich w pole drogi, obsadzone były czereśniami, wiśniami i jabłonią. Gdzieś przy drogach stały kamienne krzyże pokutne. Nie jestem pewien, czy wszyscy nowi gospodarze zagospodarowali cały areal należący do tych majątków. Potwierdzeniem mojej wątpliwości może być fakt istnienia znacznych nieużytków na odległych krańcach pól, które nazywano „Koreą”. Nazwa ta nawiązywała do prowadzonej w tamtym czasie wojny w dalekiej Korei.



Dom Tomasza Szustakowskiego w Żeliszowie, 2008 r.

Na jednej z posesji zgromadzona była na wysokość kilku metrów sterta zdekompletowanych rowerów. Prawdopodobnie były one pierwotnie przeznaczone do wysłania w głąb Związku Radzieckiego. Złomowisko to dostarczało nowym mieszkańcom wioski części zamiennych do rekonstrukcji zużytych rowerów. Na skraju Żyrardówka, na granicy ze Starymi Jaroszewiczami, stała nieczynna już stacja benzynowa. W wioskach znajdowały się kuźnie i warsztaty. W centralnej części Żyrardówka znajdował się budynek z salą widowiskową, w którym zamieszkał kierownik szkoły – pan Stefan Sankowski z rodziną. Nieopodal, na skrzyżowaniu dróg znajdowała się piekarnia, a obok również masarnia z wędzarnią. Nad strumykiem – mała remiza strażacka, w której stała niewielka sikawka ręczna do gaszenia pożarów. Remiza stała się pretekstem do powołania Ochotniczej Straży Pożarnej. Pierwszym komendantem drużyny Ochotniczej Straży Pożarnej w Żyrardówku był pan Różański. Strażacy brali udział w akcjach gaszenia pożarów oraz w uroczystościach państwowych i kościelnych. W granatowych mundurach i hełmach z epoki cesarskiej na głowie oraz z toporkami w ręku pełnili oni wartość honorową przy grobie świętym w okresie Wielkiego Tygodnia. W innym budynku zlokalizowano stolarnię. We wsi mieszkał też majster, który świadczył drobne usługi elektryczne. W naszym sąsiedztwie gospodarował jeszcze Niemiec o imieniu Olaf, który używał krowy w zaprzęgu do prac polowych. Zarówno w Żyrardówku, jak i w Ustroniu znajdowały się małe cegielnie, w których wykorzystywano surowiec z pobliskich glinianek. Obok, w małym zagajniku, wydobywano kiedyś granit. Miejsce to mogło też pełnić rolę strzelnicy. Duża tablica ogłoszeń przy drodze zdawała się wskazywać na zorganizowany i zdyscyplinowany od lat porządek życia dawnych mieszkańców tej ziemi. Na polach stały jeszcze stogi zboża, wokół których biegały kuropatwy i ... myszy. Przez wsie prowadziła zniszczona gdzieś gdzie przez czołgi droga asfaltowa. W gospodarstwach znajdowały się podstawowe sprzęty i narzędzia gospodarcze, które na wschodzie nie były w powszechnym użyciu. Maszyny w rodzaju kosiarek i snopowiązałek znacznie ułatwiały prace w gospodarstwie. Ten kto miał krewnych czy znajomych na wschodzie chwalił się w listach czym tylko mógł, aby złagodzić tęsknotę za ziemią utraconą na wschodzie.

Dla przybyłych ze wschodu repatriantów świat ten wydawał się być obcym i tylko chwilowym miejscem pobytu. Tęsknili za swymi domami, ale też uczciwie zabrali się do pracy na nowych ziemiach. Wkrótce też zaczęły się nawiązywać nowe znajomości. Poznawaliśmy naszych bliższych i dalszych sąsiadów oraz ich zwyczaje. Nasz dom odwiedzał od czasu do czasu starszy pan Adolf Zieliński rodem z Czahar Zbaraskich. Mieszkał on daleko od naszego domu, ale widocznie miał wiele wolnego czasu, gdyż przychodził nagle niezapowiedziany, siadał za stołem i zaczynał gawędzić na tematy związane z życiem kresowym. Miał on szczególny dar prowadzenia wielogodzinnego, nieprzerwanego monologu, w czasie którego słuchacze mimowolnie zapadali w sen. Najbardziej cierpiał mój ojciec, który grzeczny z natury, nie potrafił uwolnić się od towarzystwa pana Adolfa. Z czasem doszło do tego, że pan Adolf stał się postrachem dla naszego domu. Inny nasz niedaleki sąsiad, pan Michał Zarzycki rodem z Czahar

Załuskich, okazał się być utalentowanym mechanikiem i konstruktorem. Potrafił on bowiem w krótkim czasie skonstruować ciągnik. Niestety, ciągnik mimo że poruszał się sprawnie po drodze był zbyt lekki, aby obsługiwać maszyny rolnicze. Natomiast dzięki panu Józefowi Czerkasowi z Czahar Starozbaraskich, mogłem poznać barwną powieść Henryka Sienkiewicza – „Ogniem i mieczem”. Pan Józef miał tylko pierwszy tom powieści, który kończył się słowami „Bar wzięty”. Dalszą część książki, m.in. o losach bohaterów powieści i obronie Zbaraża w 1649 roku mogłem przeczytać dzięki pani Żebrowskiej. Pani Żebrowska, wdowa po emerytowanym żołnierzu ze Zbaraża, mieszkała tuż obok kościoła w Żeliszowie i miała po mężu bogatą bibliotekę, z której często korzystałem. Jej mąż należał do Związku Oficerów Rezerwy w Zbarażu i brał udział, w latach trzydziestych ubiegłego wieku, w rekonstrukcji zamku w Zbarażu.

W centralnych miejscach obu wiosek, gdzie przedtem stały pruskie pomniki, postawiono charakterystyczne, skromne, drewniane krzyże dziękczynne osadników. Przed kościołem zbudowano drewnianą dzwonnice, na której zawieszono dzwony przywiezione z Maksymówki. Kamienny budynek kościoła był dobrze utrzymany, mimo że liczył sobie wiele lat. Tablica, wmurowana w ścianę kościółka, informowała o 4 marca 1592 jako dacie śmierci Jeremiasa Hoffmana, mieszkańca miasta Loewenberg. Mały kościółek w Żyrardówku, obrządku rzymskokatolickiego, do 1962 roku należący do parafii w Raciborowicach, był zawsze pełen wiernych. Ówczesny organista tego kościółka, pan Stanisław Ciastoń z Maksymówki, grał na organach, a wierni śpiewali z charakterystycznym wschodnim akcentem nabożne pieśni. W ołtarzu głównym umieszczono przywieziony z Maksymówki obraz św. Michała Archanioła. Ks. Młynarski, proboszcz parafii w Raciborowicach, dojeżdżał do kościoła w Żyrardówku na wojskowym motocyklu marki Harley. Mówiono, że ksiądz był kapelanem wojskowym. Wyróżniał się tym, że nabożeństwa odprawiał bardzo szybko, a jazdę na motorze uprawiał z dużą prędkością. Pierwszym proboszczem parafii w Żeliszowie od 1963 roku został ks. Aleksander Stankiewicz. Na wzgórzu obok szkoły znajdował się kościół protestancki. Była to świątynia o owalnym kształcie, z wysoką wieżą kamienną, dobudowaną w okresie późniejszym do kościoła. Obok znajdowała się opuszczona plebania oraz otoczony murem cmentarz protestancki. Niestety brak opieki nad kościołem i cmentarzem doprowadził je po latach do ruiny.

Nowi mieszkańcy Ustronia i Żyrardówka, o rolniczych na ogół tradycjach, nie byli przygotowani do wykorzystania wszystkich możliwości jakie stwarzało nowe środowisko. Wśród nich brakowało zarówno wykształconych fachowców, jak i zapotrzebowania na ich usługi. Nowa społeczność nie rozwarstwiła się zawodowo i była w znacznym stopniu samowystarczalna. Jedyne kowale znaleźli pełne zatrudnienie. W Żyrardówku kowalstwem zajmował się pan Jan Kułag, który pochodził z Sądowej Wiszni w Bieszczadach. W czasie wojny był on na przymusowych robotach w Niemczech, a po wojnie wraz z rodziną osiedlił się w Żyrardówku. Później znalazł konkurencję tuż pod bokiem, w osobie pana Osadczyka, który podobno przybył do wsi



prosto z Białorusi. Kowalem w Ustroniu był natomiast pan Władysław Żabski, pochodzący z Klebanówki na ziemi zbaraskiej. W kuźniach podkuwano konie oraz naprawiano liczne maszyny rolnicze, do których brakowało części zamiennych. Chleb wypiekano tradycyjnie w każdym domu. Wkrótce otwarto też sklep, w którym można było zaopatrzyć się w podstawowe artykuły spożywcze i gospodarcze, ale największe wzięcie miało piwo, którego zwykle brakowało.

Nasz nowy dom pod numerem 73, położony tuż przy drodze nad małym strumykiem, różnił się bardzo od tego w Zbarażu – był murowany z kamienia, piętrowy i obszerny. Data wryta na portalu domu wskazywała na to, że został on zbudowany w 1870 roku. Przed domem, na małym przydrożnym podwórku, pokrytym kamiennymi płytami, rosły dwie wiekowe lipy. Tuż obok była studnia. Z drugiej strony domu, tuż nad strumykiem, rosła wysoka olcha, na której porą wiosenną śpiewał swoją melodię kos. Z wdzięczności powiesiłem mu drewniany domek dla ptaków. W domu znajdowały się liczne pomieszczenia: kuchnia z podręczną spiżarnią, dwa pokoje na parterze oraz cztery pokoje i trzy komórki na piętrze. W jednej z tych komórek słychać było czasami odgłosy tykania zegara, co kojarzyło się z mechanizmem bomby zegarowej, potem uznaliśmy jednak, że musiały to być owady w rodzaju świerszczy. Kamienna podłoga w kuchni była już mocno wydeptana w ciągu lat swego istnienia. W kuchni znajdowały się dwa paleniska: zimowe zamknięte z piecem grzejnym oraz letnie z płytą odkrytą. Z kuchni prowadziły schody do piwnicy, gdzie znajdował się też piec do pieczenia chleba, pomieszczenia do przechowywania płodów rolnych oraz mała chłodna spiżarnia.

Z uwagi na wysoki poziom wody gruntowej, kamienna podłoga w piwnicy była zdrenowana. Dwa pokoje na parterze były ogrzewane piecami kaflowymi, natomiast na piętrze ogrzewano tylko duży pokój. Z sieni prowadziły strome drewniane schody na piętro, skąd wchodziło się też schodami na obszerny strych. Prosto z kuchni można było wyjść na wewnętrzną część posiadłości, która ze względu na płynący obok strumyk oraz podmokłą łąkę, była mocno ograniczona do małego murowanego tarasu oraz pomieszczenia z toaletą. Woda w płynącym poniżej strumyku była tak czysta, że pływały w niej pstrągi. Nasz dom krył pod jednym dachem część mieszkalną, oborę oraz stodołę. Stajnia znajdowała się w budynku kuźni, stojącym po drugiej stronie drogi. W domu tym mieszkał już nasz dobry znajomy z Wołynia – Rudolf Kuźniar z córką Jadwigą i dziewczyną do pomocy. Po przeprowadzce Kuźniarów do pobliskiej miejscowości – Skała, zostaliśmy jedynymi gospodarzami tej posiadłości. Do naszego gospodarstwa, oprócz domu należała także stojąca po drugiej stronie drogi kuźnia oraz stodoła odległa o kilkadziesiąt metrów, również za drogą. W kuźni znajdowało się palenisko, kowadło i duża ręczna wiertarka oraz wiele drobnych narzędzi w szufladach. To wszystko było bardzo intrygujące. Zdawało mi się, że mogę zostać kowalem. Stodoła była kryta strzechą, a w niej stała młockarnia napędzana silnikiem elektrycznym. Do gospodarstwa należały łąki i pola – razem około siedmiu hektarów.

We wsi przebywali ciągle Niemcy. W domu, w którym zamieszkaliśmy, żyło jeszcze dwoje starszych Niemców i ich córka lub synowa. Starszy Niemiec był z zawodu kowalem. Męża młodszej Niemki nie było w domu. Pewne dane wskazywały na to, że nie powrócił on jeszcze z wojska. Przebywaliśmy z nimi pod jednym dachem krótko i bezkonfliktowo. Tylko od czasu do czasu zdarzało się, że nie mogliśmy się ze sobą porozumieć. Pewnego razu mama, idąc do pracy w polu, poprosiła starszą Niemkę, aby dopilnowała gotującą się na kuchennej płycie strawę. Po naszym powrocie Niemcy bardzo zadowoleni, głaszcząc się po brzuchach, powtarzali: „*sehr gut, sehr gut...*”. Nie znaliśmy zupełnie ich przeszłości. Jedynie niektóre fotografie świadczyły o służbie starego Niemca w pruskim wojsku. Byli to ludzie zastraszeni sytuacją, jaka powstała po wojnie. Nie wiedzieliśmy, jaki los zgotuje im najbliższa przyszłość. Nie życzyliśmy tym wiekowym ludziom ani ich dzieciom niczego złego. Bywało, że w tym krótkim czasie kiedy dzieci niemieckie i polskie mieszkaly w jednym domu, zaprzyjaźniały się i uczyły porozumiewać w języku polskim i niemieckim. Już jednak w czerwcu lub lipcu 1946 roku zarządzono we wsiach zbiórke Niemców, po czym odtransportowano ich na stację do Lwówka Śląskiego. Pamiętam ten dzień; tuż przed opuszczeniem domu młodsza Niemka wyniosła z drewnitni małą paczuszkę (być może kosztowności) i zabrała z sobą. Po pewnym czasie, w schowku pod schodami, prowadzącymi na piętro domu, znaleźliśmy porcelanową zastawę stołową. Był to jedyny „skarb” zostawiony nam przez byłych niemieckich gospodarzy. Nie poznaliśmy dalszego losu tych ludzi. Po latach zdarzało się, że niektórzy odwiedzali dawne strony. Jedni oglądali swoje byłe domy z daleka, inni nawiązywali bliższe kontakty z nowymi mieszkańcami. Zarówno jedni, jak i drudzy zapewne wracali wspomnieniami do minionych czasów.

Od samego początku, w na pozór spokojnej atmosferze wsi obecne były elementy walki politycznej. W odpowiedzi na rządowe hasła przed referendum  $3 \times$  „tak”, we wsiach pojawiały się ulotki Polskiego Stronnictwa Ludowego. Parę miesięcy później następstwem tej walki były aresztowania. Pewnego dnia przed południem pojawił się w naszym domu człowiek, który jako inkasent poprosił o spisanie stanu licznika prądu w stodole, która znajdowała się na uboczu po drugiej stronie drogi. Kiedy nasz ówczesny gospodarz, pan Rudolf Kuźniar, udał się z rzekomym inkasentem do stodoły, został tam aresztowany przez ubeków. W tym samym czasie, tj. 1 lipca 1946 roku, został też aresztowany mój brat Karol, który służył wtedy w 38 Łużyckim Pułku Piechoty w Lesku. Oba te wydarzenia łączyła wspólna korespondencja i cenzura. Po kilkumiesięcznym pobycie w areszcie obaj zostali zwolnieni na podstawie amnestii z roku 1948. Sytuacja międzynarodowa oraz polityka ówczesnych władz partyjnych i państwowych PRL nie sprzyjały stabilizacji. Ciągła niepewność oraz narzucona kolektywizacja wsi spowodowały kryzys ciągłości tradycji i nadziei na pomyślną przyszłość. Lata 1950–1956 były bardzo trudne dla tradycyjnej wsi polskiej. Dopiero z odległej perspektywy czasu widać, jak niepewne były wtedy warunki życia w Polsce. We wczesnych latach pięćdziesiątych XX wieku, kult Stalina w krajach Demokracji

Ludowej osiągał swoje apogeum. Wyrażało się to w rozwoju propagandy. Słowa „Stalin” oraz „Związek Radziecki” były powszechnie eksponowane w literaturze, prasie i radiu, a także w zakładach pracy – na szyldach fabryk i murach miast. Ideologii stalinowskiej uczono w szkołach i na uczelniach. W każdym wypracowaniu szkolnym należało wspomnieć o przodującej roli partii oraz Związku Radzieckiego w ówczesnym świecie. Stalin budził ogromny respekt i strach. Sąsiedzi moich rodziców zawiesili w swoim domu, na eksponowanym miejscu, portret Stalina z fajką, niczym obraz świętego. Mówili, że dobroduszna fizjonomia dobrego wujaszka zapewnia im spokój i bezpieczeństwo. Była w tym jakaś wielka tragiczna prawda. Pamiętam, że młodzież śpiewała pieśń: „*Niech żyje nam towarzysz Stalin, on usta słodsze ma od malin*”, która w podtekście wyrażała jego podstępą i krwiożerczą naturę. Imię Stalina zdawało się żyć po wsze czasy.

Na podstawie przedłożonych w powiecie dokumentów o pozostawionym mieniu na Kresach Wschodnich oraz na podstawie prawa do osadnictwa wojskowego dla zdemobilizowanych osób z wojska wszyscy mieszkańcy otrzymali prawo do przydziałów gospodarstw wraz z ziemią w ilości około 7 ha. Zaraz potem nastąpiła komasacja gruntów. W następstwie czego mój ojciec złożył w Starostwie Powiatowym we Lwówku Śląskim wniosek o przyznanie prawa własności użytkowanej nieruchomości na podstawie skierowania wydanego przez Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) we Lwówku Śląskim oraz zaświadczenia o zdemobilizowaniu, z dnia 18 sierpnia 1945 roku, na co uzyskał Potwierdzenie Komisji Wnioskowej Starostwa. W skierowaniu wydanym przez PUR zaznaczono, na podstawie karty ewakuacyjnej, że majątek przywieziony na Ziemię Odzyskane stanowił: a) urządzenia domowego użytku – 10 ctn. (?), b) inwentarz martwy – wóz, rower, pług, c) inwentarz żywy – dwa konie, krowa, świnia. Opis mienia pozostawionego obejmował: dom mieszkalny, stajnię, stodołę, spichlerz, drewnutnię, szopę, karmnik, bróg oraz 4,60 ha ziemi ornej w Zbarażu. Opis ten nie obejmował sadu i ogrodu oraz części należącej, na prawach dożywocia, do matki ojca – Łucji. Dokument bez daty został wydany przez Głównego Pełnomocnika Polskiej Komisji Wyzwolenia Narodowego i potwierdzony przez dokument Państwowego Archiwum w Tarnopolu z dnia 21 września 2007 roku. Według tego dokumentu, największą dla mnie niespodzianką było to, że nasza chata, o powierzchni 110 m<sup>2</sup>, nie była tak wiekowa jak sądziliśmy i została wybudowana w 1890 roku. Było to dzieło zapewne mego dziadka Antoniego, który ożenił się dwa lata wcześniej – w 1888 roku (załącznik nr 11).

Akt nadania na nazwisko Szostakowski (?) Tomasz s. Antoniego został sygnowany przez Powiatową Komisję Ziemską we Lwówku Śląskim w dniu 25 listopada 1960 roku i dotyczył gospodarstwa w Żeliszowie, gmina Chmielno, pow. Lwówek Śląski, woj. Wrocław (załącznik nr 12). Gospodarstwo obejmowało około 7,49 ha gruntów, dom z oborą, stodołą i szopą oraz inwentarz martwy w postaci: kosiarka, pług, brony i kultywator. Wreszcie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wydział Rolnictwa i Leśnictwa we Lwówku Śląskim wydało Orzeczenie o wykonaniu aktu nadania w części dotyczącej ustalenia warunków nabycia gospodarstwa nr 67 w Żeliszowie

o powierzchni 8,91 ha, zwalniając jednocześnie mego ojca, jako repatrianta, z obowiązku uiszczenia ceny nabycia gospodarstwa. Po śmierci rodziców gospodarstwo przejął mój brat Karol Szustakowski wraz żoną i członkami rodziny. Początkowo wydawało się, że sprawy idą we właściwym kierunku. Niedługo potem nastąpiła kolektywizacja gospodarstwa. W tym samym czasie bowiem władze PRL usilnie dążyły do przebudowy wsi wprowadzając gospodarkę kolektywną, czemu stanowczo sprzeciwiała się społeczność wiejska. Obowiązkowe dostawy płodów rolnych i podatki nie pozostawiały żadnych rezerw nie tylko na rozwój gospodarstw, ale też ledwie pozwalały na przeżycie mieszkańców wsi. Prowadziło to do ruiny gospodarstw indywidualnych, na miejsce których powstawały niechciane spółdzielnie produkcyjne. Polityka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej miastu przeciwstawiała wieś w imię walki klasowej, która miała być motorem postępu cywilizacyjnego. W rzeczywistości następowała demoralizacja społeczeństwa i upadek obyczajów oraz tradycji. Skutki chorej ideologii komunistycznej odczuwamy do dziś. Ogromna część społeczeństwa do dzisiaj pozostaje bezradna w obliczu nowych demokratycznych warunków w kraju.

W czasie minionych lat w Ustroniu i Żeliszowie zapęłniły się cmentarze, ale rosną też nowe pokolenia. Czas zaciera pamięć o tamtych pionierskich wydarzeniach. W załączniku nr 10 przedstawiam w kolejności alfabetycznej pierwszych mieszkańców Ustronia i Żyrardówka (Żeliszowa) po wojnie w 1945 roku oraz miejscowości, z których przybyli. Mimo że większość mieszkańców nie pochodziła z Maksymówki, to przyjęło się uważać, że pochodzili oni z tej właśnie miejscowości. Wynikało to prawdopodobnie ze szczególnego znaczenia Maksymówki. Jej krótką charakterystykę przedstawiła pani Jadwiga Biernat-Szpunarowa<sup>5</sup>: „Maksymówka to nieduża wioska w powiecie zbaraskim w woj. tarnopolskim, na szlaku kolejowym Tarnopol – Podwołoczyska. W Maksymówce znajdował się kościół parafialny pod wezwaniem św. Michała Archanioła, do którego należało kilka wiosek, jak Góry Stryjowieckie, Czahary Kretowieckie, Czahary Hrycowieckie, Czahary Załuskie, Czahary Zbaraskie, Czahary Starozbaraskie i Koryłówka. W latach międzywojennych z tej parafii pochodziło pięciu księży, trzech zakonnych i dwóch świeckich. Wśród nich był Antoni Adamiuk, który w czerwcu 1939 roku uzyskał święcenia kapłańskie, a 5 lipca 1970 roku otrzymał z rąk Kardynała Bolesława Kominka sakrę biskupią. Pracował On następnie w Katedrze Opolskiej jako biskup pomocniczy, a dnia 25 stycznia 2000 roku zakończył swoją ziemską pielgrzymkę. Ciało Jego spoczęło na Górze św. Anny”. Dalej pani Jadwiga wspomina: „W Maksymówce była czteroklasowa szkoła podstawowa, stacja kolejowa, poczta, posterunek policji, sklep i magazyn zbożowy kółka rolniczego. W niewykończonym jeszcze Domu Ludowym, w dużej sali ze sceną, odbywały się piękne akademie z okazji świąt państwowych 3 Maja oraz 11 Listopada. Życie kulturalno-oświatowe bardzo szybko zaczęło się rozwijać. Niestety, 1 września 1939 roku wszystko się skończyło. Po Drugiej Wojnie Światowej byliśmy zmuszeni opuścić nasze piękne i żyzne ziemie podolskie”.

---

<sup>5</sup> J. Biernat-Szpunarowa, *Wspomnienia*, przekaz pisemny, archiwum autora, 2004.

### 6.3. Moje nowe miejsce na ziemi

Mój szlak życiowy doprowadził mnie do Wrocławia. Pod koniec studiów poznałem miłą memu sercu Zofię Balewicz, z którą po ich ukończeniu w roku 1960, zawarłem związek małżeński. Przez dwa lata mieszkaliśmy wspólnie z teściową, w domu przy ulicy Zygmunta Krasińskiego. Było to mieszkanie trzypokojowe z kuchnią i ubikacją na półpiętrze, w starym bloku na trzecim piętrze. Wydział Kwaterunkowy Dzielnicy Krzyki uznał, że mamy nadmetraż jednego pokoju i dokwaterował nam lokatora, którym okazał się inwalida bez nogi i w podeszłym wieku. Człowiek ten z trudem radził sobie z poruszaniem się po krętych schodach, przydzielono mu więc inne lokum, a na jego miejsce wprowadziło się młode małżeństwo z dzieckiem. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy w mieszkaniu pojawiła się milicja, która po krótkiej rewizji, aresztowała ojca rodziny pod zarzutem działalności kryminalnej. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić w jakich warunkach toczyło się wtedy nasze życie; obcy ludzie w mieszkaniu oraz wspólna kuchnia były powodem częstych napięć. Kiedy nadarzyła się okazja przystąpienia do Spółdzielni Mieszkaniowej „Cichy Kącik”, zapisaliśmy się na dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Grabiszyńskiej. Ponieważ tak duże, według ówczesnych standardów, mieszkanie przekraczało normę metrażu przewidzianego dla młodego małżeństwa, musieliśmy zameldować jeszcze moją mamę. Po trzech latach naszego małżeństwa przyszła na świat córeczka – Hania. Moja żona pochodziła z Warszawy i tam przeżyła wojnę, okupację, Powstanie Warszawskie i obozy przejściowe, m.in. w Pruszkowie oraz Opocznie. Ukończyła studia chemiczne na studiach wieczorowych Politechniki Wrocławskiej o specjalności ceramika. Córcia wykazywała talent sportowy i zajmowała się grą w tenisa ziemnego w klubie tenisowym. Jako juniorka odnosiła znaczące sukcesy, będąc czołową zawodniczką w kraju. W rozwoju dalszej kariery sportowej przeszkodziła jej kontuzja. Równolegle do zajęć sportowych córka podjęła studia i ukończyła Akademię Rolniczą we Wrocławiu, specjalizując się w technologii żywności. Matka żony, Kazimiera z Trzczańskich, pochodziła z rodziny ziemiańskiej, osiadłej w Łążku k. Mławy na Mazowszu. Była to bardzo dzielna kobieta, która choć wcześnie owdowiała, potrafiła radzić sobie w życiu i pomagać innym. Wielu jej krewnych znalazło swoje miejsce po wojnie we Wrocławiu dzięki jej pomocy i opiece. Moja żona miała jeszcze we Wrocławiu siostrę Danutę, zameżną z Tadeuszem Marcinkiewiczem, rodem z Wilna, ciocię Felicję i jej córkę Teresę Fijałkowską oraz kuzynki: Halinę Trzczańską-Rzemisławską i jej mamę Adelę oraz kuzynki: Teresę Trzczańską i Barbarę Trzczańską-Zgorzyńską. Wszyscy pochodzili z okolic Mławy, Ostrudy i Działdowa. Jeśli dodać, że mój kuzyn Antoni Szustakowski po studiach również osiadł z rodziną we Wrocławiu, należałoby uznać, że Wrocław po wojnie był miejscem, w którym splatały się losy ludzi z różnych stron Polski i pewnie świata.



Autor z żoną Zofią i córką Hanną w Częstochowie, 1998 r.

W czasie kilkudziesięciu ostatnich lat nastąpiły w Polsce radykalne zmiany polityczne, społeczne oraz demograficzne. Nigdy nie myślałem, że będzie mi dane przeżyć ten czas i w miarę bezpiecznie pokonać drogę Czarnym Szlakiem z Kresów na Dolny Śląsk, a także wykorzystać szanse na miarę istniejących możliwości. Wielu moich kolegów, być może zdolniejszych, lepszych, mądrzejszych i sprawniejszych ode mnie, tej szansy nie miało...

## 7. Opowieści z ław szkolnych

### 7.1. Szkoła podstawowa w Zbarażu

Edukację szkolną zacząłem w Zbarażu podczas okupacji niemieckiej w 1941 roku. Miesiąc po odejściu Sowietów i wkroczeniu wojsk niemieckich nauczyciele zbarascy podjęli się organizacji roku szkolnego. Zostałem zapisany do szkoły przez panie krążące po domach, a we wrześniu stałem się uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej w Zbarażu, który administracyjnie należał do Generalnej Gubernii (Generalgouvernement).



Droga do szkoły z Przedmieścia Tarnopolskiego wiodła ulicami miasteczka, przez betonowy Czarny Most na rzece Gnieźnie, obok kościoła i klasztoru oo. Bernardynów, gdzie stał garnizon niemiecki, lekko pod górę koło placu na Farze, gdzie dawniej był kościół parafialny i dalej wzdłuż piętrowych kamieniczek ze sklepami i kina do Rynku. Rynek stanowił obszerny plac, zabudowany w formie czworokąta, wokół którego stały piętrowe kamieniczki. W centrum placu mieścił się podobno kiedyś magistrat miasta. Dalej w kierunku zachodnim widoczny był budynek szkoły podstawowej w Zbarażu. W okresie przedwojennym szkoła męska nosiła imię Jana Skrzetuskiego, a żeńską nazwano im. Juliusza Słowackiego. Zbudowano ją w okresie I wojny światowej, za czasów zaboru austriackiego, a ukończono dopiero na początku lat dwudziestych XX wieku. Był to okazały budynek piętrowy, który również dzisiaj wyróżnia się na tle współczesnej zabudowy miasteczka. Wśród licznych deklaracji solidarności z okazji 150 rocznicy Niepodległości Stanów Zjednoczonych w 1926 roku, w bibliotece federalnej w Waszyngtonie, znajdują się również pamiątkowe egzemplarze ze szkół zbaraskich, na których widnieją oryginalne podpisy profesorów oraz uczniów. Na jednym z nich odnalazłem podpis mojej nauczycielki z pierwszej klasy, pani Romany Bilasiewiczowej oraz wiele znajomych nazwisk, wśród nich podpisy moich wujków: Stefana i Józefa Komendatów.



Szkoła podstawowa w Zbarażu, 1996 r.

Szkoła budziła respekt i szacunek. Do budynku prowadziły dwa wejścia – pozostałość podziału na szkołę żeńską i męską. Na dwóch kondygnacjach znajdowały się przestronne sale lekcyjne. W szkole poznawałem pierwsze znaki, literki i sylaby. Zadania domowe odrabiałem w pośpiechu, ponieważ chętnie dzieliłem obowiązki szkolne z innymi atrakcjami. Na zakończenie roku otrzymałem dwujęzyczne zaświadczenie – Bescheinigung nr 41 ukończenia klasy pierwszej i promocji do klasy drugiej. Świadectwo zostało podpisane przez opiekunkę klasy panią Romanę Bilasiewiczową i kierownika szkoły (nazwisko nieczytelne) (załącznik nr 13). Nauka w następnej klasie przebiegała podobnie jak w pierwszej. W tym czasie raczej nie przykładałem się zbyt do nauki. Był rok 1943 i ze wschodu zbliżał się front wojenny, a z Wołynia i okolic dochodziły groźne wieści o napadach oraz morderstwach dokonywanych przez bandy na Polakach. Być może, że ta nadzwyczajna sytuacja była powodem, nieodebrania przeze mnie świadectwa ukończenia drugiej klasy. Do trzeciej klasy przystąpiłem dopiero w roku 1944, po wkroczeniu wojsk radzieckich i rocznej przerwie w nauce. Początkowo lekcje odbywały się w atmosferze entuzjazmu z powodu wyzwolenia naszego miasta – skrawka Polski. Dawaliśmy patriotyczne przedstawienia w auli szkolnej. W tym czasie zdarzył się mały incydent; kiedy szedłem na próbę przedstawienia, przebrany za niemieckiego żołnierza, w hełmie niemieckim na głowie, zostałem osaczony przez żołnierzy radzieckich zawołaniem „*ruki w wierch*”. Po wyjaśnieniach odprowadzono mnie do szkoły i przekazano mojej opie-



kunce. Potem żartowałem, że niewiele brakowało, abym dostał się do rosyjskiej niewoli. W tym czasie bardzo brakowało papieru. Pisaliśmy między wierszami na przedwojennych starych drukach urzędowych. Na gazetach nie sposób było pisać z powodu złej jakości papieru. Wkrótce zostaliśmy usunięci z gmachu naszej szkoły i przeniesieni do budynku w okolicy „Domu Sokoła”. Natomiast w budynku szkoły ulokowano szpital wojskowy.

Z pewnym żalem wspominam incydent związany z koncertem, który moja klasa dała rannym żołnierzom w szpitalu. Nasza nauczycielka – pani Rozwadowska – uznała, że fałszując podczas śpiewu i mnie jedyne z całej klasy wykluczyła z udziału w koncercie. Było to dla mnie raczej przykre doświadczenie. Musiałem widocznie czymś się jej narażić, ale nie uważam, aby było to pedagogiczne. Brałem aktywny udział w wielu imprezach i przedstawieniach szkolnych i nigdy przedtem, ani potem nikt mi nie zwracał uwagi jak śpiewam, chociaż przyznaję, że nigdy nie powierzano mi partii solowej. Lubiłem lekcje śpiewu, po których, kiedy mnie nikt nie słyszał, też sobie śpiewałem. Na świadectwach szkolnych miałem ze śpiewu oceny bardzo dobre. W programie szkolnym klasy III obowiązywały przedmioty: język ukraiński, rosyjski i polski, arytmetyka, przyroda, historia, geografia, rysunek, muzyka i śpiew oraz wychowanie fizyczne. Z nauką historii zetknąłem się w szkole po raz pierwszy i to od razu historii Rosji. Pamiętam, że dopiero wtedy usłyszałem o bojarach i Iwanie Groźnym. Rok szkolny był podzielony na cztery kwartały. Ocenie podlegał każdy kwartał oraz cały rok. Na świadectwie, za dwa pierwsze okresy miałem oceny mierne, ale dwa następne oraz ocena końcowa były już bardzo dobre. Myślałem, że potrzebny był mi czas, aby przystosować się do sytuacji. Świadectwo – KARTKA w języku ukraińskim, na brązowym papierze, zostało podpisane przez dyrektora szkoły. Na tym moja oficjalna edukacja w Zbarażu została zakończona, ponieważ jesienią 1945 roku nie zorganizowano już szkoły dla Polaków. W tym czasie mama załatwiła dla mnie prywatne korepetycje u rodziny, której nazwiska dzisiaj nie pamiętam. Było to przedsięwzięcie, pozwalające utrzymać nawyk ciągłości uczenia się, ale nie zastąpiło prawdziwej szkoły. Dalszą edukację podjąłem dopiero w Polsce, na Dolnym Śląsku. Sentyment do mojej pierwszej szkoły jednak pozostał. Kiedy ją ostatnio odwiedziłem w 1996 roku, prawie się nie zmieniła i nadal prezentowała się bardzo okazale i nowocześnie z małą aulą, czy salą sportową, w której dawaliśmy przedstawienia szkolne w latach 1943–1944. Śpiewaliśmy wtedy wiosną: *Rozkwitały pąki białych róż...* Świadectwo wydane przez władze ukraińskie w Zbarażu upoważniało mnie do przejścia do klasy czwartej szkoły podstawowej (załącznik nr 14). Z takim świadectwem pojawiłem się jesienią 1946 roku w szkole podstawowej w Żyrardówku (Żeliszowie).

## 7.2. Szkoła podstawowa w Żeliszowie

W nowej szkole były tylko dwie sale lekcyjne, ale pięć klas – oddziałów. Kiedy po raz pierwszy stanąłem w klasie, byłem przekonany, że wszyscy uczniowie cho-

dzą do tej szkoły od dawna. W każdym razie znali się między sobą dobrze, gdyż w większości pochodzili z tych samych stron, okolic Zbaraża i przybyli tym samym transportem w listopadzie 1945 roku. Wydawało mi się, że nie byłem przyjęty przez nich wszystkich życzliwie. Wyczułem pewną obcość, wynikającą prawdopodobnie z tego, że byłem nowy i pochodziłem z miasteczka, w ich mniemaniu zamieszkałego w większości przez Żydów. Moja adaptacja przebiegała powoli. Uczniowie byli w różnym wieku; wszyscy staliśmy się w pewnym stopniu ofiarami wojny i z tego wynikało opóźnienie w edukacji. Ponadto okazało się, że klasy są łączone. Nasza czwarta klasa uczyła się razem z klasą piątą. Za pierwsze półrocze uzyskałem oceny dostateczne, ale na koniec roku miałem już oceny bardzo dobre. W tym okresie poznałem i zaprzyjaźniłem się z kilkoma kolegami: Zdzichem Boczarem i jego siostrą Heleną, Tolkiem Szafowalem i Frankiem Stawinogą. Z racji sąsiedztwa utrzymywałem bliskie kontakty z moimi kolegami – Józiem Muchą oraz Tadekiem Zarzyckim. Tadek miał starszego brata Zdzisława, który skupiał wokół siebie grono starszych kolegów. Wszyscy zbierali się u niego po lekcjach, gdzie na piętrze domu miał do dyspozycji duży pokój. Rodzice Zdzisława i Tadeka byli na tyle liberalni, że nie interweniowali w program spotkań młodych ludzi. Czasami brałem udział w tych spotkaniach i, o ile pamiętam, nie było tam papierosów ani alkoholu! Nie rozmawiało się też na tematy polityczne. Podświadomie zdawaliśmy sobie sprawę, że nadchodzi czas przemian w kraju, ale nie wiedzieliśmy dokładnie jakich. Służba Polsce była pierwszą organizacją, która skupiła młodzież do pracy przy odbudowie Polski. W naszym środowisku jej działalność ograniczyła się do kilku przemarszów przez wieś. Pamiętam, że na święta Bożego Narodzenia przygotowaliśmy przedstawienie Heroda. Było to nawiązanie do dawnych tradycji rodzinnych z Kresów. Ponadto interesowaliśmy się techniką, z czym wiązał się program uprzemysłowienia kraju, pomagały nam w tym pisma w rodzaju „Młody Technik”, jeśli dobrze pamiętam. Wszystko to sprzyjało marzeniom i tęsknocie za odkrywaniem i poznawaniem świata. Mój kolega Tadek był zdolnym, młodym chłopakiem, którego ambicja skierowała do szkoły lotniczej we Wrocławiu. Niestety, jak to czasami bywa u młodych, niedoświadczonych ludzi – miał wypadek motocyklowy, który zakończył się śmiercią. Tak skończyły się jego wielkie oczekiwania. Tymczasem, koniec roku szkolnego przyjęliśmy z wielką radością. Były to bowiem pierwsze prawdziwie szczęśliwe wakacje w naszym życiu.

W owym czasie kadra nauczycielska szkoły w Żyrardówku (Żeliszowie) składała się z kierownika szkoły, pana Stefana Sankowskiego i nauczycielki, pani Zofii Pasternakowej. Pani Zofia była młodą osobą, po seminarium nauczycielskim w Tarnopolu. Oboje pracowali z entuzjazmem w szkole i poza szkołą, organizując życie kulturalne we wsi. Pani Pasternakowa prowadziła przedmioty humanistyczne, natomiast pan Sankowski – zajmował się przedmiotami ścisłymi. Po pewnym czasie do tych dwojga dołączyli następni – pani Jadwiga Jatowczyc, młoda nauczycielka pochodząca z Suwałk oraz dwaj panowie zdemobilizowani z wojska, Czesław Czajka i Mateusz Szylin.



Uczniowie klasy IV ze szkoły podstawowej w Żeliszowie, 1947 r.

Pierwszy z nich prowadził lekcje biologii, drugi natomiast przedmioty ścisłe. Po latach pan Szylin opowiedział, w jaki sposób znalazł się w naszej szkole. Otóż po ukończeniu szkoły oficerskiej, podczas pełnienia służby wojskowej, został zdegradowany i wydalony z Ludowego Wojska Polskiego za to, że w kwestionariuszu osobowym zataił, że jego rodzice posiadali majątek rolny. Dopiero po wielu, wielu latach został zrehabilitowany, już na emeryturze. Pan Szylin potrafił wzbudzić wśród uczniów zainteresowanie przedmiotami ścisłymi, za co był przez nas lubiany. Wtedy też zainteresowałem się fizyką i chemią. Sprzyjały temu różne okoliczności. Pewnego razu byliśmy na szkolnej wycieczce w cementowni „Podgrodzie”, jedynym w najbliższej okolicy obiekcie przemysłowym. Był to zakład z czasów przedwojennych prowadzony według starej technologii pieców szybowych. Poznanie od wewnątrz zakładu przemysłowego było dla nas, uczniów wywodzących się z domów o rolniczych tradycjach, znaczącym wydarzeniem. Zwykle oglądaliśmy zakład z daleka, z którego mocno się kurzyło, a z komina leciał na przemian czarny, szary lub biały dym. Do zakładu przywożono kolejką z pobliskich kamieniołomów i stacji kolejowej podstawowe surowce do wyrobu cementu: wapienne kamienie oraz piasek (glinokrzemiany) i koks. Po odpowiednim rozdrobnieniu i wymieszaniu ładowano je od góry do pieców szybowych, gdzie w temperaturze około 1450 stopni Celsjusza były one wypalane. Przez

otwarte drzwiczki oglądaliśmy biały żar wnętrza pieca. Była to dla nas niewyobrażalnie wysoka temperatura. Aby zwiększyć wrażenie operator opowiedział nam historię, jak to pewnego razu robotnik wpadł do środka i zamienił się w cement. Wypalony materiał odbierano z dołu szybu, a następnie przesyłano do hali młynów kulowych. W hali panował okropny hałas. Tutaj w długich na kilkanaście metrów młynach rurowych, przy stałych obrotach i spadających kulach, gorący jeszcze materiał ulegał rozdrobnieniu na drobny proszek. Po wystudzeniu, otrzymany w ten sposób gotowy produkt – cement portlandzki, pakowano do papierowych worków i wysyłano do odbiorców. Był to nasz pierwszy krok na drodze poznania innej niż rolnictwo gałęzi gospodarki.

W miarę upływu lat przybywały w szkole następne klasy – szósta i siódma. W ten sposób w 1950 roku zakończyłem edukację na poziomie podstawowym. W szkole podstawowej pełniłem przez kilka lat funkcję skarbnika PCK, a pod koniec wstąpiłem do Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP). Harcerstwo było moim marzeniem, traktowałem to jako przygodę. Jako zastępowy małej grupki dzieci zacząłem wprowadzać musztrę wojskową, którą sam bardzo lubiłem. Potem zostałem zaproszony na powiatowe zgrupowanie ZHP we Lwówku Śląskim, podczas którego okazało się, że nastąpiła ideowa przemiana związku w duchu stalinowskim. Takie harcerstwo nie odpowiadało mojemu wyobrażeniu, w związku z czym porzuciłem dalszą w nim działalność. Szczęśliwie, wydarzenie to zbiegło się akurat ze zmianą szkoły. W tym czasie kilku naszych starszych kolegów podjęło naukę w Gimnazjum Elektrycznym w Jeleniej Górze. W ten sposób przecierali oni ścieżki następnym. Pani Zofia Pasternakowa sugerowała mi naukę w liceum ogólnokształcącym, natomiast pan Mateusz Szylin proponował szkołę techniczną. Wybrałem tę drugą możliwość. W tej sytuacji napisałem podanie o przyjęcie do Gimnazjum Elektrycznego w Jeleniej Górze i udałem się z kilkoma jeszcze kolegami do Jeleniej Góry w celu złożenia podania na miejscu w szkole. Tam okazało się, że w tym roku nie prowadzi się naboru do szkoły elektrycznej, tylko do nowo powstałego Technikum Chemicznego. Z uwagi na to, że lubiłem chemię, przekreśliłem na podaniu nagłówek Gimnazjum Elektryczne i wpisałem Technikum Chemiczne. Po egzaminie wstępnym zostałem przyjęty do klasy Ia Technikum Chemicznego w Jeleniej Górze. Jeszcze dzisiaj pamiętam smak kotleta schabowego oraz kufel chłodnego piwa, które razem z kolegami spożyliśmy w restauracji po egzaminie wstępnym.

### 7.3. Technikum Chemiczne w Jeleniej Górze

Technikum Chemiczne w Jeleniej Górze zostało powołane przez Ministerstwo Przemysłu Chemicznego jako zaplecze Zakładów Włókien Sztucznych „Celwiskoza”, które były w tym czasie intensywnie budowane. W tym celu wykorzystywano przedwojenne budynki zakładów włókien syntetycznych w Jeleniej Górze. Szkoła mieściła

się w budynku dawnego szpitala przy nieistniejącej dzisiaj ulicy Wynalazców. Dla potrzeb szkoły chemicznej adaptowano stojącą obok willę, w której urządzono laboratoria chemiczne. W normalnych warunkach, brak wentylacji w laboratoriach dyskwalifikował je, ale nie były to czasy zwyczajne. Był rok 1950, rok wzmożonej komuny-kacji kraju i wszystkiego, co się z tym wiązało. Okres ten wspominam jako najgorszy czas stalinizmu. Większość nauczycieli była na wysokim poziomie i nie angażowała się w ideologię marksistowsko-leninowską. Pamiętam niektóre nazwiska. Pani Maria Zakrzewska, bardzo miła opiekunka naszej klasy, uczyła chemii. Pan Wojtczuk, a następnie pan Izaak Beer prowadzili zajęcia laboratoryjne z chemii. Pan W. Chyczewski, elegancki mężczyzna ze starannie uczesаныmi i wypomadowаныmi włosami, prowadził materiałoznawstwo. Był on inżynierem chemikiem zatrudnionym w Zakładach Włókien Sztucznych na oddziale włókien syntetycznych. Jego żona uczyła rosyjskiego. Pan Mączka, znawca literatury polskiej, uczył nas w pewnym okresie języka polskiego. Pan Nawrocki, bardzo wysoki, starszy i sympatyczny pan, nauczał rysunku technicznego. Pani Przybylska, niezwykle elokwentna osoba, uczyła geografii i historii starożytnej. Pamiętam z tych lekcji słowa „*panta rhei*”, przypisywane Heraklitowi. Słowa te wpłynęły chyba później na mój liberalny sposób widzenia świata. Matematyki i fizyki uczył bardzo sympatyczny pan R. Rennert. Pamiętam jego lekcję z geometrii, podczas której przytoczył historię kryminalną; świadek zeznawał: „*Panie sędzio, nie widziałem zdarzenia, ponieważ w chwili zabójstwa znajdowałem się pod stolikiem, który chwiał się na trzech nóżkach, a ja usiłowałem podłożyć pod jedną z nóżek zwiniętą serwetkę*”. Na to sędzia odpowiada: „*Pan kłamie! Jest pan aresztowany, gdyż stolik na trzech nogach nie mógł się chwiać, ponieważ przez trzy punkty przechodzi jedna i tylko jedna płaszczyzna*”. Nauczyciele dość często się zmieniali. Za zwrócenie uwagi jednemu aktywiście Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) na niestosowne zachowanie, musiał odejść ze szkoły pan Wojtczuk, szanowany i kompetentny nauczyciel chemii. Na miejsce starych, doświadczonych przychodzili nowi nauczyciele. Do nich należeli m.in.: pani J. Kamińska, późniejsza burmistrz Karpacza i K. Wawrzyniak, nowy dyrektor szkoły. Oboje reprezentowali młodą generację pracowników szkoły.

W pierwszym roku istnienia szkoły powołano dwie pierwsze klasy: a i b, w każdej po 40 uczniów. Ja znalazłem się w klasie a. Stan liczebny klas nie utrzymał się długo. Do naszej należeli m.in.: Halina Postępska, Julia Szwabowicz, Krystyna Tarasewicz, siostry Łokaj, Jacek Młochowski, Waldemar Oganowski, Franciszek Piwowarski, Henryk Szląg, Zygmunt Maziarz, Tadeusz Jamróz, Aleksander Lubiński, Jerzy Matysiak, Ryszard Szydłowski, Józef Mielech i inni. Pod presją zapisywano wszystkich uczniów do Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Byłem jedynym uczniem w klasie, który odmówił wstąpienia do tej organizacji, z czego musiałem się rozpaczliwie tłumaczyć po to, aby nie zostać posądzonym o wrogię dla ustroju poglądy. Obowiązywała bowiem wtedy zasada: „*kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam*”. W końcu postanowiono wykorzystać mój wyjątkowy w owych czasach przypadek, jako przykład



Uczniowie Technikum Chemicznego w Jeleniej Górze, 1951 r.

demokratycznych stosunków społecznych w szkole, a może i w kraju. Aby załagodzić konflikt, byłem zmuszony zapisać się do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR). Pomyślałem sobie w końcu, że przyjaźń między narodami to nic złego. Tymczasem w kraju powszechnie panowały propaganda i terror ideologiczny. Pewnego razu w klasie pojawili się ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa (UB), żeby wśród uczniów pozyskać współpracowników. Po latach dowiedzieliśmy się, że pozyskani koledzy (a było ich kilku) otrzymali do dyspozycji broń, którą nosili m.in. do szkoły. Był to najbardziej brutalny okres w historii powojennej Polski. Za najmniejsze oznaki sprzeciwu w stosunku do reżimu ludzie znikali bez śladu. Przed lekcjami odbywały się poranne apele. Wreszcie w marcu 1953 roku zmarł Stalin. W kraju zapanował pozorny spokój. Kiedy podczas apelu poświęconego dyktatorowi, koleżanka zaśmiała się, została za to brutalnie skopana przez nauczyciela chemii. Jego reakcja została pozytywnie przyjęta przez dyrekcję i organizację partyjną. Wypracowania szkolne musiały być pisane zgodnie ze schematem, według którego we wstępie każdego tekstu należało nawiązać do przodującej roli Związku Radzieckiego, jako obrońcy uciśnionych i orędownika pokoju na świecie. Wszelkie wynalazki techniczne natomiast, przypisywano uczonym rosyjskim. Pewnego razu pojawił się pomysł, aby nasza klasa urządziła gwiazdkę. W tym celu zrobiliśmy losowanie i każdy z nas przygotował paczkę dla wylosowanej osoby, zawierającą zwykle słodczyce lub coś jeszcze, według

uznania. Wydawało się, że będzie to miły moment w tym ponurym okresie. Byłem bardzo rozczarowany, kiedy w paczce znalazłem egzemplarz historii WKPb, autorstwa bodajże samego Józefa Stalina. Był to kiepski żart, jak się domyślałem, największego czerwonego ideologa naszej klasy. Targały mną mieszane uczucia i w pierwszej chwili nie wiedziałem, co z tym „dziełem” zrobić; wyrzucić czy spalić. Dzisiaj żałuję, że nie mam już tego egzemplarza w swojej bibliotece, ponieważ był to dokument – jaskrawy dowód nienawistnego stosunku Stalina i komunistów do wszystkiego co polskie, a w szczególności do słowa: „pan”. Obywatele radzieccy, wychowani na tej książce, do dzisiaj nie mogą wyzwolić się spod jej wpływu. Po latach miałem zabawne sytuacje związane z tym słowem. Pewnego razu, wiele lat po śmierci Stalina, w czasie, kiedy byłem opiekunem praktyki studenckiej w Kazaniu, podczas zwiedzania zakładu chemicznego w Mendelejewsku oraz przyzakładowego sanatorium, jeden z kuracjuszy – weteran II wojny światowej, zapytał: „*a u was pany jeszcze jest?*” Kiedy indziej, podczas urlopu w domu wczasowym Politechniki Wrocławskiej „Limba” w Karpaczu odwiedziła nas wycieczka uczonych ze Związku Radzieckiego, powiedziałem do jednego z towarzyszy: „*proszę, niech pan wejdzie do środka*”. W odpowiedzi usłyszałem słowa: „*kakoj ja pan? ja nie pan.*”

Kiedy chodziłem do szkoły średniej, mieszkałem prawie wyłącznie w internacie – starym i zagrzybionym budynku obok szkoły, w pokojach z łózkami piętrowymi. Co pewien czas każdy z mieszkańców pełnił obowiązki dyżurnego. Należało do nich dopilnowanie przestrzegania regulaminu przez mieszkańców. Rano pobudka i apel poranny, wieczorem apel wieczorny. Na apelu porannym śpiewano „Naprzód młodzieży świata”, a wieczorem „Międzynarodówkę”. Kierownikiem internatu był towarzysz Pisula, który wkładał wiele wysiłku, aby zmienić nasze dusze i wykształcić w nas socjalistyczną mentalność. W drugiej klasie zyskałem wsparcie w osobie mego kuzyna Józefa Stockiego, który dostał się do Technikum Elektrycznego podczas wznowionej rekrutacji na ten kierunek. Pełne stołowanie zamieszkałym w internacie uczniom zapewniała stołówka znajdująca się na niskim parterze szkoły. Dopiero w ostatnim roku szkolnym przenieśliśmy się na kwaterę prywatną, mając nadzieję, że więcej czasu zdołamy poświęcić na przygotowanie się do matury. Obiady jadałem jednak nadal w stołówce szkolnej. Czas wolny każdy z nas spędzał według własnego planu. Ja zapisałem się do sekcji radiotechnicznej w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie wraz z innymi kolegami składaliśmy radioodbiorniki. W czasie roku szkolnego udało mi się zmontować odbiornik, który chwycił już nawet pewne sygnały radiowe ze świata. Ostatecznie jednak, w związku z maturą, zapomniałem o odbiorniku. Nie wiem co się z nim stało. Nauka w szkole trwała od poniedziałku do soboty. Zajęć lekcyjnych oraz laboratoryjnych było bardzo dużo. Dodatkowo odbywały się zajęcia praktyczne w Zakładach Włókien Sztucznych „Celwiskoza” w Jeleniej Górze. Zakłady te „rosły” na naszych oczach. Jednocześnie, stopniowo zmieniało się wokół nas środowisko przyrodnicze. Wysokie kominy wyrzucały z wnętrza zakładów toksyczne opary związków siarczkowych do atmosfery, a kanałami spływały ścieki do wód. Rzeką

Bóbr płynęły cuchnące kożuchy piany, a urocze schronisko „Perła Zachodu” straciło swoje pierwotne walory. Zawarte w powietrzu związki siarki utleniały się do kwasu siarkowego, który w postaci kwaśnych deszczy niszczył lasy karkonoskie, po których w ciągu kilku lat pozostały cmentarzyska umarłych drzew. Bogaty kiedyś drzewostan karkonoski przedstawiał teraz sobą przykry krajobraz. Taki był wynik planowej, lecz nieprzemyślanej gospodarki epoki budowy socjalizmu w Polsce.

Początkowo włókna wiskozowe produkowano na bazie celulozy sprowadzanej z krajów skandynawskich. Następnie zaczęto budowę zakładu celulozy. Surowcem do produkcji celulozy było drewno drzew iglastych i liściastych. Stosowano metodę siarczanową, w której rozdrobnione drewno w postaci ścieru poddawano działaniu ługu sodowego z dodatkiem siarczku sodu. W procesie tym wydzielano czystą celulozę oraz ługi powarzelne. Celulozę poddawano następnie bieleniu podchlorynem sodu i przesyłano na wydział wiskozowy. Ścieki powarzelne zawierały groźne dla środowiska związki siarki i chloru. Po wstępnej neutralizacji odprowadzono je na pola osadowe, a następnie do rzeki Bóbr. Na wydziale wiskozowym celulozę poddawano w autoklawach działaniu stężonego ługu sodowego i dwusiarczku węgla. Otrzymany ksantogenian sodu celulozy rozpuszczano w rozcieńczonym ługu sodowym, otrzymując w ten sposób lepłą ciecz zwaną wiskożą. Wiskoza tłoczona przez dysze tantalowe w kąpeli zawierającej kwas siarkowy oraz siarczan sodu i cynku ulegała przemianie na włókna wiskozowe. Kąpiel wiskozową poddawano następnie zateżnieniu w wyparkach próżniowych, po czym zwracano do produkcji na przędzalnię. Warunki pracy w tych zakładach były bardzo trudne. Odnosiło się to szczególnie do przędzalni. Częste awarie oraz zła wentylacja powodowały u pracowników zatrucia układu nerwowego dwusiarczkiem węgla i innymi związkami siarczkowymi. W pewnym momencie mnie również dopadła choroba – zachorowałem na żółtaczkę, w wyniku czego spędziłem dziesięć dni w szpitalu, a następnie miesiąc w domu jako rekonwalescent. Jeszcze raz zachorowałem poważnie w szkole średniej – była to ciężka grypa z powikłaniami.

Na niedzielę jeździłem do domu pociągiem z Jeleniej Góry do Lwówka Śląskiego. W każdą sobotę po południu wyruszałem z walizką w rękach na dworzec kolejowy. Stacja w Jeleniej Górze była ważnym węzłem kolejowym, który łączył Polskę z regionem turystyczno-wczasowym. Na dworcu kłębił się zwykle tłum podróżnych. Jedni wyjeżdżali, drudzy – przyjezdni wsiadali do taksówek, dorożek konnych lub tramwaju i udawali się na dworzec Zachodni lub bezpośrednio do Cieplic, Karpacza, Szklarskiej Poręby lub innych podgórskich miejscowości. Pociąg osobowy do Lwówka Śląskiego był podstawiany na boczny tor stacji. W jego skład wchodziły wagony z poprzedniej epoki; miały one wewnątrz małe przedziały zwane „separatkami”, w których znajdowały się dwie ławeczki. Do każdego przedziału prowadziły oddzielne drzwi z zewnątrz, przy których przymocowane były uchwyty oraz drewniane stopnie. Tuż przed odjazdem pociągu do wagonów podłączano parowóz. Kłęby pary



i dymu oraz gwizd parowozu zwiastowały odjazd. W czasie podróży czasami wpadały do oczu cząstki sadzy, które mocno uprzykrzały podróż pasażerom. Linia kolejowa prowadziła wzdłuż biegu rzeki Bóbr. Pociąg zatrzymywał się na każdym przystanku. Czas podróży pociągiem wynosił niewiele ponad godzinę. Największą atrakcją monotonnej podróży był zbiornik i zapora w Pilchowicach oraz zamek we Wleniu. Dalszą drogę do domu odbywałem pieszo. Wędrówka taka trwała ponad dwie godziny. Dobrze ją jeszcze pamiętam. Chyba nigdy nie trafiła mi się okazja do podwiezienia. W tamtych czasach nie było jeszcze regularnej komunikacji autobusowej, łączącej Lwówek z Żeliszowem. Ze stacji we Lwówku wyruszałem w drogę do domu z walizką w rękę. Najpierw szedłem wąskimi uliczkami pod murami miasta, koło baszty skręcałem w ulicę główną, w kierunku Bolesławca. Tuż za miastem po obu stronach drogi rozpościerały się łąki – tereny zalewowe przyległe do rzeki Bóbr. Zdarzało się, że wiosną lub w okresach powodzi letnich, cała droga znajdowała się pod wodą. Wtedy piesi mogli korzystać z kamiennych ścieżek, ustawionych metr nad powierzchnią po obu stronach drogi. Droga prowadziła przez kamienny most na rzece Bóbr i dalej przez wioskę Brunów. W tym miejscu szosa rozwidlała się, a ja skręcałem w prawo, w kierunku Bolesławca przez Ustronie. Po drodze mijałem ostatnie zabudowania oraz park w Brunowie i wychodziłem lekko pod górkę w pole. Ta część szosy była mało uczęszczana w przeciwieństwie do drogi głównej prowadzącej przez Włodzice do Bolesławca. Kiedy wchodziłem na szczyt wzniesienia, roztaczał się przede mną widok na rozległą dolinę z zabudową wioski Chmielno. Był to jeden z ciekawszych fragmentów mojej wędrówki. Daleko na wzgórzu widać było ruiny pałacu w Skale. Przez Chmielno przechodziłem koło sklepu GS, oraz przez mostek nad strumykiem i dalej znów w pole. Był to prosty odcinek drogi, który prowadził piechura pod pobliski las. W tym miejscu należało znowu wspinać się pod górę przez las. W lewo odchodziła droga do Gaszowa, małej wioski, gdzie żyli nasi znajomi ze Zbaraża – rodzina Małęczaków. Cały czas szedłem bez wytchnienia. Na końcu wzniesienia dochodziłem do Ustronia, a następnie koło kościoła, do Żeliszowa. Byłem prawie w domu. Mijałem kolejne domy znajomych mi mieszkańców. Większość z nich pochodziła, jak i ja, z ziemi zbaraskiej. Wreszcie, pod wieczór, docierałem do domu. W domu wszyscy cieszyli się z moich powrotów, ale najwięcej radości okazywał pies – Puszek. Następnego dnia, po mszy świętej, zaopatrzony w świeżą bieliznę, smalec i dżem, byłem odwożony przez ojca powozem zaprzęgniętym w parę koni na stację kolejową we Lwówku. Powtarzało się to bez wyjątku przez cztery lata, aż do 1954 roku, kiedy zmienił się kierunek moich wyjazdów. Jeździłem wówczas do Wrocławia przez Bolesławiec, ale to już inna historia.



## 8. Studia i praca

### 8.1. Studia

Po zdaniu matury w 1954 roku stanąłem przed wyborem – praca czy studia. W tamtych czasach większość absolwentów podlegała obowiązkowym nakazom pracy. Tylko najlepsi uczniowie mieli prawo do studiów bez egzaminu lub mogli zdawać egzamin wstępny na studia wyższe. Ponieważ plasowałem się w klasie na drugim–trzecim miejscu, miałem więc prawo ominąć nakaz pracy. Początkowo, kierując się pewnym sentymentem do wojska, wybrałem Wojskową Akademię Techniczną. W porę zmieniłem zdanie i wycofałem podanie z Wojskowej Komendy Rejonowej w Jeleniej Górze i złożyłem odpowiednie papiery na Wydziale Chemii Politechniki Wrocławskiej. Miałem wtedy dwadzieścia



lat i nasza sąsiadka dziwiła się, że nie mam jeszcze dość szkoły i nadal chcę się uczyć.

Egzamin wstępny z matematyki, fizyki i przedmiotu nauka o Polsce zdawaliśmy w sali Wałbrzyskiej Politechniki Wrocławskiej. Jeśli dobrze pamiętam, to na egzaminie z matematyki należało m.in. doprowadzić złożony ułamek do postaci prostej, pamiętając o regułach pierwszeństwa działania. Większy problem miałem z egzaminem z fizyki. Pewnym usprawiedliwieniem może być niski poziom nauki tego przedmiotu w szkole oraz brak podręczników. Jedyнным podręcznikiem, jakim dysponowałem, była fizyka dla szkoły podstawowej. Musiałem przyrzec pani prof. Cecylii Wesołowskiej, że podczas studiów braki postaram się nadrobić. Wiadomość o przyjęciu na studia otrzymałem początkowo, pomagałem wtedy rodzicom w gospodarstwie. Mimo że nie wrócono nam absolwentom Technikum Chemicznego w Jeleniej Górze sukcesu, na studia dostało się kilka osób. Przed nowym rokiem akademickim odbył się krótki kurs z matematyki. Nowy rok akademicki zaczął się wyjątkowo wcześniej niż zwykle, bo we wrześniu. Początkowo ulokowano nas w domu akademickim przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie. W niewielkim

pokoju ustawione były łóżka piętrowe. Oficjalnie zakwaterowano w pokoju osiem osób. Jeden segment zajmowali koledzy ze starszego rocznika, którzy praktycznie do pokoju przychodzili tylko na nocleg, a pozostały czas spędzali na zajęciach i grze w brydża. Pewne niejasne prawa do noclegu w naszym pokoju mieli też dwaj studenci Akademii Medycznej. Na drugim roku studiów ulokowano nas w akademickiej dzielnicy na Biskupinie, w szeregowych domkach rodzinnych z okresu przedwojennego, przy ulicy Stanisławskiego. Na osiedlu panował specyficzny nastrój akademicki. W tym czasie w modzie były kolorowe czapki akademickie. Dobre połączenie z uczelnią zapewniała linia tramwajowa. Po drodze znajdowała się stołówka studencka przy ulicy Wróblewskiego. W tamtych czasach panowały inne niż obecnie zwyczaje; drzwi wozów tramwajowych były zawsze otwarte, jeździło się na stopniach, a nawet na zderzakach tramwajów. Przejeżdżając koło stołówki, wyskakiwało się z pędzącego tramwaju prosto do kolejki.

Mój rocznik miał szczęście do eksperymentów w trakcie nauki. Kiedy zaczynałem studia, po raz pierwszy rok akademicki rozpoczynał się we wrześniu, przyjęto też rekordową liczbę studentów – 180 osób. Zostaliśmy podzieleni na 30-osobowe grupy. Wśród nas byli też trzej Koreańczycy tak do siebie podobni, że początkowo nie mogliśmy ich od siebie odróżnić, ani po wyglądzie, ani po nazwiskach, które były trudne do zapamiętania: Kim Gi Bon, Kim Don Gu oraz Czoj Man Dżon. Byli oni po rocznym kursie języka polskiego w Łodzi i mówili dość poprawnie po polsku. Przez cały semestr zimowy drugiego roku studiów mieszkaliśmy razem z nimi w pokoju domu akademickiego na Biskupinie. Byli to spokojni i zdyscyplinowani ludzie w wieku trudnym do określenia. Od czasu do czasu urządzali spotkania z większą grupą swoich rodaków przy misce ryżu. Nigdy nie byłem zapraszany do udziału w takich spotkaniach. Nie poznałem też smaku potrawy sporządzanej z ryżu, cebuli, czosnku, papryki. Jej ostry zapach był trudny do zniesienia.

Szeregi nasze zaczęły się przerzedzać z powodu emigracji części studentów do Izraela, selekcji egzaminacyjnej czy też z przyczyn losowych i innych. Dziekanem Wydziału był wtedy prof. Zdzisław Tomasik, którego nie miałem okazji poznać bliżej. Program studiów był przeładowany. Obciążenie tygodniowe wynosiło więcej niż 42 godziny. Oprócz przedmiotów podstawowych jak: matematyka, fizyka, chemia nieorganiczna wraz z ćwiczeniami i zajęciami laboratoryjnymi, wprowadzono też podstawy marksizmu-leninizmu, język rosyjski, geometrię wykreślną i rysunek techniczny oraz wychowanie fizyczne. Na zajęcia z rysunku jeździliśmy z deskami rysunkowymi z akademika na uczelnię i z powrotem. Ciekawe zdarzenie miałem w gmachu „Starej chemii”; śpiesząc się na wykład, zapytałem o salę Wałbrzyską idącego z naprzeciwka pana. Pan ten zatrzymał się, ruszył wąsami jak gdyby coś sobie przypominając, po czym odwrócił się i bez słowa ruszył z powrotem. Potem okazało się, że w ten sposób zaliczyłem pierwszy kontakt z budzącym respekt prof. Włodzimierzem Trzebiatowskim. Później profesora poznałem na wykładach oraz egzaminach. Profesor sam posługiwał się poprawną polszczyzną i wymagał tego od innych.



Studenci z grupy V Wydziału Chemicznego, 1956 r.

Chemię dla studentów Uniwersytetu i Politechniki w sali Wałbrzyskiej wykladała pani prof. Bogusława Trzebiatowska. Wykładom towarzyszyły proste eksperymenty, które demonstrował asystent pani profesor. Pewnego razu ustawił on wysoko na półce szklany cylinder, w którym znajdowały się dwie warstwy cieczy: roztworu siarczanu miedzi o barwie niebieskiej oraz czystej wody. Na każdym wykładzie obserwowaliśmy niecierpliwie jak powoli zachodzi przenikanie się warstw w wyniku procesu dyfuzji. Wreszcie pewnego dnia zobaczyliśmy cały roztwór idealnie niebieski, jak się okazało dzięki zmieszaniu roztworów przez jednego z naszych dowcipnych kolegów. Fizykę ciekawie wykladał mgr Miron Gaj. Częste pokazy demonstracyjne z udziałem asystentów bardzo wzbogacały treści wykładu. Szczególnie atrakcyjne były pokazy przy zgaszonym świetle. Matematykę wykladała bardzo sympatyczna pani prof. Halina Łopuszańska. Jej wrażliwość oraz wdzięk osobisty przysparzały matematyce wielu zwolenników. Pamiętam, jak pewnego razu w czasie wykładu z ostatnich rzędów sali Wałbrzyskiej rozległ się nagle krzyk – „żle!”. To jeden z naszych zdolniejszych kolegów zabrał głos. Pani profesor zarumieniła się i po krótkiej analizie formuły poprawiła błąd na tablicy, a następnie miło podziękowała naszemu koledze za aktywność. Po pierwszym semestrze obowiązywał egzamin z matematyki, fizyki, chemii oraz geometrii wykreślnej i rysunku technicznego. Uczyliśmy się najwięcej chemii. Semestr zimowy udało mi się zaliczyć bez problemu.

W programie zajęć semestru letniego pojawiło się jeszcze studium wojskowe, które odbywało się raz w tygodniu. Zajęcia zaczynały się o siódmej rano i trwały do wieczora. Kierownikiem studium wojskowego był płk Gawdzik, przed którym mieliśmy dość duży respekt. Bywało, że kiedy nadchodził, bardziej wrażliwi studenci ostrzegali „uwaga, Gawdzik!” i przyjmowali postawę baczność. Obowiązywało umundurowanie wojskowe oraz dyscyplina. Wykładowcami byli oficerowie, którzy mieli za sobą doświadczenie wyniesione z niedawno zakończonej wojny. Tym razem były to jednak czasy zimnej wojny i groźba wojny atomowej wisiała w powietrzu. Na zajęciach przekazywano nam ściśle tajne informacje na temat broni atomowej i chemicznej oraz skutków jej rażenia. Jedna instrukcja mówiła, że podczas ataku atomowego należy padać na ziemię piętami w stronę wybuchu. Z zajęć tych, oprócz wiedzy wojskowej, wynieśliśmy też wiele wojskowych dowcipów. W semestrze letnim było aż pięć egzaminów. Priorytetowym przedmiotem nadal była chemia nieorganiczna oraz ćwiczenia rachunkowe i laboratoryjne z chemii nieorganicznej. Ćwiczenia rachunkowe z chemii nieorganicznej prowadziła oraz była opiekunką naszej V grupy pani mgr Maria Drysiowa. Ćwiczenia laboratoryjne z chemii nieorganicznej były praktycznym wprowadzeniem w świat chemii. Ponadto mieliśmy wykłady i ćwiczenia, m.in. z podstaw marksizmu i leninizmu, języka rosyjskiego, matematyki, fizyki, geometrii wykreślnej i rysunku technicznego, wychowania fizycznego.



Obóz wojskowy w Miliczu, 1956 r.

Poświęcając wiele czasu chemii, nie miałem czasu na fizykę i oddałem pierwszy termin egzaminu walkowerem, zaliczając go ostatecznie we wrześniu w drugim terminie z wynikiem dobrym.

Jak Polska długa i szeroka jesienią młodzież była zobowiązana do udziału w wykopkach ziemniaków. W tych imprezach brałem udział już w szkole średniej. Również i tym razem poświęcono dużo uwagi akcji wykopkowej. Nad Odrą, przed gmachem głównym Politechniki, zwołano wiec poświęcony wykopkom. Organizatorami byli aktywiści ZMP. Tym razem nie chciałem wziąć udziału w tej akcji i na wykopki nie pojechałem. Zwróciło to uwagę organizatorów. Tłumaczyłem, że muszę się uczyć. Podobnie jak w szkole średniej, nadal nie należałem do ZMP ani żadnej innej organizacji.

Na drugim roku przedmiotem dominującym była chemia organiczna. Wykłady prowadził prof. Edwin Płażek. Bardzo lubiłem ten przedmiot. Profesor zaczął pierwszy wykład od prezentacji na tablicy danych statystycznych postępów ostatnich roczników. Zachęcał nas w ten sposób do podjęcia wyzwania. Profesor był już w podeszłym wieku, ale w dobrej kondycji fizycznej. Był on wtedy prezesem Okręgowego Związku Tenisa Ziemięnego we Wrocławiu. Prawdopodobnie było to powodem dużej popularności tenisa na Wydziale Chemicznym. Nie miałem okazji zdawania egzaminu u samego profesora, lecz u dr. Tadeusza Talika. Chemię analityczną wykładała pani doc. Zofia Wojciechowska, natomiast laboratorium prowadzili panowie asystenci: Andrzej Idzikowski i Władysław Baran. Pan Andrzej Idzikowski podczas zajęć mawiał: „*kto nie nauczy się chemii analitycznej, ten będzie kulał całe życie*”. Tu dodam, że pan Andrzej był kulawy na jedną nogę, ale przedmiot znał doskonale. Studia ukończył we Lwowie i należał do bliskich współpracowników prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego. Barwne reakcje charakterystyczne kationów i anionów oraz zaliczenia poszczególnych analiz były pełne emocji. Trzeba było wykorzystywać zdobytą wiedzę teoretyczną i doświadczenie, aby w określonym czasie odkryć skład otrzymanych do analizy roztworów i zaliczyć laboratorium. Kolokwium zaliczeniowe z chemii analitycznej odbywało się tradycyjnie w Sylwestra wieczorem. Mechanikę techniczną prowadził w bardzo przejrzysty sposób mgr Władysław Siuta z Wydziału Mechanicznego, który szczególnie wysoko oceniał panie z naszego roku. Egzamin z maszynoznawstwa chemicznego zdawałem u prof. Stanisława Żurakowskiego. Miał on oryginalny sposób prowadzenia wykładów, który polegał na tym, że żywo gestykulował i poruszał się krokiem tanecznym po sali wykładowej. Kiedyś studenci zrobili mu kawał, przepychając na inne miejsce zaparkowany na ulicy samochód. Ku rozczarowaniu studentów, profesor braku samochodu nie zauważył w ogóle i udał się do domu tramwajem. Na podstawie czasu przeznaczanego na studia można by sądzić, że przedmiot podstawy marksizmu i leninizmu był kluczowym przedmiotem na Wydziale Chemii. Wykładowcy zmieniali się, ale przedmiot trwał przez cztery semestry. Poważnym problemem było zaliczenie egzaminu tak, aby nie stracić szacunku dla samego siebie. Bezwzględnie nie należało podejmować polemiki z egzaminatorem.

Jeden znany mi przypadek potraktowania tego problemu inaczej skończył się wyrzuceniem studenta z uczelni i prawdopodobnie dalszymi konsekwencjami. Należy pamiętać, że było to tuż przed wypadkami w Poznaniu oraz październikiem 1956 i rewolucją na Węgrzech. Drugi rok studiów kończył się obozem wojskowym w lasach pod Miliczem. W programie było dużo musztry. Poznawaliśmy zasady współżycia w grupie. Kiedy kapral dawał komendę „*tam pod las kompania biegiem marsz*”, rwaaliśmy do przodu, aby dobiec tam i szybciej wrócić. Zwykle jednak kapral nie czekał, aż osiągniemy cel, lecz wołał „*z powrotem*”. Wtedy ci najbardziej gorliwi mieli najdłuższą drogę powrotną. Z czasem nauczyliśmy się biegać ekonomicznie, nawet w miejscu. Podoficerowie, którzy pochodzili ze Śląska, dawali nam dobrą szkołę, nawet nauczyli nas śpiewać w maskach przeciwgazowych. Po dwóch tygodniach ćwiczeń byliśmy przygotowani do złożenia przysięgi wojskowej. Potrafiliśmy też poprawnie odpowiedzieć dowódcy: „*czolem telu niku*”. Wypadki w Poznaniu spowodowały znaczny wzrost napięcia w jednostce. Każdy dzień przybliżający nas do końca obozu był starannie odnotowywany przez nas szyszkami świerkowymi na obozowym klombie.

Chemia fizyczna była najważniejszym przedmiotem na trzecim roku studiów. Wykłady prowadził prof. Krzysztof Pigoń, a ćwiczenia laboratoryjne, m.in. asystenci Józef Rohleder i Zdzisław Ruziewicz. Inne przedmioty to: technika cieplna, język niemiecki, maszynoznawstwo chemiczne, preparatyka chemiczna, studium wojskowe i ekonomia polityczna. W pracowni chemii organicznej zajęcia prowadzili m.in. doktorzy: Roman Tyka i Sylwester Wieczorek. W trakcie zajęć syntezowaliśmy preparaty chemiczne. Niektóre z nich, jak na przykład kwas nikotynowy, miały nieznośny zapach, który przenikał naszą odzież i zwracał uwagę w tramwaju w drodze powrotnej do akademika. Jesienią 1956 roku bojkotowaliśmy zajęcia z ekonomii politycznej. Z tego powodu weszliśmy w konflikt z dziekanem, którym był w tym czasie doc. Jerzy Schroeder. Dziekan odgrażał się, że jako absolwent lwowskiej szkoły kadetów, nie odpuści, ale skończyło się kompromisem w postaci zaliczenia przedmiotu bez egzaminu. W semestrze piątym, z powodu niezaliczenia w terminie ćwiczeń rachunkowych z chemii fizycznej, które prowadziła pani Jadwiga Demichowicz-Pigoniowa, do egzaminu zostałem dopuszczony dopiero w drugim terminie. Ćwiczeń rachunkowych z chemii fizycznej nie wspominam miło; bywały jednak również momenty zabawne. Na ćwiczeniach rozwiązywaliśmy zadania przy tablicy. Zadania na ogół nie były łatwe. Kiedyś kolega pisał kredą na tablicy znak plus, ale nie będąc pewnym znaku mówił minus. Kiedy pani zawołała źle, on odpowiedział przepraszam, ale ja powiedziałem minus i w ten sposób doznałem szczęśliwie do końca zadania. Końcowy egzamin u prof. Krzysztofa Pignonia zaliczyłem przy pierwszym podejściu. Semestr szósty był wstępem do specjalizacji. Oprócz przedmiotów kontynuowanych z poprzednich semestrów pojawiły się nowe: technologia ogólna nieorganiczna, wykładana przez doc. Jerzego Schroedera oraz inżynieria chemiczna, prowadzona



przez doc. Zdzisława Ziółkowskiego. Kto zaliczył trzeci rok studiów mógł mieć nadzieję na pomyślne ukończenie studiów.

Zanim to się stało opiszę pewien incydent, jaki się zdarzył tuż przed zimową sesją egzaminacyjną. Był to czas tragicznych wypadków na Węgrzech. Z wydarzeniami tymi solidaryzowaliśmy się wszyscy, m.in. nosząc w klapie marynarki kokardki w węgierskich barwach narodowych. Pewnego dnia uczylimy się do egzaminów, kiedy zgasło światło na całym osiedlu akademickim przy placu Grunwaldzkim we Wrocławiu. Nie wiem, jak to się stało, być może było to przez kogoś zorganizowane. Wylegliśmy na plac, żądając przywrócenia światła. Tłum robił się coraz większy i wtedy padły okrzyki „*pod województwo*”. Maszerowaliśmy więc pod województwo, a tam wołano: „*pod redakcję*” gazety „Słowa Polskiego”. Byliśmy już na ul. Podwale, między fosą miejską a szeregiem zabudowań, kiedy naprzeciw pochodu zajechał gazik z oficerem Milicji Obywatelskiej. Po wysłuchaniu naszych żądań powiedział „*poczekajcie tutaj spokojnie, a ja w tym czasie pojedę do elektrowni i dowiem się, co się stało*”. Czekaliśmy więc cierpliwie, kiedy nagle samochody pełne milicji zajechały tak, że tłum został podzielony na małe grupki. Wtedy zaczęło się wrywanie poszczególnych uczestników demonstracji z tłumu i wsadzanie ich do samochodów. W ten sposób został zatrzymany m.in. kolega z naszego pokoju – Wojciech Binda. Po tym incydencie zaczęły się przesłuchania uczestników tego pochodu. Ja również zostałem wezwany do wojewódzkiej komendy MO, przy ul. Łąkowej i przesłuchany w charakterze świadka. Wkrótce cała sprawa została jednak umorzona, na co miała wpływ sytuacja polityczna w Polsce. Był to bowiem okres krótkotrwałego przesilenia politycznego po październiku 1956 roku.

Na czwartym roku zapisałem się na specjalizację z technologii wielkiego przemysłu nieorganicznego. Mimo że lubiłem chemię organiczną, to skłonności alergiczne na substancje chemiczne zmusiły mnie do wybrania, jak mi się wydawało, mniej szkodliwej dla zdrowia chemii i technologii przemysłu nieorganicznego. Kierownikiem Katedry Technologii Nieorganicznej był prof. Włodzimierz Bobrownicki, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Profesor początkowo dojeżdżał z Gliwic, dopiero później przeniósł się na stałe do Wrocławia. Profesor był bardzo skromnym, może trochę nieśmiałym, lecz bardzo miłym i kulturalnym człowiekiem. Przed wojną był asystentem u prof. Ignacego Mościckiego na Politechnice Lwowskiej. Zaraz po wojnie brał udział w pracach komisji odbudowy przemysłu chemicznego w Polsce. Drugą osobą w katedrze był, wywodzący się również ze Lwowa, doc. Jerzy Schroeder. Kadre adiunktów i asystentów stanowili w tym czasie m.in.: Tadeusz Pieniążek, Stanisław Stopa, Józef Kubicki, Kazimierz Sławski.

Na piątym roku słuchaliśmy m.in. wykładów monograficznych prof. Włodzimierza Trzebiatowskiego ze strukturalnej chemii nieorganicznej i prof. Henryka Kuczyńskiego z teorii elektronowej związków organicznych oraz doc. Józefa Beraka z materiałoznawstwa, doc. Mariana Bukały z technologii chemicznej organicznej. Pan Marian

Bukała sływał z kawałów o teściowych oraz z egzaminów, podczas których zamykał studentów w gabinecie. O zdaniu i stopniu oceny z egzaminu decydowała ilość zapisanych stron kancelaryjnego papieru. Aby uzyskać pozytywną ocenę należało zapisać minimum sześć stron papieru.

W programie studiów były też praktyki przemysłowe, które miały umożliwiać kontakty studentów z przemysłem chemicznym, pozwalały też zapoznać się ze stosowanymi technologiami produkcji. Kończyły się one sprawozdaniem i zaliczeniem wpisywanym do indeksu. Po wypadkach 1968 r. władze polityczne kraju wymusiły wprowadzenie do programu studiów praktyk robotniczych, których celem miało być socjalistyczne wychowanie młodzieży przed podjęciem studiów. Na szczęście ten okres był już za mną.

Jako przedmiot pracy dyplomowej otrzymałem temat „Wzbogacanie krajowych fosforytów niskoprocentowych na hydrocyklonach”. Promotorem pracy był doc. Jerzy Schroeder, a opiekunem bezpośrednim mgr inż. Józef Kubicki. Pracę broniłem 9 marca 1960 roku przed wydziałową komisją egzaminacyjną, w składzie: przewodniczący prof. Witold Romer oraz członkowie prof. Włodzimierz Trzebiatowski, doc. Jerzy Schroeder i doc. Zdzisław Ziółkowski. Z początkowej liczby 180 studentów naszego roku studia ukończyło około czterdzieści kilka osób, w tym kilkunastu przybyłych z wyższych roczników. Pozostali odeszli z własnej woli lub też z innych przyczyn. Studia chemiczne nie były łatwe. Należało bardzo dużo pracować, najlepiej systematycznie, ale z tym było różnie.

## 8.2. Wojewódzka Stacja Sanitarно-Epidemiologiczna

Zaraz po egzaminie dyplomowym mogłem pracować w Zakładach Przemysłu Cukrowniczego w Świebodzicach lub małej cementowni „Podgrodzie” w Raciborowicach, ale ostatecznie, w dniu 1 kwietnia 1960 roku zostałem zatrudniony w Dziale Higieny Pracy w Wojewódzkiej Stacji Sanitarно-Epidemiologicznej (WSSE) we Wrocławiu. Moje obowiązki polegały na oznaczaniu zanieczyszczeń powietrza na stanowiskach pracy zakładów przemysłowych na terenie województwa wrocławskiego. Dzięki tej pracy mogłem poznać prawie wszystkie zakłady przemysłowe na Dolnym Śląsku. Wyjazdy w teren odbywały się samochodami Kolumny Sanitarnej i były początkowo atrakcyjne, ponieważ oprócz przemysłu pozwalały poznać też Dolny Śląsk. Po blisko dwóch latach pracy w tej pożytecznej instytucji zacząłem myśleć o zmianie miejsca zatrudnienia. Okazją była zapowiedź organizacji Studium Doktoranckiego na Politechnice Wrocławskiej. Moja decyzja o odejściu spotkała się z negatywną oceną i z tego powodu, po złożeniu podania, musiałem odpracować jeszcze trzy miesiące w WSSE.

### 8.3. Studium Doktoranckie

Studia doktoranckie w Katedrze Technologii Nieorganicznej Politechniki Wrocławskiej podjąłem dnia 1 kwietnia 1962 roku. W ten sposób stałem się jednym z pierwszych stypendystów, powołanego przez Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, Studium Doktoranckiego na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej. Studia trwały cztery lata i w tym okresie miałem otrzymywać stypendium państwowe. Moim opiekunem i promotorem pracy został prof. Włodzimierz Bobrownicki, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk. Przedmiotem pracy były badania struktury termofosfatów szklistych, otrzymywanych przez stapianie fosforytów (apatytów) z krzemianami. Uzyskane wyniki badań były na tyle ciekawe, że prof. Włodzimierz Bobrownicki prezentował je w języku francuskim na Międzynarodowym Kongresie Chemii Przemysłowej w Warszawie w 1964 roku. Z tej okazji i ja wziąłem udział w Kongresie.

Recenzentami mojej pracy doktorskiej byli prof. Eugeniusz Błasiak z Politechniki Gliwickiej i prof. Józef Rohleder z Politechniki Wrocławskiej. Po zdaniu egzaminów z ekonomii politycznej u prof. Józefa Popkiewicza i z technologii nawozów fosforowych u prof. Eugeniusza Błasiaka z Politechniki w Gliwicach odbyła się publiczna obrona pracy w Sali Wałbrzyskiej w dniu 29 czerwca 1966 roku na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej.

### 8.4. Instytut Chemii Fizycznej PAN

Jesienią 1966 roku prof. Włodzimierz Bobrownicki zaproponował mi pracę w Zakładzie Fizyko-Chemicznych Podstaw Technologii Instytutu Chemii Fizycznej PAN w Warszawie, którego był kierownikiem. Zakład mieścił się w Budynku Hutniczym Politechniki Wrocławskiej. W Zakładzie pracowało kilka osób, z których każda zajmowała się innym tematem badań. Pierwszym projektem, jaki wykonałem samodzielnie w nowym Zakładzie, było opracowanie metody odzysku mocznika z roztworów wodnych. Opracowana metoda polegała na wiązaniu mocznika w postaci związku addycyjnego z kwasem azotowym. Efektem tej pracy była publikacja. Następnie zacząłem się zajmować stratami platyny w procesie katalitycznego utleniania amoniaku do tlenków azotu i kwasu azotowego.

Praca w Zakładzie PAN dawała możliwości doksztalcenia się na kursach języków obcych. W marcu 1968 roku uczestniczyłem w kursie języka niemieckiego w Bad Saarow pod Berlinem. Pamiętam z jakim przerażeniem nasi lektorzy niemieccy przyjęli wiadomość o wypadkach marcowych w Polsce. Czytali oni polski tygodnik „Polityka” i żywo interesowali się sytuacją w naszym kraju. Kiedy wróciłem do Wrocławia, byłem świadkiem manifestacji pod budynkiem AZS przy Wybrzeżu Wyspiańskiego. Przemawiało wtedy kilku aktywistów partyjnych, a chodziło oczywiście



Prof. Włodzimierz Bobrownicki



Prof. Jerzy Schroeder

o tzw. syjonistów. Kilku studentów Politechniki zostało wtedy relegowanych z Uczelni i wcielonych do wojska, a następnie wysłanych do Czechosłowacji. Jednym z nich był obecny prof. Henryk Górecki.

W następnym roku zakwalifikowałem się na kurs języka angielskiego w Juracie na Helu. Kurs organizował Instytut Chemii Fizycznej PAN, a prowadzącymi zajęcia byli lektorzy z Anglii i Szkocji. Byliśmy często świadkami złośliwości, jakie świadczyli sobie nawzajem przedstawiciele obu tych nacji; Anglicy szydzili ze szkockiego skapstwa, a Szkoci nie byli dłużni i obrzydiali Anglikom... owsiankę, czyli angielski *porridge*.

W tamtym czasie moi koledzy z Zakładu i ja bywaliśmy dość często w sprawach służbowych w Warszawie. Czasami korzystaliśmy też z noclegów w Hotelu Europejskim lub w Domu Chłopa. W tym ostatnim z powodu braku miejsc recepcja hotelu pozwalała na przeczekanie w holu hotelu do czasu zwolnienia się pokoju.

## 8.5. Politechnika Wrocławska

Po śmierci prof. Włodzimierza Bobrownickiego Zakład został włączony w 1969 roku do Katedry Technologii Nieorganicznej Politechniki Wrocławskiej, która następnie przeistoczyła się w Instytut Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineral-

nych<sup>1</sup>. Ten ostatni człon w nazwie nawiązywał do Zakładu Fizykochemicznych Podstaw Technologii PAN.

Instytut mieścił się na dwóch najwyższych piętrach Gmachu Hutniczego Politechniki Wrocławskiej przy ulicy Smoluchowskiego 25. Dyrektorem Instytutu został wybrany w pierwszych wolnych wyborach prof. Jerzy Schroeder, a jego zastępcami byli: doc. Józef Kubicki – ds. dydaktyki, doc. Tadeusz Pieniążek – ds. nauki i współpracy z przemysłem oraz doc. Zbigniew Święcki – ds. rozwoju kadry naukowej i współpracy z zagranicą. W następnych latach dyrektorami Instytutu byli doc. Henryk Górecki, prof. Józef Kubicki i prof. Jerzy Zabrzeski. Stan zatrudnienia miał swoje apogeum w latach 1984–1987, kiedy to Instytut zatrudniał pracowników na etatach naukowo-dydaktycznych oraz naukowo-badawczych w ramach współpracy z przemysłem. W roku 1994 w Instytucie pracowało 57 osób, w tym 5 profesorów tytularnych (Henryk Górecki, Andrzej Kołaczkowski, Józef Kubicki, Mieczysław Seweryniak i Jerzy Zabrzeski), 3 doktorów habilitowanych na etatach profesorów (Józef Głuszek, Andrzej Matynia i Stefan Zieliński), 2 doktorów habilitowanych na etatach adiunktów (Józef Głowiński i Mieczysław Szustakowski), 20 doktorów (Andrzej Biskupski, Teresa Baczyńska, Jerzy Baron, Izidor Drela, Piotr Falewicz, Helena Górecka, Józef Hoffmann, Krystyna Hoffmann, Józef Jarmakowicz, Scholastyka Kuczowska, Barbara Kucharczyk, Jan Masalski, Zofia Mromlińska, Zygmunt Meissner, Adam Pawełczyk, Ewa Sobieraj, Tadeusz Słonka, Bogdan Szczygieł, Włodzimierz Tylus i Bogusława Wierzbowska), 3 magistrów (Marek Buca, Adam Hałat i Ewa Kafłowska), 24 pracowników inżynieryjno-technicznych, technicznych i administracyjnych (Bożena Biskupska, Halina Bartczak, R. Bonar, Teresa Frosztęga, Magdalena Klakocarciepacz, Maria Kujawa, Franciszek Marciniak, Maria Markielowska, Iwona Mitura, Ewa Nowicka, Mirosława Noworyta, Teresa Pawlina, Teresa Próchniak, Henryk Semba, Stanisław Siemianowicz, Danuta Sobańska, Alicja Waligóra, Andrzej Wasilewski, Iwona Winiarska, Zdzisław Witkowski, Marian Wojciechowski, Bożena Wojcieszonek i Ferdynand Wojcieszonek). Warsztat mechaniczny prowadzili panowie Paweł Gajda oraz Stanisław Brzozowski.

Początkowo struktura organizacyjna Instytutu opierała się na systemie organizacyjnym zakładów naukowych przejętych od Katedry Technologii Nieorganicznej Politechniki Wrocławskiej. W roku 1977 zakłady te zostały zastąpione przez zespoły badawcze, powoływane doraźnie do rozwiązywania konkretnych zadań badawczych. W roku 1991 ponownie powołano zakłady naukowe, w ramach których oprócz dydaktyki prowadzono prace naukowo-badawcze.

Zakład Technologii Nieorganicznej pod kierownictwem prof. Stefana Zielińskiego koncentrował się na problemach z zakresu technologii nieorganicznej związków fosforu oraz azotu, katalizatorów i procesów katalitycznych oraz zagospodarowania

---

<sup>1</sup> *XXV lat Instytutu Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych 1969–1994. Historia i dzień dzisiejszy*, ITNiNM PWR, Wrocław 1994.

i utylizacji odpadów przemysłowych. W realizacji badań związków fosforu brali udział m.in. prof. Stefan Zieliński, dr Anna Szczepanik, dr Ewa Sikorska-Sobiegraj i mgr Marek Buca. Badania w zakresie związków azotowych oraz zagospodarowania i utylizacji odpadów prowadził zespół dr. Andrzeja Biskupskiego z udziałem dr. Mieczysława Borowika. Wreszcie katalizatorami oraz procesami katalitycznymi zajmowali się m.in. prof. Jerzy Zabrzecki, dr Józef Jarmakowicz, dr Włodzimierz Tylus, dr hab. Mieczysław Szustakowski oraz dr Jerzy Baron.

Zakład Chemii dla Rolnictwa kierowany przez prof. Henryka Góreckiego rozwinął szeroką działalność dydaktyczną i naukową dla potrzeb technologii chemicznej nieorganicznej, przemysłu nawozowego oraz dodatków paszowych. Aby zrealizować te prace zespół ściśle współpracował z dużymi kombinatami przemysłowymi, ale również prowadził badania poznawcze w ramach centralnych programów badawczych. Udział w tych pracach brali m.in. dr Józef Hoffmann, dr Helena Górecka, dr Adam Pawełczyk oraz dr Kazimierz Grabas.

Zakład Elektrochemii Technicznej i Korozji kierowany przez prof. Józefa Kubickiego prowadził prace w zakresie procesów elektrochemicznych w chemicznym przemyśle nieorganicznym, metalurgicznym, galwanotechnicznym, hutniczym, utylizacji odpadów stałych, obróbki powierzchniowej metali oraz korozji i ochrony przed korozją. W ramach prac badawczych Zakładu udział brali m.in. prof. Józef Kubicki, prof. Józef Głuszek, dr Jan Masalski, dr Izydor Drela, dr Bogdan Szczygieł, dr Piotr Falewicz, dr Zofia Mromlińska, dr Leokadia Wędzicha, dr Scholastyka Kuczkowska, inż. Alicja Waligóra i inni.

Zakład Procesów i Reaktorów Chemicznych, którego kierownikiem był prof. Mieczysław Seweryniak, prowadził badania nad technologią procesów wysokotemperaturowych. Tematem badań były technologie wytwarzania acetylenu, cyjanowodoru i sadzy technicznej oraz procesy spalania, badania palności i wybuchowości mieszanin substancji palnych oraz bezpieczeństwo techniczne instalacji chemicznych. Brał w nich udział zespół w składzie: m.in. prof. Mieczysław Seweryniak, prof. Józef Głowiński, dr Tadeusz Słonka, dr Teresa Baczyńska i dr Jerzy Stocki. Do Zakładu należał też zespół prof. Andrzeja Matyni z udziałem dr Bogusławy Wierzbowskiej oraz dr. Zdzisława Bechtolda, który zajmował się procesami krystalizacji masowej.

Zakład Bezpieczeństwa Technicznego i Ekologii pod kierunkiem prof. Andrzeja Kołaczkowskiego prowadził zajęcia dydaktyczne oraz koncentrował się głównie na dwóch problemach: 1) zapobieganie wypadkom i ich skutkom oraz 2) ochrona środowiska przez neutralizowanie ujemnych skutków przemysłu chemicznego. W realizacji tych zadań Zakładu brali udział prof. Andrzej Kołaczkowski, dr Zygmunt Meissner oraz dr Andrzej Biskupski.

Podstawową specjalnością dydaktyczną Instytutu była Technologia Nieorganiczna. Aby zwiększyć możliwości studiowania utworzono nowe specjalności: 1) Chemia Techniczna, 2) Elektrochemia Techniczna i Korozja oraz 3) Chemia i Technologia Nieorganiczna.

W Instytucie dla nauczycieli akademickich organizowano przez wiele lat kursy i szkolenia z zakresu wybranych działów matematyki, obsługi komputerów oraz planowania eksperymentów. Inicjatorami kursów i szkoleń byli często prof. Jerzy Zabrzęski oraz prof. Stefan Zieliński. Pracownicy brali też udział indywidualnie w kursach nauki języków, programowania komputerowego i innych.

Tak więc w roku 1969 zostałem pracownikiem Politechniki Wrocławskiej. Profesor Jerzy Schroeder był chyba dobrym psychologiem, ponieważ potrafił pobudzić pracowników do pracy twórczej. Od czasu do czasu odbywały się w Instytucie zebrania, na których dyrektor omawiał osiągnięcia Instytutu. Pewnego razu poruszył też problem rozwoju naukowego poszczególnych pracowników, wymieniając nazwiska osób, które miały szanse na awans naukowy. Niestety, profesor nie zauważył mnie w tym gronie, co mnie nieco zabolalo. Kiedy więc nadarzyła się okazja, zapytałem profesora, czy mam szanse na zrobienie habilitacji, a profesor odpowiedział „tak”. Dostałem temat i od tego czasu zabrałem się do systematycznej pracy, a profesor miał okazję na moim przykładzie pokazać, że człowiek musi mieć wyraźnie postawiony cel, aby chciał dobrze pracować.

Zmiany organizacyjne w Politechnice objęły wszystkie katedry, które – zdaniem reformatorów – były pozostałością po naukowym feudalizmie. Instytut powiększał znacznie stan osobowy pracowników, skupionych w zakładach i zespołach. Pracowałem w zespole wraz z dr. Jerzym Zabrzęskim i dr. Józefem Jarmakowiczem. Zespół zajmował się katalizatorami tlenkowymi do utleniania amoniaku. Był to okres, kiedy próbowano zastąpić bardzo drogi katalizator platynowy tańszymi katalizatorami tlenkowymi. W poszukiwaniu optymalnego składu katalizatora posługiwaliśmy się metodą planowania eksperymentów. Zwykle katalizatory tlenkowe nie osiągały założonych parametrów. Skończyło się na tym, że koledzy zajęli się badaniem strat platyny w procesie utleniania amoniaku. Po latach dr Jerzy Zabrzęski habilitował się z tego projektu. Ja natomiast dołączyłem do zespołu zajmującego się modelowaniem przemysłowego procesu wytwarzania formaliny w Zakładach Azotowych Kędzierzyn. Badaniami tymi zająłem się na dłużej po powrocie w roku 1975 ze stażu naukowego w Instytucie Technologicznym w Leningradzie. Pracowaliśmy w zespole uczelniano-przemysłowym, którego skład ze strony Politechniki początkowo tworzyli: prof. Jerzy Schroeder, dr Stefan Zieliński, dr Janusz Halawa, pani Ewa Francman i ja. Po reorganizacji z zespołu odszedł dr Stefan Zieliński, a przybył świeżo po doktoracie dr Jerzy Baron. Pomysłodawcą utworzenia tego zespołu był prof. Jerzy Schroeder. Zgodnie z umową wszelkie korzyści wynikające z działalności zespołu podlegały podziałowi na dwie równe części: dla członków zespołu uczelnianego i przemysłowego. Po badaniach wstępnych, które dotyczyły statystycznego opisu przebiegu procesu, szczególną uwagę poświęcono katalizatorowi srebrowemu. Głównym problemem tego procesu była dezaktywacja katalizatora, co wymuszało jego częstą wymianę. Aby poprawić ten stan, zastosowaliśmy pudrowanie katalizatora tlenkiem glinu, uzyskując wzrost stopnia przereagowania metanolu oraz wydajności procesu. Wyniki badań były patentowane oraz publikowane w czasopismach i na konferencjach. Po kilku latach

zgrupowany materiał naukowy wykorzystałem do napisania i opublikowania monografii pt. „Aspekty utleniania metanolu do formaldehydu na katalizatorze srebrowym”, na podstawie której odbyłem kolokwium habilitacyjne w dniu 13 stycznia 1993 roku na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej i uzyskałem stopień doktora habilitowanego nauk technicznych.

Ponieważ kilkuletnia współpraca z ZA „Kędzierzyn” została zawieszona, zaczęliśmy poszukiwać nowych obszarów badań. Głównie chodziło o mego bliskiego współpracownika, dr. Jerzego Barona. Po dyskusji w Zakładzie Technologii Nieorganicznej ustalono, że tematem tym będą wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (WWA) w środowisku. Uzasadnieniem takiej decyzji może być fakt, że tematyka z zakresu technologii nieorganicznej nie dawała dość możliwości rozwoju naukowego oraz to, że przemysł chemiczny pozostawił po sobie wiele szkody w środowisku, do tego stopnia, że nadszedł czas, aby sami technolodzy zajęli się problemem jego ochrony. W gruncie rzeczy problem ten przerósł nasze możliwości. Pod względem przygotowania teoretycznego zrobiliśmy wiele; poznaliśmy problem oraz zebraliśmy literaturę na ten temat z ostatnich kilkunastu lat. Literatura była bardzo bogata. Wprawdzie opanowaliśmy też w krótkim czasie bardzo istotną metodykę poboru i przygotowania próbek oraz dysponowaliśmy narzędziem pracy – chromatografem gazowym Chrom-4 produkcji czechosłowackiej, ale nie był to instrument przystosowany do analiz śladowych zanieczyszczeń środowiska. Mogliśmy wykonywać jedynie pewne ograniczone badania w zakresie dużych stężeń WWA. Po pewnym czasie dr Jerzy Baron przeniósł się ze względów rodzinnych do Krakowa na Politechnikę Krakowską, a pani Ewa Francman zmieniła zakład pracy. W tej sytuacji sam wykonywałem swoje obowiązki dydaktyczne i badawcze, co w efekcie zaowocowało kilkoma publikacjami.

Moje obowiązki dydaktyczne nie były obciążające. Na Wydziale Chemicznym liczba pracowników przeważała nad liczbą studentów. Była to pozostałość po okresie krótkiego rozkwitu uczelni, w tym szczególnie Wydziału Chemicznego, za czasów rektora, a potem członka KC PZPR, prof. Tadeusza Porębskiego. Dziekan Wydziału Chemicznego – dr hab. Mirosław Soroka próbował zracjonalizować funkcjonowanie Wydziału i w tym celu wywierał presję na jego pracowników. Jak wcześniej wspominałem, nasz Wydział Chemiczny był wyjątkowo liczny. W Radzie Wydziału zasiadało w owym czasie ponad siedemdziesięciu samodzielnych pracowników. Moja sytuacja była następująca. Nie będąc zatrudnionym na stanowisku profesora uczelnianego, groziła mi emerytura i rotacja w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Ustawa o Szkolnictwie Wyższym bowiem dawała prawo do pracy w szkołach wyższych do siedemdziesiątego roku życia tylko profesorom. W Instytucie niektórzy koledzy radzili sobie w ten sposób, że byli promotorami przewodów doktorskich z zewnątrz, a to wystarczało do uzyskania stanowiska profesora uczelnianego, a następnie nominalnego. Ja takich możliwości nie miałem, choćby z tego powodu, że tematyka jaką prowadziłem nie mieściła się w zakresie specjalności Instytutu. Trzeba dodać, że na innych



wydziałach Politechniki sytuacja była bardziej liberalna; po uzyskaniu stopnia doktora habilitowanego pracownik automatycznie otrzymywał stanowisko profesora uczelnianego.

W trakcie studiów oraz pracy zawodowej byłem świadkiem mozolnego rozwoju kadry naukowej w Polsce po wojnie, na przykładzie Wydziału Chemii Politechniki Wrocławskiej. Uzupelnienie strat stanu osobowego nauczycieli akademickich postępowalo bardzo wolno. Zaraz po wojnie organizacją uczelni we Wrocławiu zajęli się w większości profesorowie, pochodzący z Politechniki Lwowskiej. Byli to m.in. profesorowie: Witold Romer, Kazimierz Gumiński, Edwin Płażek, Błażej Roga, Włodzimierz Trzebiatowski, Bogusława Trzebiatowska, Zdzisław Tomasik, Henryk Kuczyński, Włodzimierz Bobrownicki, Jerzy Schroeder, Zdzisław Ziółkowski. Charakterystyczną cechą tych osób było to, że w trudnych warunkach pracowali każdego dnia, od rana do późnego wieczora, tylko na jednym etacie, przy mizernej pensji nauczyciela akademickiego. Wychowali oni wielu specjalistów, znanych dzisiaj w kraju i za granicą. W latach dziewięćdziesiątych ostatniego stulecia szkolnictwo wyższe znacznie się rozwinęło. Powstało wiele nowych uczelni państwowych i prywatnych, w dużych i mniejszych ośrodkach. Liczba studentów w Polsce wzrosła kilkakrotnie. Wzrosło też zapotrzebowanie na kadrę nauczycieli akademickich. Po latach, powszechnym zjawiskiem stała się wieloletowość kadry profesorskiej. Słyszałem, że byli tacy specjaliści, którzy „wykładali” nawet na kilkunastu różnych uczelniach.

Do 1989 roku ogromny wpływ na funkcjonowanie uczelni miała ideologia marksistowska, kontrolowana powszechnie przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Prawie wszystkie stanowiska obsadzano ludźmi należącymi do partii. Były różne formy nacisku na pracowników, aby wstępować do partii; obiecywano, że będą mieli wpływ na politykę i własną karierę zawodową. W każdej instytucji obowiązkowo funkcjonowała potrójna władza: dyrektor, pierwszy sekretarz partii i przewodniczący rady zakładowej. Z tej trójki decydujący głos miał sekretarz partii. Wszystkie decyzje kadrowe, programowe i rozwoju osobowego były kontrolowane przez komórki partyjne, z sekretarzem na czele. W każdym zespole musiał być członek partii. Członkowie partii na tzw. egzekutywach urządzali coś w rodzaju zbiorowej spowiedzi połączonej z samokrytyką, żalem i odpuszczeniem grzechów.

Pozostawał już tylko rok do mojej rotacji, kiedy postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce. Wysłałem parę e-maili do kilku uczelni wyższych w kraju z zapytaniem, czy nie poszukują samodzielnego pracownika o specjalności chemia i technologia chemiczna. Otrzymałem dwie pozytywne odpowiedzi: z Politechniki Rzeszowskiej oraz Politechniki Zielonogórskiej. Ze względu na odległość wybrałem tę drugą ofertę. W wyniku porozumienia między Rektorami, rozstałem się z Uczelnią wrocławską, z którą byłem związany przez 39 lat mego życia. W tym czasie specjalizowałem się w technologii nawozów fosforowych oraz w katalitycznych procesach utleniania amoniaku do kwasu azotowego oraz metanolu do formaldehydu.



Spotkanie pożegnalne w ITNiNM Politechniki Wrocławskiej, 1998 r.

## 8.6. Politechnika i Uniwersytet Zielonogórski

Jesienią 1998 roku zastępca dyrektora Instytutu Inżynierii Środowiska Politechniki Zielonogórskiej, dr Zbigniew Lewicki, zaproponował mi przyjazd do Zielonej Góry na spotkanie. Po wstępnych rozmowach z dyrektorem prof. Andrzejem Jędrzakiem, dziekanem Wydziału Budownictwa i Inżynierii Sanitarnej prof. Henrykiem Greinerem oraz Rektorem Politechniki Zielonogórskiej, prof. Michałem Kisielewiczem, stałem się od 1 października 1998 roku pracownikiem Politechniki Zielonogórskiej na etacie profesora uczelnianego. Zostałem zatrudniony w Zakładzie Technologii Wody, Ścieków i Odpadów w Instytucie Inżynierii Środowiska. Obsada Zakładu liczyła kilkanaście osób, a jego kierownikiem był dr Zbigniew Hryniewicz. Z uwagi na konieczność przyśpieszenia przez niego pracy nad habilitacją, przejąłem kierownictwo tego Zakładu. Odniosłem wrażenie, że zostałem życzliwie przyjęty przez ogół pracowników Zakładu oraz Instytutu. W Zakładzie pracowali również, na częściowych etatach, pani prof. Maria Świdorska-Bróz z Politechniki Wrocławskiej oraz prof. Marek Sozański z Politechniki Poznańskiej. Prowadziłem zajęcia z chemii ogólnej (wykład oraz ćwiczenia rachunkowe i laboratoryjne), z monitoringu środowiska (wykład) oraz z ochrony wód (wykład i ćwiczenia projektowe). Wykład z chemii organicznej prowadził dr Marek Gąsiorek – absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W ramach prowadzonych prac dyplomowych starałem się, aby tematyka pracy chociaż w minimalnym stopniu obejmowała zajęcia praktyczne w laboratorium. Byłem bowiem przekonany, że najpełniejszą wiedzę zdobywa się drogą praktyki. W Instytucie były jeszcze dwa inne Zakłady: Zaopatrzenia w Wodę i Kanalizacji, kierowany przez dr. hab. inż. Tadeusza Kuczyńskiego oraz Zakład Ochrony i Odnowy Środowiska pod kierunkiem prof. dr hab. inż. Henryka Greinerta. Początkowo dojeżdżałem z Wrocławia na zajęcia, zatrzymując się w pokojach gościnnych uczelni. Po kilku miesiącach dostałem do dyspozycji apartament położony w sąsiedztwie uczelni przy ulicy prof. Zygmunta Szafrana. Kiedy budynek Instytutu, zwany Halą Technologiczną, został zmodernizowany, otrzymaliśmy wszyscy do pracy pokoje jedno- lub dwuosobowe. W ramach remontu zmodernizowano też dwie pracownie: chemiczną i technologiczną. W ten sposób warunki pracy oraz warunki lokalowe w Instytucie znacznie się poprawiły i były na dobrym poziomie. Dotyczy to szczególnie wyposażenia w sprzęt komputerowy. Dyrektor Instytutu integrował zespół do pracy naukowej i tworzył warunki do jego rozwoju. Wkrótce dr hab. inż. Tadeusz Kuczyński został profesorem tytularnym, natomiast dr inż. Zofia Sadecka i dr inż. Zygmunt Lipnicki uzyskali stopnie naukowe doktora habilitowanego po przeprowadzeniu przewodów habilitacyjnych. Dzięki połączeniu Politechniki i Wyższej Szkoły Pedagogicznej, została zrealizowana w 2002 roku idea utworzenia Uniwersytetu Zielonogórskiego na Ziemi Lubuskiej. Uniwersytet składał się ze Szkoły Technicznej, skupiającej część instytutów politechnicznych oraz Szkoły Humanistycznej. W skład

Wydziału Inżynierii Lądowej i Środowiska wchodziły trzy Instytuty: Budownictwa, Biotechnologii i Ochrony Środowiska oraz Inżynierii Środowiska. Dzięki wzmocnieniu potencjału naukowego, w wyniku rozwoju naukowego pracowników, Instytut Inżynierii Środowiska uzyskał w roku 2004 prawa doktoryzowania. W ciągu sześciu lat byłem świadkiem istotnego rozwoju ośrodka naukowego na Ziemi Lubuskiej, jakim był Uniwersytet Zielonogórski oraz Instytut Inżynierii Środowiska w szczególności. Dzięki śmiałym inwestycjom Uczelnia wzbogaciła się o dwa gmachy o nowoczesnej architekturze: Wydziału Matematyki, Fizyki, Informatyki i Astronomii oraz gmach Instytutu Budownictwa. Zielona Góra znana kiedyś z Festiwalu Piosenki Radzieckiej stała się poważnym ośrodkiem akademickim. Kiedyś podobno miasto to było ośrodkiem rekreacji dla mieszkańców Berlina, teraz stało się spokojnym 120-tysięcznym miastem, otoczonym sosnowymi lasami. Dzisiaj wspominam je bardzo miło, a także poznanych tam ludzi.

## 8.7. Staż naukowy

Po uzyskaniu stopnia naukowego doktora można było podjąć starania o odbycie stażu naukowego w jednym z krajów zagranicznych. Preferowano zdecydowanie kierunek zachodni. Powodów było kilka: wysoki poziom nauki, kontakt z wolnym światem spoza „żelaznej kurtyny” i możliwość doskonalenia języka angielskiego oraz wyższe stypendia, pozwalające nawet na zakup samochodu, co było marzeniem wielu młodych ludzi. Z tych m.in. powodów zakwalifikowanie się na taki wyjazd nie było łatwe i wymagało poparcia tzw. czynników politycznych. Znamienne jest, że wielu dzisiejszych lewicowych polityków odbywało studia, staże i praktyki właśnie w krajach zachodnich, głównie w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy pracowałem w zespole naukowo-badawczym, dwaj moi koledzy z zespołu odbywali kolejno staże naukowe w Związku Radzieckim w Instytucie Katalizy w Nowosybirsku. Ja miałem być następnym kandydatem do odbycia stażu naukowego w tym ośrodku na Syberii. W wyniku wstępnych uzgodnień złożyłem w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego wniosek o stypendium naukowe w Instytucie Katalizy Akademii Nauk Związku Radzieckiego w Nowosybirsku. Wreszcie pod koniec października 1974 roku otrzymałem kopię pisma z Pionu Współpracy z Zagranicą Politechniki Wrocławskiej, adresowanego do dyrektora Instytutu prof. Jerzego Schroedera i datowanego na dzień 20 sierpnia 1974 roku, informującego o zgodzie strony radzieckiej na odbycie przeze mnie stażu naukowego w ramach Współpracy Kulturalnej i Naukowej na koszt strony polskiej w Leningradzkim Instytucie Technologicznym w terminie od 15.10.1974. Czasami żartowałem, że byłem skazany na „zesłanie” na Sybir, lecz wyrok złagodzono i zamieniono na czasowy pobyt w Leningradzie (blisko Szlisselburga!). Decyzja o zmianie miejsca odbywania stażu bardzo poruszyła prof. Jerzego Schroedera,

który wezwał mnie do siebie, podejrzewając, że mam swój udział w tej intrydze. W końcu jednak życzył mi udanego pobytu w Leningradzie, wskazując na kulturalno-turystyczny aspekt tego wyjazdu. W tym czasie byłem po dość intensywnym kursie języka angielskiego i bardziej potrzebowałem praktyki językowej na zachodzie niż na wschodzie. Należało się jednak pośpiesznie zbierać, gdyż byłem poważnie spóźniony. Sekretarz partii w Instytucie powiadomił mnie o osobistym poparciu mego wyjazdu! Poparcie to wyjaśniało być może przyczynę późnego powiadomienia mnie o przyznaniu stypendium. Poczyliem więc konieczne przygotowania i ruszyłem niepewnie na lotnisko. Pamiętam jak dzisiaj moment, kiedy samolot opadał na płytę lotniska w Leningradzie.

Tak więc wylądowałem na „niehumanitarnej” ziemi. Po kontroli paszportowej i celnej zostałem przywitany przez doc. Wasyla Michaiłowicza Pomerancewa. Z lotniska pierwsze kroki skierowaliśmy do fotografa, gdzie zrobiono mi zdjęcie do przepustki, która była bardzo ważnym dokumentem, upoważniającym do przekraczania bram Instytutu. Wydawał ją Dział Zagraniczny. Następnie zostałem przedstawiony kierownikowi Katedry Katalizatorów w Leningradzkim Instytucie Technologicznym. Kierownikiem był prof. Iwan Petrowicz Muchlenow. Był to starszy już człowiek, weteran ostatniej wojny, z doświadczeniem pracy w przemyśle. W trakcie rozmowy przedstawiłem swoje zainteresowania oraz dorobek naukowy. Podczas miłej rozmowy z profesorem zostałem w pewnym momencie zagadnięty o jakieś słówko angielskie, co mnie nieco speszyło, a następnie zapytał: „*kakoję siewodnia czisło?*” na co nie umiałem odpowiedzieć. W czasie rozmowy poprosiłem profesora o konkretny temat pracy, gdyż chciałem czas stażu dobrze wykorzystać naukowo oraz udokumentować publikacjami. Moim opiekunem naukowym został doc. Wasyli M. Pomerancew, a administracyjnym pani Zoja Nikołajewna (nazwiska nie pamiętam). Dział Zagraniczny Instytutu zakwaterował mnie w domu studenckim na peryferiach miasta. Czysz w tym domu był na poziomie przysłowiowego rubla, ale panujące tam warunki bardzo mnie zniechęciły. Dlatego też następnego dnia poprosiłem o zmianę lokum. Tym razem skierowano mnie do hotelu „Tarnopol”. Ta bliska mi nazwa napawała otuchą. Miałem do dyspozycji mały pokój. Posiłki poranne i wieczorne przygotowywałem i spożywałem w pokoju, obiady jadłem w Instytucie, w stołówce studenckiej lub profesorskiej. W stołówce studenckiej jedzenie było tanie, ale niesmaczne i mało urozmaicone. W stołówce profesorskiej był większy wybór dań za 1 rubla, ale lepsze dania znikwały w kilka minut po otwarciu jadalni. Dużym problemem było stołowanie się w soboty i niedziele. Pewnego razu usiadłem za stołem w restauracji mojego hotelu. Lokal był pusty, a stoły bogato zastawione ceramiką i szkłem. Mimo tego, ku memu zaskoczeniu, kelnerki wyprosiły mnie wołając, że nie mam prawa tu jeść, ponieważ lokal jest przygotowany na przyjęcie jednej z licznych wycieczek. Wtedy po raz pierwszy doświadczyłem tego, że w tym kraju bardziej liczy się interes grupowy niż indywidualny. Od tego momentu zacząłem krytycznie przyglądać się memu hotelowi. Duża odległość od Instytutu oraz skomplikowane połączenie komunikacyjne, dokuczliwe

szczególnie przy jesiennej pogodzie, nasuwało mi pomysł zmiany hotelu. Dodatkowo jeszcze w pokoju odkryłem karaluchy, które początkowo skutecznie ukrywały się przede mną. Personel hotelu był bardzo rozczarowany moją decyzją o zmianie hotelu, ale ja już załatwiłem sobie pobyt w hotelu „Rossija”, przy stacji metra o nazwie „Park Pobiedy”. Z tej zmiany nie był również zadowolony kierownik Działu Zagranicznego Instytutu. Pokój w hotelu kosztował 25 rubli; mówiono, że oprzyrządowanie hotelu decyduje o jego cenie. Ponieważ dotyczyło to tylko obcokrajowców, zastanawiałem się jakiego rodzaju oprzyrządowanie może tak wiele kosztować. Trzeba jednak przyznać, że bieliznę pościelową oraz ręczniki zmieniano codziennie. W tym hotelu żyły też karaluchy i dodatkowo mrówki faraona. Z tymi ostatnimi radziłem sobie w ten sposób, że żywność, a szczególnie chleb trzymałem w torbie zawieszanej na wieszaku w szafie. W ten sposób mrówki miały do pokonania wąską ścieżkę po drucie wieszaka, co dość skutecznie chroniło przed nimi moje pieczywo. W pokoju był „kołchoźnik”, ale chciałem się od niego uniezależnić. W tym celu, po pewnym czasie, udało mi się kupić dobry aparat radiowy marki VEF. Dzięki jego zakresowi na falach krótkich mogłem słuchać różnych stacji, nie tylko radzieckich, również zachodnich. Oprócz opiekunów oficjalnych miałem też ukrytych „aniołów stróżów”. Co pewien czas dzwonił do hotelu anonimowy telefon. Domyślałem się, że mój pobyt w Leningradzie był pod kontrolą. Mogłem poruszać się swobodnie w obrębie okolic miasta, dalsze wypadki były jednak zabronione. Starłem się podporządkować temu zarządzeniu, aby nie narażać na kłopoty gospodarzy, ani moich profesorów w Polsce. Kiedy oficjalnie poprosiłem o pozwolenie na odwiedzenie mego miejsca urodzenia w Zbarażu, otrzymałem odpowiedź odmowną z uzasadnieniem, że obwód tarnopolski jest zamknięty dla obcokrajowców. W zamian zaproponowano mi ewentualnie wyjazd do Wilna.

Czasami bywałem gościem w domach moich opiekunów: Zoji Nokołajewny i Wasyla M. Pomerancewa. W Instytucie nieczęsto świętowano różne okazje, ale w jednym przypadku czyniono wyjątek. Było to święto Armii Czerwonej obchodzone 23 lutego w rocznicę zwycięstwa odniesionego w 1943 roku pod Stalingradem. W tym świątecznym dniu wszyscy panowie w Instytucie zostali obdarowani przez panie prezentami, a po południu tego dnia odbyło się spotkanie towarzyskie, w którym nie brałem udziału, mimo zaproszenia. Niektórych uczestników tego spotkania widziałem później w metrze, w stanie lekkiej „niestabilności”.

Do Instytutu jeździłem na godzinę dziewiątą. Praca trwała do siedemnastej z godziną przerwą na obiad. Mój program naukowy obejmował uczestniczenie w wybranych wykładach, seminariach oraz pracę w laboratorium. Na wstępie dostałem zadanie przygotowania odczytu na temat utleniania metanolu. Elaborat ten napisałem po rosyjsku, najpierw odręcznie. Po korekcie został przepisany na maszynie i podpisany przez mnie i prof. I.P. Muchlenowa. Jako temat doświadczalny otrzymałem zadanie badania kinetyki utleniania metanolu na molibdenowym katalizatorze tlenkowym. Moim zadaniem było w pewnym stopniu powtórzenie eksperymentu przeprowadzonego wcześniej przez młodego aspiranta w ramach pracy doktorskiej. Kiedy ja prowadziłem

badania, aspirant powielał ręcznie kilka kopii pracy doktorskiej. Do prowadzenia eksperymentu potrzebny był lód, który wiosną i latem pobierało się we wczesnych godzinach porannych w wytwórni lodu. Biegałem więc z wiadrem po ten cenny materiał każdego ranka. Dzięki mojemu zaangażowaniu zostałem dopisany do zbiorowej publikacji. Był to, oprócz zaświadczenia, jedyny udokumentowany dorobek mego stażu w Leningradzie. W czasie przygotowywania publikacji do druku otrzymywałem tekst do korekty i autoryzacji. Wykreślałem wtedy starannie literkę „G” znajdującą się między moim imieniem a nazwiskiem, która jak się domyślałem miała nawiązywać do imienia mego ojca, podczas gdy ja sam unikałem tego symbolu, aby wyraźnie podkreślić moje nierosyjskie pochodzenie. Ostatecznie moje wysiłki zdały się na nic. W tym czasie nie zdawałem sobie jeszcze sprawy ze znaczenia tego drobiazgu. Kiedy jednak pewnego razu otrzymałem list, zaadresowany na moje imię i nazwisko, z dopiskiem „*oczestwo niezwiestnoje*” zrozumiałem, jakie społeczne znaczenie miała ta jedna literka.

Wejście do Instytutu wymagało okazywania legitymacji służbowej Instytutu. Wydawało się, że przy dużym ruchu studenckim i pracowniczym jest to zwykła formalność. Było jednak inaczej. Wiele razy nosiłem przy sobie aparat fotograficzny. Czasami robiłem zdjęcia na terenie Instytutu. Pewnego razu jednak portier zatrzymał mnie z aparatem i skierował do drugiej bramy. Był to kawał drogi. Idąc tam schowałem aparat do kieszeni płaszcza i śmiało usiłowałem przekroczyć „*perechodnoju*”, kiedy usłyszałem głos portiera: „*mołodoj czelowiek, a czto wy zdelali z fotoaparatom?*”. Byłem tym zaskoczony i odniosłem wrażenie, że w tych okolicznościach niczego nie da się ukryć.

Mój rosyjski był niedoskonały. Z tego powodu zapisałem się na lektorat z tego języka. Wyjazd do domu na święta sprawiał, że po powrocie miałem znaczne trudności w posługiwaniu się językiem rosyjskim. Ponowne dostrojenie się do języka wymagało około dwóch tygodni adaptacji.

Czas wolny po pracy i w wolne dni starałem się sobie jakoś zorganizować. Zaraz po przybyciu do Leningradu zacząłem poszukiwać możliwości gry w tenisa. Z powodu jesieni było to możliwe jedynie w hali tenisowej. Na podstawie planu miasta udałem się na stadion klubu „Dynamo”. Przy wejściu do klubowego budynku spotkałem trenera, któremu się przedstawiłem i zapytałem czy jako amator tenisa mógłbym tam grać. Zapytany pan odpowiedział krótko: „*net, zdeś wy igrat`nie budiete*”. Postanowiłem więc pójść do katedry Studium Wychowania Fizycznego w Instytucie. Tam poradzono mi, abym się zgłosił do Igora Dżelepowa, kierownika sekcji tenisa w Instytucie. Igor, mistrz sportu, przyjął mnie bardzo życzliwie. Okazało się, że sekcja tenisa liczy kilkanaście osób, grających na różnym poziomie, od amatorskiego do wyczynowego. Z wszystkimi szybko się zaprzyjaźniłem, chociaż nikt, albo prawie nikt, nie nawiązał ze mną bliższej znajomości, wyjątek stanowił Sasza M. Sekcja tenisa miała raz w tygodniu dwie godziny zajęć w hali klubu „Dynamo”, w godzinach od 23 do 24 w nocy. W hali były trzy korty ze sztuczną nawierzchnią. W ten sposób,

wbrew zakazowi trenera, grałem w tenisa na obiekcie klubu „Dynamo”. Po grze należało się śpieszyć, aby zdążyć na czas na metro przed podniesieniem zwodzonych mostów na licznych kanałach i Newie. Latem grywałem na kortach akademickich lub w Parku Pobiedy, gdzie były korty o nawierzchni asfaltowej i ceglanej. Wszędzie jednak należało występować w zespole; indywidualnie bowiem człowiek się nie liczył.

Jak wspominałem wcześniej, podczas mego pobytu w Leningradzie, szczególną przyjaźnią darzył mnie Sasza M. Dzisiaj wydaje mi się, że warto poświęcić tej znajomości kilka słów. Sasza urodził się około 1946 roku. Jak zorientowałem się później, jego rodzice pracowali w NKWD; ojciec miał zginąć w niejasnych okolicznościach. Mieli oni działkę pod Smoleńskiem, gdzie uprawiali m.in. ziemniaki i inne warzywa. Wprawdzie Sasza nigdy nie wspominał o Katyniu, ale myślę, że jego rodzina mogła korzystać z ośrodka NKWD w lesie Katyńskim. W sierpniu 1980 roku Sasza odwiedził nas we Wrocławiu i przywiózł słoik konfitur (*warenie*) z poziomek. W Polsce Sasza spędził kilka dni zwiedzając m.in. grób Józefa Piłsudskiego w Krakowie. Był także świadkiem powstawania „Solidarności” w sierpniu 1980 roku. Kiedy byliśmy na wycieczce górskiej na Równi pod Śnieżką, strażnik pogranicza zatrzymał nas do kontroli dokumentów. Najpierw przejrzał moje dokumenty, a następnie spojrzął na pozłacane okulary Saszy i zapytał „*und Sie?*”. Sasza stanął bezradny, gdyż nie miał przy sobie dokumentów. Ja natomiast nieco przestraszony zacząłem tłumaczyć, że to jest mój znajomy ze Związku Radzieckiego, a dokumenty zostawił we Wrocławiu. Na to strażnik, ku naszemu zaskoczeniu, powiedział „*dobrze*”. Wszystko skończyło się szczęśliwie. Później zerwał ze mną kontakty z powodu, jak zapewniał, zachodzących wówczas przemian. A co do poziomek... raczej nie rosną w Leningradzie, dlatego skojarzyłem je z leśnymi polanami wśród polskich mogił oficerów w Katyniu.

Leningrad stwarzał wspaniałe możliwości, jeśli chodzi o poznawanie sztuki i historii miasta. Na mój program kulturalny składały się wizyty w filharmonii, teatrach i muzeach. Bilety były sprzedawane w Instytucie, względnie na stacjach metra. Odwiedzałem galerie obrazów w Muzeum Rosyjskim, w Soborze Kazańskim i w innych. Najczęściej bywałem jednak w Ermitażu, dokąd udawałem się bardzo chętnie. W okolicy miasta zwiedziłem pałace w Pietropawłowsku, Puszkino oraz twierdzę Szlisselburg, gdzie byli więzieni i zmarli w kazamatach między innymi Walerian Łukasiński i Ludwik Waryński. Ceglane ruiny kazamatów twierdzy przedstawiały sobą przygnębiający obraz. Brałem też udział w wycieczkach po Leningradzie: raz śladami bohaterów powieści Dostojewskiego, innym razem śladami akcji GPU, z prezentacją m.in. zamachów na Lenina i Kirowa. Na takich ekskursjach nie przyznawałem się, że jestem Polakiem. Na ogół, z powodu mego akcentu, brano mnie za kogoś z krajów nadbałtyckich.

Kiedy zbliżał się koniec mego stażu, miałem prawo zaprosić rodzinę do Leningradu. Wymagało to udania się na komisariat milicji. Taka wizyta budziła we mnie obawy. Długo czekałem na lotnisku na moje panie – żonę i córkę, zanim wreszcie zoba-



czyłem na płycie mały samolot PLL LOT z Warszawy. Okazało się, że właściwy samolot miał awarię, a ten zastępczy potrzebował więcej czasu, dlatego przyleciał ze znacznym opóźnieniem. Był lipiec, a więc białe noce. Zwiedzaliśmy zatem miasto i okolice w dzień i w nocy. Wydarzeniem było zjedzenie obiadu przy Newskim Prospekcie w kawiarni pod patronatem „Miasokombitanata”. Na ogół do kawiarni i restauracji czekało się w kolejkach na ulicy tak długo, aż zwalniało się wolne miejsce w lokalu. W ten sposób wewnątrz nikt nie wywierał presji na konsumentów. Byliśmy też w pałacu w Pietropawłowsku, do którego zostaliśmy wpuszczeni poza długą kolejką. Obcokrajowcy mieli w takich przypadkach szczególne względy. Płynęliśmy też wodolotem. Odwiedzaliśmy magazyny i sklepy w poszukiwaniu na ogół drobiazgów. Właściwie w magazynach były towary z całego świata, tyle tylko, że bardzo szybko znikają. Megafony w mieście ogłaszały, że w magazynie takim a takim, przy ulicy takiej a takiej znajdują się np. francuskie ubrania, czeskie buty itp., a potencjalni klienci biegli co siłą, aby zdążyć coś kupić. W takich sytuacjach przewagę mieli posiadacze samochodów.

Wreszcie nadszedł czas powrotu do domu. Zapakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy do walizek i udaliśmy się na lotnisko. Celnicy zajęli się moim bagażem w dużej walizie. Szukali bardzo starannie i natknęli się na mały szkic olejny na kartonie. Obrazek ten poniewierał się w Instytucie. Kiedyś musiał być przybity do ściany, o czym świadczyły ślady po gwoździakach w jego narożach. W końcu pracownicy katedry podarowali mi go. Wyjeżdżając do kraju żał mi było zostawiać obrazek w hotelu. Przedstawiał on myśliwych wyruszających o świcie na polowanie. Nie sądziłem, że posiada jakąś wartość, mnie się podobał, ponieważ był nastrojowy. Tymczasem celnicy bardzo zainteresowali się tym „dziełem”. Obraz został wstępnie opisany, a mnie wydano zaświadczenie, z którym mogłem ewentualnie za jakiś czas, zgłosić się po jego odbiór do Ermitażu, jeśli okazałoby się, że nie przedstawia on wartości muzealnej. Wszyscy pasażerowie znajdowali się już na płycie lotniska, podczas gdy ja ciągle byłem kontrolowany. Ostatecznie, kiedy okazało się, że stojący obok mały telewizor także należy do mnie, pozwolono mi szybko pójść do samolotu bez przechodzenia przez kontrolną bramkę, wykrywającą wszelkie metalowe przedmioty. W ten sposób udało mi się przemyścić mały pierścionek, kupiony za oszczędzone pieniądze. Warszawa powitała nas pogodnie i słonecznie. Pomyślałem wtedy, że nie ma jak w domu!

W trakcie długoterminowego stażu naukowego w danym mieście można było odwiedzić inny ośrodek naukowy na obszarze Związku Radzieckiego. Początkowo wybrałem Instytut Katalizy w Nowosybirsku, ale ostatecznie zdecydowałem się na Politechniczny Instytut w Charkowie. Pracował tam prof. W.I. Atroszczenko, znany specjalista w dziedzinie katalitycznych procesów przemysłowych. Przyjęto mnie tam bardzo życzliwie. Profesor zaprezentował swój zespół oraz program badań, a także izbę muzealną, której eksponaty nawiązywały również do czasów carskich. Niestety, następnego dnia profesor się rozchorował i już go więcej nie widziałem. Spotykałem się jedynie z pracownikami zespołu profesora. Miasto Charków miało charakter prze-

mysłowy. Poznałem bodaj największy w Europie plac w centrum miasta z obowiązkową figurą Lenina. Na terenie Politechniki również znajdowała się figura Lenina, ale jako studenta, bodajże z tornistrem na plecach. Zamiast o pomnikach piszę o figurach, ponieważ ich liczebność świadczyła o panującym wówczas kulcie jednostki. Starałem się nawet kolekcjonować te napotymane obiekty w postaci fotografii. W tamtych czasach nic nie wiedziałem o Charkowie jako o miejscu kaźni polskich oficerów w 1940 roku. Dzisiaj wydaje mi się, że fakt ten mógł być znany ówczesnym mieszkańcom miasta. Z tego też powodu moja obecność mogła stanowić dla nich pewną niezręczność. Po tygodniowym pobycie w Charkowie udałem się w drogę powrotną do Leningradu. Z samolotu widziałem pożółkłe stepy, liczne wąwozy, osiedla, a dalej lasy, wśród których być może rosły poziomki na mogiłach polskich oficerów w lasach Katynia.

## 8.8. Studenckie praktyki zagraniczne

W swojej karierze byłem też opiekunem wymiennej praktyki studentów naszej Uczelni z Politechnicznym Instytutem w Kazaniu – w Autonomicznej Republice Tatarskiej. Praktyki te polegały na wymianie grup studentów uczelni polskich z uczelniami zagranicznymi w czasie wakacji. Program przewidywał poznanie programu dydaktycznego uczelni oraz zwiedzanie zakładów przemysłowych, ale głównie chodziło o zapoznanie się z kulturą, tradycją i zwyczajami odwiedzanych krajów. Kontakty z Politechnicznym Instytutem w Kazaniu zaczęły się od czasu pobytu w naszym Instytucie doktora Walerego Chusnutdinowa. Był to rodowity Tatar, który przebywał w naszym Instytucie na stażu naukowym. W czasie dyskusji zapewniał nas gorąco, że to nie jego przodkowie, lecz Mongołowie dotarli pod Legnicę w 1241 roku. W czasie naszego pobytu w Kazaniu dowiedzieliśmy się, że stolica Tatarii to jedno z większych miast Rosji – wrota do Syberii, położone przy ujściu rzeki Kazanki do Wołgi. Miasto Kazań założone przez Bułgarów wołżańsko-kamskich w XI wieku, było później stolicą Chanatu Kazańskiego, który następnie został podbity przez Iwana IV Groźnego w 1552 roku i przyłączony do Rosji. Kazań był czołowym ośrodkiem naukowym i przemysłowym Rosji. Do jego zabytków należały m.in.: Kreml, pałac gubernatora, meczety i minarety, cerkwie, uniwersytet oraz budynki bogatych kupców, świadczące o dawnej świetności gospodarczej tego miasta. W mieście znajdował się ważny węzeł kolejowy oraz wielki port rzeczny. Stąd wypływaliśmy statkiem do Ulianowska (Symbirsk), gdzie obowiązkowo należało zwiedzić dom-muzeum, w którym urodził się Włodzimierz Iljicz Uljanow (Lenin). Wołga w pewnych miejscach była tak szeroka, że nie było widać drugiego jej brzegu. Podczas naszego pobytu w Tatarii zwiedziliśmy też m.in. dom położony przy ujściu rzeki Kamy do Wołgi, w którym żył i pracował kiedyś znany rosyjski malarz Iwan I. Szyszkin. Wydawało się, że ludzie są tu

inni, ale kiedy nasi opiekunowie poprosili studentów, aby zaśpiewali polskie kolędy, stało się jasne, że nawet w tym muzułmańskim kraju, istnieje jakaś część tradycji chrześcijańskiej. Jednak trzeba mieć świadomość, że autochtoniczna ludność tatarska stanowiła w tamtym czasie mniejszość w tej republice, a budynki administracji autonomicznej republiki stały zaniedbane. W ramach praktyki zawodowej zapoznaliśmy się z produkcją chemiczną zakładów w Mendelejewsku oraz z wielkimi zakładami chemicznymi położonymi przy ujściu Oki do Wołgi w Niżnym Nowgorodzie. Zorganizowano też dla nas krótki pobyt w ośrodku wypoczynkowym, gdzie też zaraz urządzono z tej okazji przyjęcie. Ponieważ na terenie ośrodka obowiązywał surowy zakaz spożywania alkoholu, spotkanie urządzono w domku, tuż za ogrodzeniem ośrodka. Nasz pobyt w tym uroczym miejscu nie potrwał jednak długo. Może po dwóch, trzech dniach, niespodziewanie zapadła decyzja, że musimy opuścić ośrodek. Okazało się, że przyczyną tego pośpiechu był przyjazd grupy studentów niemieckich. Kiedy my wyjeżdżaliśmy z ośrodka jedną bramą, oni wjeżdżali drugą. W ten sposób nawet się nie widzieliśmy.

Mój wyjazd do Kazania musiałem odpracować w następnym roku. Dlatego również w Polsce byłem opiekunem praktyki studentów Kazańskiego Politechnicznego Instytutu. W ramach programu praktyki zapoznaliśmy się z produkcją m.in. jednego z zakładów ceramicznych w Wałbrzychu, zwiedzaliśmy Dolny Śląsk oraz spędziliśmy tydzień w ośrodku rekreacyjnym w Józefinie pod Warszawą, skąd studenci mieli możliwości zwiedzania naszej stolicy. Zdarzało się, że zainteresowanie młodych ludzi wykraczało nieraz poza oficjalnie przyjęte granice, wynikające z indoktrynacji obowiązującej w owym czasie w obozie socjalistycznym. Był to okres rządów Gorbaczowa, ale Jelcyń był już widoczny na widnokręgu polityki. Zwiedzaliśmy więc kościoły, a nawet cmentarze, w dyskusji zaś nawiązywaliśmy do wydarzeń znanych z Biblii. Kiedy wreszcie studenci z Kazania wspomnieli, że interesuje ich Pismo Święte, byłem tym bardzo zaskoczony, gdyż Tataria to kraj, gdzie widziałem raczej minarety i meczety, chociaż cerkwie w Kazaniu też były. Spełniając życzenie studentów, zaprowadziłem ich do proboszcza cerkwi prawosławnej we Wrocławiu, gdzie mogli kupić święte księgi. Mam dzisiaj świadomość, że te wymienne praktyki studenckie, w tamtych trudnych czasach, były ważnym przedsięwzięciem, które pozwalało zbliżyć do siebie ludzi.

Mój pobyt na stażu naukowym oraz praktyka zagraniczna nie były pierwszym rosyjskim doświadczeniem. W okresie PRL kraj był izolowany, a podróżowanie za granicę nie było łatwe. Wyjazdy do krajów zachodnich były utrudnione i wymagały starania o przydział dewiz oraz paszportu, co jak dzisiaj wiemy, mogło wiązać się z podpisywaniem jakiegoś cyrografu i składaniem sprawozdania po powrocie. Grupowe wyjazdy turystyczne do Związku Radzieckiego i Krajów Demokracji Ludowej, organizowane przez biura podróży, nie wymagały indywidualnych zezwoleń ani sprawozdań. Podróże indywidualne po krajach socjalistycznych były obwarowane wieloma warunkami, m.in. należało posiadać zaproszenia od najbliższych członków

rodzin! Przekraczaniu tzw. granicy przyjaźni i pokoju towarzyszyło nieprzyjemne uczucie. Wspominam to jako niezapomniane przeżycie. Moją pierwszą podróż po Związku Radzieckim odbyłem w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku. Władze PRL prowadziły wtedy politykę wzajemnego zbliżenia ideologicznego obywateli, m.in. przez organizowanie wycieczek do krajów zaprzyjaźnionych, w tym głównie do Związku Radzieckiego. Organizacją zajmowało się biuro turystyki młodzieżowej „Juwentur”. Nigdy nie byłem zaangażowany ideologicznie i nie orientowałem się w tych sprawach, ale kiedy w moim środowisku pojawiła się okazja wyjazdu i poznania świata na wschodzie, zgłosiłem się do organizatorów. Tym bardziej, że współorganizacją zajmował się mój kolega z pracy. Byłem w tym czasie doktorantem Politechniki Wrocławskiej, udałem się więc do kierownika katedry, w celu uzyskania zgody na 21-dniowy urlop. Profesor wyraził zgodę. Na pytanie ile kosztuje ta impreza odpowiedziałem, że opłata wynosi pół ceny normalnej, na co profesor przytoczył stary żydowski dowcip, który brzmiał mniej więcej tak: *„pół ceny to mniej niż pełna cena, ale ile to będzie kosztować?”*. Studia doktoranckie angażowały mnie bardzo mocno i wyczerpywały zarówno fizycznie, jak i psychicznie, tak więc wyjazd był mi niewątpliwie potrzebny. Trasa wycieczki obejmowała przejazd pociągiem przez Brześć i Moskwę do miejscowości Gurzuf na Krymie oraz powrót przez Kijów. Uczestnikami wycieczki byli młodzi ludzie o różnorodnych profesjach. Prawie wszyscy byli bardzo dobrze zorientowani w charakterze i możliwościach turystyczno-ekonomicznych takich wyjazdów. Większość uczestników tej eskapady zaopatrzona była w towary na sprzedaż, za co następnie kupowano przeważnie wyroby ze złota. Sam również, za poradą znajomych, zabrałem z sobą parę koszulek polo, które potem z trudem udało mi się spieniężyć. Za uzyskane pieniądze kupiłem żonie skórzaną torebkę. Była to drobna rekompensata za to, że pozostawała ona w domu z naszą małą córeczką Hanią, kiedy ja zwiedzałem świat.

Wyruszyliśmy pociągiem w kierunku Moskwy z dworca Warszawa Wschód. Po drodze obserwowałem z zaciekawieniem krajobraz Podlasia. Nad ranem przybyliśmy do Brześcia, gdzie przebiegała tzw. „granica pokoju” na Bugu. Podczas gdy zmieniano ustawienie kół wagonów na tory szerokie, obowiązujące w ZSRR, nas zgromadzono w sali odpraw, gdzie przystąpiono do rewidowania bagażu. Rozłożyliśmy swoje torby na długim stole. Przegląd był dość skrupulatny, o czym może świadczyć m.in. sprawdzanie pasty do zębów! Kiedy przy takim badaniu tubka od pasty pękła, oficer powiedział *„ni czewo”* i zawijając tubkę w kawałek gazety, oddał mi ją z powrotem. Następnie udaliśmy się do podstawionych wagonów pociągu, który był już otoczony przez żołnierzy uzbrojonych w karabiny z długimi bagnietami, ustawionymi na sztorc. Otrzymaliśmy polecenie nieopuszczania przedziałów. To zachowanie żołnierzy wskazywało na to, jak skrupulatnie chroniony był Związek Radziecki. Potem pojawili się funkcjonariusze służby granicznej, którzy sprawdzali paszporty. Następnie przybyli żołnierze, którzy wyprasali kolejno pasażerów z przedziałów na korytarz wagonu i sprawdzali wszystkie skrytki, odkręcając w tym celu śrubokrętem ścianki przedzia-

łów. Kiedy nie znaleziono niczego podejrzanego, ani żadnego szpiega, pociąg ruszył wesoło w kierunku stolicy Kraju Rad – Moskwy. Byłem ciekaw tego wielkiego kraju, o którym tak wiele się słyszało, obserwowałem więc przesuwaną za oknami pociągu krajobraz. Niestety, wysokie krzewy oraz drzewa rosnące wzdłuż torowiska nie pozwalały wiele zobaczyć. Ponadto okna były zablokowane tak, że tylko górna część dawała się uchylić. Dopiero postój na dużej stacji, zdaje się w Baranowiczach lub w Orszy, pozwolił nam dostrzec na pochyłości wzniesienia miasto parterowych domków z drewna. Dalsza podróż przebiegała w nocy, dopiero rankiem znaleźliśmy się w Moskwie. Tu spędziliśmy trzy dni na oglądaniu zabytków miasta; obowiązkowo zwiedziliśmy Kreml i Mauzoleum Lenina, Galerię Trietiakowską, Nowodewiczy klasztor i inne. W dzielnicy gdzie mieszkaliśmy, wiele tych mniejszych domów było z drewna, które pamiętały czasy starej Moskwy. Naszym sporym zainteresowaniem cieszył się magazyn z zabawkami dla dzieci. Z respektem natomiast omijaliśmy pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, który stał na placu przed ogromnym gmachem NKWD. Z Moskwy ruszyliśmy na południe. Nad ranem usłyszałem zapowiedź stacji Zaporozże. Potem przejechaliśmy przez przesmyk na Półwysep Krymski i zatrzymaliśmy się w Symferopolu. Stamtąd zostaliśmy przewiezieni autokarem do miejscowości Gurzuf. Miasteczka położonego na południowo-wschodnim wybrzeżu Krymu. Od strony lądu nad miasteczkiem wznosił się bogaty w roślinność masyw górski Aju-Dah (z tatarskiego Góra-Niedźwiedź). W jego starej części znajdowały się urocze, wąskie i kręte uliczki, przy których stały charakterystyczne drewniane piętrowe domki. Była to pozostałość po Tatarach Krymskich, którzy zostali stąd wysiedleni po II wojnie światowej z rozkazu Stalina. Zakwaterowano nas w jednym z licznych pawilonów w Międzynarodowym Obozie Młodzieżowym „Sputnik”. Nieopodal znajdował się pionierski obóz „Artek”. Plaża, na której rozkładano drewniane leżaki, pokryta była kamieniami. Dwie skaliste wysepki, wynurzające się z morza, stwarzały swoisty krajobraz krymskiego pobraża. Podczas dwutygodniowego pobytu na Krymie odbywaliśmy wycieczki lądem i morzem. Zwiedziliśmy słynny Krymski Park Narodowy, Jałtę wraz z pałacem, w którym w lutym 1945 roku odbywała się konferencja jałtańska z udziałem Stalina, Churchilla i Rooswelta, następnie Sewastopol, Bachczysaraj i Odessę. Piękne krajobrazy oraz bogata historia, sięgająca czasów greckich, stwarzały doskonałe warunki do wypoczynku. Jeśli dodać, że na Krymie przebywali oraz tworzyli Aleksander Puszkina (*Jeniec Kaukazu*), a po nim Adam Mickiewicz (*Sonety Krymskie*), to łatwo wyobrazić sobie atmosferę tego miejsca nad Morzem Czarnym.

Powrót do domu prowadził przez Kijów i Brześć. Z krótkiego pobytu w Kijowie pamiętam Sobór Sofijski, Monastyr Michała Archaniola, a także Ławrę Kijowsko-Pieczerską oraz Złotą Bramę Kijowską, o którą jak głosi legenda Chrobry wyszczerbił królewski miecz. Na koniec zwiedzaliśmy główną ulicę Kijowa – Chreszczatik. Na jednym z placów Kijowa stał wielki pomnik Bohdana Chmielnickiego, który siedząc na koniu ponoć wskazywał buławą Moskwę. Tłumaczono nam, że w ten sposób prosił Moskwę o przyłączenie Ukrainy do Rosji. Wiele lat później, z pomnikiem Bohdana

Chmielnickiego spotkałem się jeszcze raz na Czarnym Szlaku Tatarskim – w moim rodzinnym Zbarażu, gdzie stoi on na miejscu po Adamie Mickiewiczu i zdaje się przypominać o oblężeniu zamku w Zbarażu w 1649 roku, którego skutecznie broniła polska załoga z ks. Jeremim Wiśniowieckim na czele.

## 8.9. „Solidarność”

Powstanie Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego (NSZZ) „Solidarność” w roku 1980 zapowiadało rewolucyjne zmiany w życiu szkoły oraz kraju. „Solidarność” wybuchła nagle i upomniała się o prawa do godnego życia człowieka. Wstępowaliśmy do niej żywiołowo. Do związku wstąpiła spontanicznie ponad połowa pracowników Instytutu. Wkrótce było nas w Polsce ponad dziesięć milionów. Trwały zapasy między związkiem a władzą. Zdawaliśmy sobie sprawę, że było wtedy wiele prowokacji i ukrytych działań po obu stronach. W mieście odbywały się liczne wiece i demonstracje. Pewnego razu podbiegł do mego trabanta jakiś młody człowiek i zażądał napełnienia butelki benzyną. Wydawało się, że w każdej chwili może dojść do prowokacji i rozlewu krwi w wyniku nieodpowiedzialnych działań oraz wojny domowej. Również na Uczelni był to okres burzliwych spotkań, dyskusji i śmiałych wypowiedzi, które jednak niczego tak naprawdę nie zmieniły. Władze PRL zapewniały, że są zatroskane o dobro kraju i będą trwać na straży sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Sklepy były puste i prawie wszystko na kartki. Kartki należały się każdemu, w tym również na alkohol. Niektórzy przezorni młodzi ludzie wyjeżdżali wtedy w pośpiechu na Zachód via Watykan.

Był śnieżny i mroźny niedzielny poranek 13 grudnia 1981 roku. O siódmej trzydzięci z trudem uruchomiłem trabanta i ruszyłem ulicami Wrocławia. Ulice były puste, ale z uwagi na trudne warunki komunikacyjne, patrzyłem jedynie przed siebie. Po drodze zabrałem kolegów i ruszyliśmy dalej. Naszym celem było Studium Wychowania Fizycznego Politechniki Wrocławskiej przy ulicy Chełmońskiego na Biskupinie. Wokół panowała zadziwiająca cisza, co nas zbyt nie dziwiło, ponieważ był wczesny ranek. Kartkę na drzwiach zauważyliśmy dopiero wtedy, gdy zastaliśmy zamknięte drzwi wejściowe do budynku. Nikt nie reagował na nasze pukanie. Ku naszemu zaskoczeniu przeczytaliśmy na kartce, że decyzją Rady Państwa, na podstawie artykułu 33, ust. 2 Konstytucji PRL, wprowadza się w kraju stan wojenny. Byliśmy bardzo rozczarowani, że nie mogliśmy tym razem rozegrać partii tenisa. Jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z powagi sytuacji. Było to nasze pierwsze doświadczenie ze stanem wojennym w kraju bez wojny. Wracając powoli do domu, przyglądaliśmy się miastu. Na skrzyżowaniach ulic stały posterunki wojska, milicji i zomowców. Przed gmachem Wojewódzkiej Rady Narodowej ustawiono czołgi i wozy pancerne. W pobliżu paliły się ogniska i kok-

sownicy, przy których ogrzewali się zomowcy. Do domu dotarłem szczęśliwie, przez nikogo niezatrzymany. W radiu i telewizji nadawano muzykę poważną, a redaktorzy ubrani byli w mundury wojskowe. W dzienniku telewizyjnym nadawano nocne wystąpienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego informujące o wprowadzeniu stanu wojennego. Wtedy wszystko stało się jasne, dokonano zamachu stanu, a władzę przejęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRON). Zaczęło się życie w stanie wojennym. Wielu ludzi osadzono w zakładach odosobnienia. Wielu musiało opuścić kraj. Zlikwidowano wszelkie związki i instytucje publiczne. Oficjalne życie narodu zamarło. „Solidarność” zesłała do podziemia.

W odpowiedzi na stan wojenny pracownicy zakładów pracy podejmowali protesty i strajki. Dramatyczne wydarzenia miały też miejsce w czasie pacyfikacji Politechniki Wrocławskiej w grudniu 1981 roku. W dniu 14 grudnia 1981 r. zorganizowano na Uczelni wiec oraz podjęto decyzję o strajku w auli Gmachu Głównego. Atak ZOMO na gmach główny nastąpił w nocy z 14 na 15 grudnia od strony ul. Smoluchowskiego. Następnie urządzono strajkującym ścieżkę zdrowia, której nie przeżył mgr inż. Tadeusz Kostecki, absolwent i były pracownik Politechniki oraz delegat Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej we Wrocławiu na protest na Politechnice Wrocławskiej<sup>2</sup>. W następnych dniach starano się ukryć przebieg tych wydarzeń przed społecznością Uczelni, lecz licznie płonące znicze oraz kwiaty w miejscu śmierci inżyniera świadczyły o dramacie. W rocznicę śmierci inż. Tadeusza Kosteckiego w holu Gmachu Głównego odsłonięto tablicę upamiętniającą te dramatyczne wydarzenia. Kolejne dramatyczne wydarzenia, w wyniku których zginęli ludzie, miały miejsce w czasie protestów sierpniowych w 1982 i 1983 roku. Byli to Kazimierz Michalczyk (27 lat), który zmarł 2 września 1982 r. w wyniku obrażeń odniesionych w czasie demonstracji we Wrocławiu 31 sierpnia 1982 r., Tadeusz Woźniak (49 lat), który zmarł 1 września 1982 r. po pobiciu przez ZOMO podczas tej samej demonstracji oraz Włodzimierz Witkowski (31 lat), który zaginął podczas manifestacji 31 sierpnia 1983 r. we Wrocławiu, a jego zwłoki znaleziono 7 września 1983 r.

Po zaopatrzeniu wybrałem się na wieś, gdzie u pewnego rolnika zamówiłem wcześniej pół świni. Ledwie zmieściła się w bagażniku trabanta. Resory samochodu ugięły się pod ciężarem. Strach było jechać, ponieważ patrole ZOMO miały prawo kontrolować wszelkie pojazdy oraz karać i konfiskować przewożony towar. Wkrótce ja i moja rodzina byliśmy zaproszeni na wesele u bliskich znajomych. Zebrało się dużo gości w domu weselnym pana młodego. Nastrój i przebieg uroczystości, jak się zdawało, był weselny, jednak wszyscy czuliśmy, że na zewnątrz jest wojna. Do domu wróciliśmy przed godziną policyjną. Na sygnałach jeździły milicyjne suki, telefony były pod kontrolą i panowała całkowita cenzura. Z dała słyhać było charakterystyczny warkot przemieszczającej się kolumny czołgów.

---

<sup>2</sup> Internet: [www.pryzmat.pwr.wroc.pl/Pryzmat161](http://www.pryzmat.pwr.wroc.pl/Pryzmat161).



Tablica w holu Politechniki Wrocławskiej poświęcona inż. Tadeuszowi Kosteckiemu, zmarłemu podczas pacyfikacji strajku na Politechnice Wrocławskiej w dniu 15 grudnia 1981 r.  
Zdjęcie – Mieczysław Szustakowski

Życie toczyło się na pozór normalnie, ale było poważnie ograniczone. Kraj podzielił się na „my i oni”. Pewnego dnia do naszego mieszkania weszli funkcjonariusze SB z nakazem przeprowadzenia rewizji. Szukali we wszystkich możliwych miejscach – prawdopodobnie bibuły. Podejrzaną była nasza córka, którą zatrzymano i osadzono w areszcie wraz z grupą innych podejrzanych młodych ludzi. Dla wielu z nich był to wielki szok. Naszej córce ten dzień pozostał w pamięci na całe życie. Wiele osób donosiło. Zarówno bezinteresowni „życzliwi” sąsiedzi, jak i blokowi mężowie zaufania. W pracy działały podziemne struktury „Solidarności”. Baliśmy się, ale wspieraliśmy ich działania, a także kupowaliśmy książki z drugiego obiegu. Wtedy poznałem m.in. *Archipelag Gulag* Sołżenicyna i inne jego utwory.

Z nadzieją czekaliśmy na zniesienie stanu wojennego. Nikt z nas nie przewidywał, że może dojść do poważniejszych zmian w kraju. Co najwyżej miała nastąpić „dalsza poprawa” warunków pracy i życia miast i wsi. W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku Polska była postrzegana przez sąsiadów jako kraj zagrożony anarchią, a Polacy mieli opinię niebezpiecznych wichrzycieli. Kontakty z Polakami uważano za podejrzane i niebezpieczne. Kiedy w ramach międzynarodowej współpracy między



zakładami pracy udałem się z delegacją Zakładów Azotowych w Kędzierzynie w czerwcu 1989 roku z rewizytą do Zakładów Chemicznych w Słowacji, nasi gospodarze wpadli w panikę. Było widać, że przyjechaliśmy nie w porę. Początkowo nikt z kierownictwa zakładu nie miał odwagi spotkać się z nami. Po pewnym czasie dotarła do nas wiadomość, że w wyborach do polskiego Sejmu i Senatu duży sukces odniosła opozycja. Zaczynała się nowa era w życiu społeczeństwa polskiego.

## 8.10. Konferencje i seminaria

Pewnego razu byłem uczestnikiem konferencji naukowej w stolicy Bułgarii – Sofii. Konferencja odbywała się w pałacu nauki, będącym w gestii Bułgarskiej Akademii Nauk. W tym czasie sekretarzem BAN była Żiwkowa – córka I Sekretarza Komunistycznej Partii Bułgarii. Mówiono, że ojciec postawił ten pałac swojej ukochanej córce. Była to współczesna budowla o funkcjonalnej architekturze. Ze względu na klimatyzację, przyjemnie było spędzać czas w salach konferencyjnych po uciążliwych wędrownkach ulicami tego wielkiego miasta. Mieszkaliśmy w domu akademickim, specjalnie przygotowanym dla uczestników konferencji. Był to świeżo oddany do użytku blok, jeszcze niezupełnie „dotarty”. Interesujące było to, że w kranach płynęła bardzo smaczna woda dostarczana wprost z pobliskich gór Witoszy. Niedaleko znajdował się inny akademik, wokół którego leżało dużo śmieci, a to z tego powodu, że nie obsługiwały go sprzątaczkki, tylko sami mieszkańcy, którzy opracowali prosty sposób pozbywania się śmieci, wyrzucając je przez okna.

W latach osiemdziesiątych XX wieku Bułgaria była bardzo atrakcyjnym krajem dla mieszkańców Europy Wschodniej i Środkowej. Gorące plaże nad Morzem Czarnym w Warnie i Burgas przyciągały wielu turystów. Przyjeżdżali tu przede wszystkim obywatele z NRD, Czechosłowacji, Polski i innych krajów. Wspaniałe plaże i tylko trochę zanieczyszczona ropą woda były atrakcją na miarę Lazurowego Wybrzeża. W owym czasie niektóre kraje Demokracji Ludowej miały ambicje wybicia się ponad szarą przeciętność socjalistycznego ustroju. Takim krajem była niewątpliwie również Bułgaria, która rozwijała szerokie kontakty naukowe ze światem, kupowała licencje na produkcję atrakcyjnych towarów. Kraj ten wyróżniał się m.in. tym, że produkowano w nim narty na licencji firmy Atomic oraz buty sportowe Adidas. Oba te produkty były marzeniem dla wielu obywateli żyjących w realnym socjaliźmie. Moim pragnieniem było zaspokoić marzenia córki o butach firmy Adidas. Po ustaleniu położenia jedyne w Sofii firmowego sklepu obuwniczego, prowadzącego buty Adidasa, poszliśmy tam wczesnym rankiem z nadzieją na sukces. Kiedy przybyliśmy na miejsce, sklep był jeszcze zamknięty. W oknach wystawowych nie widzieliśmy wprawdzie śladów upragnionych produktów, ale wokół kłębił się już spory tłum ludzi. Kolejki typowej dla tamtych czasów nie było, ponieważ milicja zabraniała zgromadzeń. W ten sposób wraz z innymi krążyliśmy wokół sklepu, mając ciągle

na uwadze zajęcie dobrej pozycji wyjściowej w decydującym momencie. Przypominało to start łodzi w regatach morskich. Tuż przed otwarciem pod sklep podjechał samochód osobowy marki wołga, z którego wyniesiono kilka pudełek. Po otwarciu sklepu okazało się jednak, że pewna ilość obuwia została już rozdysponowana wcześniej dla ambasady przyjaźnionego mocarstwa, a pozostały jedynie nietypowe rozmiary. Stałem więc rozczarowany i bezradny przed ladą sklepową, kiedy pojawił się w sklepie klient, który zamierzał zwrócić kupioną wcześniej parę adidasów. Musiałem się szybko decydować na zakup tych butów, nie będąc pewnym, czy kupuję odpowiedni rozmiar. W ten sposób stałem się szczęśliwym posiadaczem upragnionego kapitalistycznego wyrobu, produkowanego w kraju socjalistycznym. Ostatecznie, gdyby rozmiar butów nie był odpowiedni, można je było wymienić na inny lub na zupełnie coś innego. Przypominało to zwyczaje panujące w wojsku w stosunku do poborowych przy fasowaniu umundurowania. Szef kompanii nie trudził się przymierzaniem mundurów i butów każdemu rekrutowi. Stosowano bardzo prostą i bardzo racjonalną metodę – rekruci przechodzili obok sterty ułożonego na podłodze umundurowania i brali „jak leci” jedną część garderoby: czapkę, bluzę, spodnie, pas, kalesony, onuce i buty. Następnie wszyscy dobierali poszczególne części umundurowania wymieniając się między sobą. Był to sprawdzony sposób wzajemnego docierania się i wspólnego życia młodych ludzi o różnych charakterach. Ten sposób postępowania miał oczywiście uzasadnienie w statystyce, ponieważ przeciętny rozmiar umundurowania odpowiadał w przybliżeniu przeciętnej budowie szeregowców.

Jak wspominałem wcześniej, do Bułgarii jeździło się na konferencje oraz cykliczne sympozja naukowe, które były swego rodzaju poligonem naukowym, na którym łączono sprawy wymiany myśli naukowej z rekreacją. Wydaje się, że były one pomyślane jako przyszłe forum uczonych i naukowców z całego świata. Oczywiście początki były skromne i skład osobowy niewielki. Czasami jednak zdarzało się, że na spotkaniach pojawiał się jeden lub nawet kilku naukowców z krajów zachodnich. W programie tych imprez, jak nakazuje zwyczaj, były bankiety, na początku stacjonarne przy stołach. Stoły prezentowały się imponująco. Były przystawki, kawior, potrawy rybne i mięsne, napoje wysokowe i zwykłe oraz wszelkiego rodzaju ciasta deserowe. Humor uczonym biesiadnikom dopisywał. W kolejnych latach modne stały się bufety szwedzkie. Początkowo były one równie atrakcyjne pod względem zastawy, a wyróżniały się możliwością swobodnego przemieszczania się wokół stołu i nieskrępowanej dyskusji. Niestety, na tego typu imprezach zauważyłem zachowania typowe, to jest okupację zajętych pozycji przy stole. Niektórzy biesiadnicy stawali przy atrakcyjnych potrawach i nie poczuli się do szybkiego odejścia. W takich sytuacjach dostęp do jadła był utrudniony dla uczonych zakompleksionych, słabszych lub wstydliwych, czy też mniej sprytnych lub beczelnych. Stan ten trwał zwykle do ostatniej potrawy na stole. Podczas jednej z ostatnich tego typu imprez, bodajże w Burgas, na bankiet otwarcia wydawano bilety wstępu, co było nowością na tych imprezach. Przed oficjalną godziną otwarcia bankietu tłumy wygłodniałych uczonych gromadziły się przed wejściem do sali bankietowej. W tym czasie poszedłem po bilet

do pokoju hotelowego. Trwało to naprawdę chwilę, może dziesięć minut. Kiedy po chwili znalazłem się wśród szanownego grona, zastałem smutny obraz, jak po bitwie. Stół był pusty, resztki zimnych potraw w rękach wygłodniałych uczestników biesiady, nic do jedzenia. Jakiś czas potem te dobrze zapowiadające się imprezy w Bułgarii zostały zawieszane aż do odwołania. Nie miało to jednak większego znaczenia, ponieważ na całym świecie, liczne konferencje i sympozja krajowe i zagraniczne oraz towarzyszące im zimne szwedzkie bufety, jak również zwyczaje wokół stołów, nadal były i są niezmiennie popularne.

## 8.11. Sport, turystyka i rekreacja

Jestem przekonany, że ruch miał decydujące znaczenie dla mego zdrowia i życia. Od samego dzieciństwa lubiłem biegać po drózkach i ścieżkach wokół domu. Kopaliśmy też z kolegami piłkę, graliśmy w palanta, kiczki i dwa ognie. Bawiliśmy się w chowanego, łapanego i inne gry i zabawy. Zimą ulubionym zajęciem było ślizganie się na sankach, nartach, łyżwach lub butach. Klimat Zbaraża sprzyjał uprawianiu sportów zimowych. Zamarznięte rozlewiska na błoniach rzeki Gniezny pozwalały na jazdę na łyżwach. Obfite pokłady śniegu na okolicznych wzgórzach zapraszały do jazdy na nartach. Problem był jednak brak sprzętu sportowego. Miałem jakieś łyżwy, ale nart nie było. Strugało się więc deski we własnym zakresie. Nie było też sprzętu po wojnie na Dolnym Śląsku. Znaleźliśmy wprawdzie na strychu naszego nowego domu narty, ale już przy pierwszym zjeździe odłamał się czubek jednej z nich. Katastrofalny wprost brak sprzętu sportowego w Polsce utrzymywał się aż do lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Moimi pierwszymi, prawdziwymi nartami, jakie sobie kupiłem w wieku 33 lat, były Wierchy. Były to drewniane deski, pokryte od spodu „kofiksem”, do których przymocowałem popularne i jedyne wówczas dostępne wiązania typu K2. Wiazania narciarskie były podstawowym elementem, jeśli chodzi o bezpieczeństwo narciarza. Zabezpieczały one przed złamaniem nogi przy skrętach bocznych, ale przy wypięciach na stoku góry trudno było je ponownie zamocować. Upłynęło trochę czasu, zanim pojawiły się w sklepach pierwsze zatrzaskowe wiązania japońskie „Hoppe”, a następnie bardziej bezpieczne Markery typu „rotomat” i „simplex”. Narciarstwo było moją pierwszą i główną pasją w sezonie zimowym. Pierwszy kurs narciarski zaliczyłem w Beskidach na Szyndzielni i Klimczoku k. Bielska-Białej. Następne dwa kursy odbywały się w Szczyrku i Zakopanem. Instruktorami byli nieodżałowani panowie: Leszek Kucharski, Józef Lewandowski oraz Tadeusz Łanowy i inni. Szybko robiłem znaczne postępy i zdobyłem nawet wicemistrzostwo Politechniki Wrocławskiej w slalomie gigantycznym. Swoje doświadczenie przekazywałem następnie żonie i córce, przy czym, nie zawsze potrafiłem prawidłowo ocenić możliwości moich podopiecznych w stosunku do panujących warunków. Na przykład, na pierwszą



Rajd Świętokrzyski, 1958 r.



W Karkonoszach, 1959 r.

lekcję wywiozłem żonę na Kopę w Karpaczu, gdyż wydawało mi się, że są tam dobre warunki do pierwszych ześlizgów narciarskich. Innym razem ustawiłem żonę na szczycie Kasprowego Wierchu w Dolinie Goryczkowej w Zakopanem mając nadzieję, że potrafi już bezpiecznie zjechać. Córka od małości brała udział w naszych rodzinnych wyprawach narciarskich, dzięki czemu nie miała problemów z nauką jazdy na nartach. W wieku pięciu lat, na małych nartach kręciła w lewo i w prawo narzekając, że nie potrafi jeszcze dobrze skręcać. Na pytanie: „jak nie umiesz skręcać?” mówiła „o tak” i skręcała pługiem całkiem poprawnie. W wieku juniorskim zaliczyła kilka kursów w Karkonoskiej Szkole Narciarskiej, pod kierunkiem panów Ewarysta Roszkiewicza i Janusza Januszewskiego, znanych trenerów i działaczy sportowych ze Szklarskiej Poręby i Jeleniej Góry. Narciarstwo zjazdowe i biegowe to wyjątkowo zdrowy sposób na wypoczynek i rekreację w sezonie zimowym. Pozwala on na „ładowanie” energii psychicznej i fizycznej koniecznej dla zdrowego życia i wydajnej pracy zawodowej. Narciarstwo nie oznacza tylko zjazdów i ślizgów, ale jest to również przeżycie emocjonalne związane z przyrodą i krajobrazem górskim, czego plonem jest bogaty materiał zdjęciowy. Podczas naszych rodzinnych wypadów narciarskich „zaliczyliśmy” krajowe stoki w Zakopanem, Karpaczu i Szklarskiej Porębie w Karkonoszach oraz bardziej lub mniej znane ośrodki w Sudetach. Przez wiele lat jeździliśmy na lodowcach i trasach alpejskich w Zell am See, Kaprun, Hintertux i Kaunertal w Austrii, Chamonix we Francji, Adelboden w Szwajcarii, Malbun w Liechtensteinie, a latem na lodowcach Otztal i Stubaital w Austrii i na Marmoladzie we Włoszech. Naszym ulubionym ośrodkiem na wyjazdy jednodniowe nadal jednak pozostał Zieleniec w Kotlinie Kłodzkiej.

Drugą moją ulubioną dyscypliną sportową był tenis ziemny. Tenisem zainteresowałem się w wieku 36 lat. Najpierw zacząłem mozolnie odbijać piłeczkę o ścianę treningową, następnie próbowałem z kolegami przebijać piłkę na drugą stronę siatki tenisowej. W tej wstępnej fazie wielu kolegów z pracy próbowało swoich sił w tej dyscyplinie sportu, lecz nie wszyscy wytrwali do końca. Początkowo zapal do tenisa był tak duży, że urządzaliśmy turnieje i mistrzostwa Instytutu. Ja sam nie wykazywałem w tej dyscyplinie dużego talentu. Owszem, nauczyłem się grać, ale wygrywanie szło mi z trudem. W końcu pogodziłem się z tym, że trzeba umieć też przegrywać. Najważniejsze były kontakty z ludźmi oraz spotkania towarzyskie i ruch na świeżym powietrzu. Bardzo wiele dały mi sparingi z panią Krystyną Dałkowską, trenerką tenisa ziemnego w klubie „Gwardia” we Wrocławiu. Pani Krystyna miała znaczne sukcesy jako zawodniczka tego klubu, a następnie jako trenerka, która wychowała czołową zawodniczkę i mistrzynię Polski, Iwonę Kuczyńską. Grając w tenisa udało mi się zainteresować tym sportem również moją córkę Hanię. Córka zaczęła grać późno, w wieku 12 lat, początkowo ze mną, ale robiła tak szybkie postępy, że przyjęto ją do jedynej w owym czasie we Wrocławiu sekcji tenisa w klubie „Gwardia”. Moje zainteresowanie tenisem trwało nieprzerwanie wiele lat. Grywałem na nawierzchniach ceglanych, na kortach otwartych i w obiektach zamkniętych. Zwykle grywaliśmy ze stałymi partnerami, z których najbardziej wytrzymałymi byli bardzo uzdolnieni sportowo bracia Janusz i Jerzy Kordalowie.

Wreszcie trzecim, moim ulubionym zajęciem, była i jest uprawa działki ogrodniczej. Do Polskiego Związku Działkowców zapisałem się w reakcji na stan wojenny w 1981 roku. Zagospodarowanie ogrodu zaczynałem od zera. Wielkim przeżyciem była budowa altanki, a następnie nasadzanie krzewów, drzewek oraz uprawa warzyw. Z biegiem czasu na działce coraz większą powierzchnię zaczął zajmować trawnik (kosztem grządek), ale nadal lubiłem być w ogrodzie i obserwować jak rozwija się świat roślinny dzięki wodzie, energii słonecznej i pracy człowieka.

W szkole średniej, a potem na studiach zacząłem interesować się turystyką. Dolny Śląsk sprzyjał jej uprawianiu; Sudety, Karkonosze były bardzo atrakcyjne pod tym względem. Zapisałem się do Oddziału PTTK przy Politechnice Wrocławskiej. Wycieczki jednodniowe i dłuższe oraz rajdy w Beskidy prowadzili przewodnicy PTTK, a wśród nich prof. Krzysztof Skudlarski z Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej oraz nasz kolega Waldemar Olszewski i inni. Bardzo miłe wspominałem Rajd Świętokrzyski w maju 1958 roku. Nasza grupa kilkunastu studentów z Wydziału Chemii Politechniki Wrocławskiej dostała, prawdopodobnie z powodu późnego zgłoszenia, miano „Czerwonej Latarni”. Na pamiątkowych fotografiach widzę uczestników tej grupy, m.in. Barbarę Szulc, Irenę Niestruj, Jadwigę Burdę, Ryszarda Seredę, Franciszka Piwowarskiego, Waldemara Ogonowskiego, Jerzego Matysiaka, Waldemara Olszewskiego i Alfonsa Stachery ze swoją dziewczyną. Symbolem Rajdu była Baba Jaga na miotle. Nasza trasa wiodła m.in. przez Kielce, Święty Krzyż, Szewce, Miedziankę ... do Kielc. Pamiętam jeszcze dzisiaj piękne widoki białych wapiennych skałek na tle zielonej trawy.

Następnego lata nasza koleżanka i kolega z roku: Danuta Belina i Piotr Frundlich zorganizowali rajd w Bieszczady. Było nas w sumie sześć osób, m.in. Zosia – moja sympatia, Marysia – siostra Piotra oraz Krzysiek – student bibliotekarstwa. Ruszyliśmy z Komańczy i dalej wędrowaliśmy przez lasy Chryszczatej, Baligród, Cisnę, wzdłuż granicy ze Słowacją w kierunku Krzemieńca, wstępując po drodze przez Wetlinę na Połoniny Wetlińską oraz Caryńską i do Ustrzyk Górnych. Potem przez Ustrzyki Dolne i Lesko wracaliśmy do domu. Bieszczady w tamtym czasie były wyludnione w wyniku wojny i niedawnej Akcji Wisła. Wiedzieliśmy, że w lasach Chryszczatej znajdowały się kiedyś bazy oraz bunkry UPA. Wędrowaliśmy szlakiem, który omijał turystyczny szlak czerwony. Mijaliśmy miejsca porośnięte pokrzywą, piwnice i opuszczone sady, wskazujące na dawne wioski. Na wypadek spotkania ze żmiją mieliśmy w rękach kije, a w plecaku surowicę. Był sierpień i pogoda nam sprzyjała. Nocowaliśmy w namiotach. Pewnego razu usłyszeliśmy oddech jakiegoś zwierzęcia przy naszym namiocie. Innym razem byliśmy świadkami niecodziennego zjawiska; schodząc z gór do Ustrzyk Górnych usłyszeliśmy nagle w dole dziwny szum. Okazało się, że to rześisty deszcz padał w dolinie, podczas gdy my byliśmy powyżej – w słońcu. Na polanach rosły jeszcze czarne jagody, a w okolicy Ustrzyk Górnych natknęliśmy się na polanę pełną poziomek. Do samego szczytu Krzemieńca nie mogliśmy dojść, ponieważ był to potrójny punkt graniczny, a „Granica Pokoju” była wtedy starannie strzeżona, o czym świadczył widoczny z daleka pas zaoranej ziemi wzdłuż granicy.

## 9. Mój trabant

W czasie swego życia miałem różne marzenia, ale nigdy nie sądziłem, że będę właścicielem samochodu. Nie byłem też do tego przygotowany. W czasach mojej młodości samochodów prywatnych prawie nie było. Powoli jednak następowały zmiany; po okresie stalinowskim nadeszły czasy siermiężnego socjalizmu Władysława Gomułki, a następnie czas realnego socjalizmu Edwarda Gierka. Przemianom ustrojowym towarzyszyły zmienne nastroje i potrzeby społeczne.



W ponurym, na ogół powojennym okresie kraju, okres gierkowski wyróżniał się pewnym ożywieniem. Po pamiętnej deklaracji robotników Stoczni Szczecińskiej: „*pomożemy*”, nastąpił okres zakupów nowych technologii, które miały uczynić Polskę drugą Japonią. Niestety, niekorzystna koniunktura w świecie oraz mała innowacyjność pozyskiwanych technologii doprowadziły do bezprecedensowego zadłużenia kraju. Tylko przez krótki okres dało się zauważyć znaczne ożywienie w kraju. Jednym z wyznaczników ożywienia był rozwój motoryzacji. Trzeba przyznać, że nowa sytuacja w naszym kraju wzbudzała podziw za granicą. Znany był swego czasu dowcip o tym, jak amerykański turysta podziwiał nasz kraj i prawie wszystko mu się podobało. W czasie zwiedzania Warszawy turysta pytał o ludzi stojących w długich kolejkach, a przewodnik odpowiadał, że „*tu dają pomarańcze, tam dają kielbasę, a tam znowu dają garnitury*”. Na to po namyśle amerykański turysta odpowiedział: „*to pięknie, ale ja wolalbym jednak sobie kupić zamiast stać w kolejkach*”.

Na rynku motoryzacyjnym w Polsce w pierwszych latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku kończyła swój okres świetności warszawa – pochodna pobedy, z wielokrotnie modyfikowanymi listwami bocznymi oraz kształtem bagażnika. Na tyle stać było naszych techników od motoryzacji. Ponadto pojawił się wytwór rodzimej konstrukcji pod nazwą syrena. Był to twór fantazji kilku techników-amatorów, którzy wykorzystując różne znane skądinąd rozwiązania, potrafili wyklepać prosty i tani model samochodu z dwusuwowym silnikiem o napędzie iskrowym i mocy 24 km. Wcze-

śniej był jeszcze mikrus, który nie wytrzymał jednak próby czasu. Później miały być też zakupione we Włoszech licencje na produkcję samochodów: FIAT 125p oraz FIAT 126p, zwany popularnie „maluchem”. Zanim do tego jednak doszło, w kraju były również dostępne samochody z importu, między innymi: wołga ze Związku Radzieckiego oraz trabant i wartburg z Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD). W scentralizowanym kraju, jakim była Polska, nie istniał wolny rynek nowych samochodów. Samochody kupowało się na przydział lub na kupony przydzielane osobom zasłużonym (partyjnym). Ewenementem tego systemu było to, że po trzech latach eksploatacji samochodu, można go było sprzedać na giełdzie po cenie wyższej niż cena zakupu. Kiedy wraz z żoną w roku 1972 uzyskaliśmy prawo jazdy, złożyliśmy w PP „Polmozbyt” podanie o zakup samochodu marki trabant. Dla niewtajemniczonych dodam, że karoseria trabanta była zbudowana z impregnowanego kartonu. Był to najtańszy samochód na rynku. Podania na zakup samochodów nie były przyjmowane w sposób ciągły, tylko w pewnych terminach, które znali nieliczni – osoby wtajemniczone i dociekliwe. Po okresie oczekiwania otrzymaliśmy zawiadomienie o terminie odbioru upragnionego trabanta. Odbiór samochodu był wielkim wydarzeniem rodzinnym. Właściwie to nigdy nie przypuszczałem, że będę miał kiedykolwiek samochód. Tylko dzięki mojej żonie zrealizowaliśmy listę marzeń stworzoną na początku naszego związku. Na liście tej były takie pozycje, jak: mieszkanie, telewizor, pralka, lodówka i samochód. Lista marzeń nie była zamknięta, ale też nasze możliwości były ograniczone. Podczas odbioru samochodu zdecydowaliśmy się na trabanta 601 w szarym kolorze, zwracaliśmy przy tym baczną uwagę na to, czy wszystko jest na swoim miejscu. Trabanta potocznie nazywano mydelniczką z powodu kształtu oraz tworzywa użytego do budowy karoserii. Samochód ten był bardzo prostą i taną konstrukcją o wielu zaletach i niestety pewnych wadach. Najistotniejszą część samochodu stanowił dwusuwowy silnik o dwóch cylindrach o pojemności 600 cm<sup>3</sup> i mocy 24 km. Żartowałem, że mój ojciec miał dwa konie, a ja stałem się właścicielem 24 koni mechanicznych. Silnik trabanta chłodził strumień powietrza wymuszony przez dmuchawę i z tego też powodu był dosyć głośny. Paliwem podstawowym była benzyna z dodatkiem etylku ołowiu. Do benzyny należało dolewać olej silnikowy w stosunku objętościowym 1:16. Wadą tego silnika była emisja dymu w postaci niedopalonego oleju i paliwa wraz z ołowiem. Poważnym mankamentem było również to, że panewki na korbowodzie wymagały częstych remontów. Mimo że plastikowe nadwozie zapewniało odporność na czynniki atmosferyczne, to elementy podwozia, szczególnie profile zamknięte, były narażone na korozję materiałową. Z tego powodu, zaraz po kupnie, samochody poddawano konserwacji, która polegała na powlekanii stalowych powierzchni i profili zamkniętych substancjami bitumicznymi.

Samochód w Polsce w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku powoli przestawał należeć do luksusów. Jego posiadanie poszerzało znacznie możliwości mobilne oraz dawało poczucie niezależności i wolności. Przyjęło się, że samochód w tamtych czasach miał pierwszeństwo nad wszystkim, co było żywe i ruszało się na drodze.



Kierowcy trąbili więc z przyjemnością na przechodniów, którzy w popłochu przebiegali przez ulice. Częste były też okrzyki kierowców w rodzaju: „*gdzie leziesz baranie?*”. Właściciele traktowali swoje samochody, w przeciwieństwie do przechodniów, bardzo troskliwie i z wielkim uczuciem.

Jako świeży kierowca poznawałem tajniki taktyki i strategii prowadzenia samochodu oraz zwyczaje panujące na drodze oraz na parkingu. Już po krótkim czasie zauważyłem, że człowiekowi za kierownicą towarzyszył pewien dreszczyk emocji oraz wzrost agresji w stosunku do otoczenia. Dbałem o naszego trabanta, myjąc go tuż pod bramą i parkując jak najbliżej domu. Kiedy codziennie rano zapalałem silnik, ruszając do pracy, kłęby dymu wydobywające się z rury wydechowej, wlatywały na klatkę schodową i wdzierały się do mieszkań. Nikt nie zwracał mi nigdy bezpośrednio uwagi na niestosowność tego zachowania. Zresztą, nie byłem wyjątkiem, wielu tak robiło. Jednak pewne oznaki niezadowolenia dały się zauważyć w postaci na przykład rozlanego oleju po sardynkach na dachu samochodu. Najczęściej samochód prowadziłem ja, ale czasami również żona brała kierownicę w swoje ręce. Zdarzało się, że kierowca trabanta zniknął nagle z pola widzenia. Zdawało się przez chwilę, że samochód jedzie bez kierowcy. Przyczyna była taka, że w momencie kiedy poziom paliwa w baku osiągał stan rezerwy, a silnik samochodu dostawał „czkawki”, należało przełączyć kranik na przewodzie paliwowym, aby włączyć rezerwę paliwową. Ta właśnie czynność wymagała od kierowcy nurkowania pod deskę rozdzielczą samochodu, gdzie znajdował się ów przełącznik – kosztem kontroli nad samochodem.

Nasz model trabanta okazał się być samochodem dosyć pechowym. Z tego powodu towarzyszyły nam niespodziewane zdarzenia. Pierwszym tego sygnałem było spalenie się prądnicy, czego przyczyną było zawieszenie się szczotki. Nowych prądnic do trabanta kupić wtedy nie można było, a jedyny elektryk monopolista w tym fachu we Wrocławiu, z tak zwanej prywatnej inicjatywy, bardzo grymasił. Prądnica stała się częstą przyczyną naszych kłopotów, dzięki czemu zresztą nabierałem coraz większego doświadczenia technicznego w obsłudze samochodu. Jako kierowca zaliczyłem ponad dwa tysiące kilometrów i czułem się coraz pewniej za kierownicą. Wtedy też miałem pierwszy poważny wypadek samochodowy. Moja nieuwaga oraz nieuwiązany pies w samochodzie były przyczyną tego, że wpadliśmy do rowu. W konsekwencji tej katastrofy moja żona i szwagierka Danuta doznały obrażeń, samochód został uszkodzony oraz zaginął pies. Pies Kuba był tak zszokowany wypadkiem, że uciekł i błąkał się po okolicy, a kiedy następnego dnia szwagier pojechał swoim trabantem na jego poszukiwanie, znalazł psa przejechanego przez samochód. Była to smutna lekcja jazdy w moim życiu.

Na urlop do Czechosłowacji wyruszyliśmy po naprawie i zabezpieczeniu samochodu przed korozją. W czasie podróży padał rześisty deszcz, a w samochodzie pojawiła się woda. Okazało się, że przyczyną tego zjawiska było zatkanie otworów kanalizacyjnych w profilach zamkniętych karoserii podczas prac antykorozyjnych. Długofalowym skutkiem tego zaniedbania była przyspieszona korozja samochodu.

Następnie pojawiły się problemy z linką przyśpieszenia, która wskutek uszkodzenia blokowała się w momentach wysokich obrotów silnika. Defekt ten okazał się szczególnie uciążliwy i niebezpieczny na drogach o dużym natężeniu ruchu. Nie był to koniec naszych przygód. W drodze powrotnej do Polski pojawił się problem z aparatem zapłonowym, który objawiał się tym, że nagle silnik przestawał działać. Okazało się, że brak smarowania krzywki spowodował zanik szczelinki między młoteczką i kowadełką aparatu zapłonowego. Stało się to tuż przed szlabanem granicznym w Nachodzie. Kiedy udało mi się wreszcie samochód uruchomić, czemu towarzyszył duży obłok dymu, strażnicy szybko podnieśli szlaban i przepuścili nas bez kontroli na stronę polską. Dojechaliśmy w ten sposób aż do Ząbkowic Śląskich, gdzie na rynku, o północy samochód się zatrzymał i odmówił dalszej jazdy. Tylko dzięki pomocy kierowców taksówek udało się trabanta ponownie uruchomić i nad ranem dotrzeć do Wrocławia. Cała ta przygoda pozostała na długo w naszej pamięci. Innym razem, kiedy jechaliśmy do Karłowa w Górach Stołowych na świąteczny urlop, w czasie przejazdu przez kałuże wody zamarły nam hamulce, co na szczęście nie skończyło się wypadkiem. Do moich przygód samochodowych należy też dodać zatarcia silnika oraz konieczność wymiany, co kilka tysięcy kilometrów przebiegu, tulejek na korbowodzie, co nie było czymś wyjątkowym dla tego typu silników. Ten nieudany egzemplarz trabanta nie zniechęcił nas w następnych latach, do ponownego występowania o przydział samochodów tej marki. Po latach wspominam z pewnym sentymentem ten pionierski okres moich pierwszych doświadczeń motoryzacyjnych. Na zakończenie historii o trabancie zacytuję stary dowcip, który nawiązuje do epoki realnego socjalizmu. Amerykanin, Niemiec z RFN i Niemiec z NRD stali nad swoimi rozbitymi w wypadku samochodami:

*„Szkoda – powiedział Allan – pracowałem na mojego forda dwa miesiące.*

*Szkoda – dodał Johan – ja pracowałem na mego opla pół roku.*

*Szkoda – jęknął Helmut – pracowałem na mojego trabanta całe życie – i zalał się z rozpaczny łzami.*

*To po co kupowałeś tak drogi samochód??? – krzyknęły równocześnie Allan i Johan”.*

# 10. Moje pielgrzymki na Kresy

## 10.1. W Zbarażu po 50 latach

Kiedy opuszczaliśmy w 1946 roku nasze rodzinne domy na ziemi zbarskiej, byliśmy przekonani, że niedługo tam powrócimy. Upłynęło jednak aż pięćdziesiąt lat, zanim mogłem odwiedzić moje rodzinne strony. Kierował mną wewnętrzny nakaz podyktowany jakimś instynktem powrotu do źródeł. Udałem się więc do biura podróży „Leopolis Express” we Wrocławiu, które specjalizowało się w przewozach Wrocław – Lwów. Początkowo zapisałem się na wycieczkę



po Zachodniej Ukrainie. Okazało się jednak, że planowany termin wyjazdu koliduje z moimi obowiązkami. Czekałem więc na następny termin. Kiedy wreszcie nadszedł termin wyjazdu, dowiedziałem się, że przejazd do Lwowa organizowany jest tylko dla dwóch osób, a ja jestem trzecim uczestnikiem tej wyprawy. Było to w sierpniu 1996 roku.

Już na początku wystąpiły komplikacje. Szef biura podróży zadzwonił, że są problemy z samochodem, dokładniej z dmuchawą i samochód został oddany do remontu. Termin wyjazdu odroczone więc do następnego ranka. Miałem czekać na telefon. Czekałem cały dzień. Dopiero późnym popołudniem pod dom podjechał samochód. Był to moskwicz w stylu kadeta. Ruszyliśmy tylko we dwóch – szef biura jako kierowca i ja. Jechaliśmy przez Opole w kierunku Bytomia. Szef trzymał się raczej środka drogi i opowiadał różne historie, które zdarzyły mu się w czasie licznych podróży. Otóż pewnego razu, kiedy jechał przez województwo opolskie, w pewnej chwili usłyszał za sobą przeciągłe i uporczywe dźwięki klaksonu. Dawało się wyczuć zniecierpliwienie jadącego za nim kierowcy. Kiedy wreszcie ów niecierpliwy kierowca go wyprzedził, zaczął nagle hamować i w końcu się zatrzymał. Spowodowało to groźną sytuację, która mogła zakończyć się nawet tragicznie. Kiedy tak sobie jechaliśmy, nagle usłyszeliśmy z tyłu groźne dźwięki klaksonu, po czym wyprzedził nas samo-

chód, zajechał tuż przed nas i zaczął gwałtownie hamować. Historia z opowiadania niemal się powtórzyła, być może nie było to nic dziwnego w tych okolicach. I tym razem szczęśliwie obyło się bez kolizji. Było ciemno, kiedy przybyliśmy do Bytomia. Po drodze szef wstępował do kilku domów i załatwiał swoje sprawy. Wreszcie po godzinie, a może dwóch ruszyliśmy dalej do Krakowa, gdzie planowaliśmy nocleg. Na miejsce dotarliśmy po północy. W hoteliku wszyscy spali, również nasi dwaj przyszli współpasażerowie. Rano okazało się, że moi współtowarzysze podróży spędzili już jeden dzień w hotelu czekając na nas. Ale trudno, siła wyższa. Po kilku grymasach niezadowolenia pogodzili się z losem. Po śniadaniu ruszyliśmy na wschód. Pogoda dopisywała. Było ciepło i słonecznie. Droga była dobra, ale dość ruchliwa. Pewnie z tego powodu natknęliśmy się na dwa objazdy spowodowane wypadkami drogowymi. To wydłużyło nieco czas naszej podróży, choć moskwicz gnał naprzód, czasami tylko dmuchawa zacinała się z powodu upału. Kierownik wycieczki włączał nam piosenki oraz wesołe lwowskie anegdoty. Okazało się, że sam pochodzi ze Lwowa i ma za sobą przeszłość artystyczną oraz sportową związaną z Polonią Bytom. Droga była doskonale znana naszemu kierowcy, jeździł nią chyba raz w tygodniu, tam i z powrotem. Wiedział doskonale gdzie zatrzymać się na odpoczynek i postój z posiłkiem. Po drodze mijaliśmy rodzinne okolice naszego współtowarzysza podróży – pana w podeszłym wieku. W ten sposób poznaliśmy fragmenty historii rodzinnej moich nowych znajomych – dziadka i – jak się okazało – jego wnuczka z Młodzieży Wszepolskiej. Dziadek, że tak go nazwę, okazał się być sympatycznym człowiekiem. Opowiadał swoje okupacyjne przeżycia i nie tylko. Obecnie mieszkali w Olsztynie. Dziadek chciał odwiedzić swoje dawne miejsce pracy na kolei we Lwowie i pokazać je wnukowi. Wydawało mi się, że jechali po to, aby sprawdzić, czy tablica na ścianie dworca we Lwowie, upamiętniająca jakieś wydarzenie z przeszłości, jeszcze tam jest. Cel mojej podróży był podobny, z tą jednak różnicą, że ja jechałem w miejsce swego urodzenia, aby sprawdzić, czy ścieżki, po których biegałem oraz kamienie, o które się potykałem, jeszcze tam są. Dziadek urodził się w Dęblinie lub okolicach, ale w czasie okupacji niemieckiej znalazł się aż we Lwowie, gdzie pracował na kolei. Po wojnie pracował w Dębickich Zakładach Opon Samochodowych, a kiedy wybudowano podobne zakłady w Olsztynie, został przeniesiony tam jako specjalista. Obecnie – już na zasłużonej emeryturze – mógł wreszcie podróżować. Rodzina nie chciała dziadka samego puścić w podróż, uradzono więc, że towarzyszyć mu będzie wnuczek – jego pupil – młody człowiek, chyba świeżo po maturze, o politycznych zainteresowaniach oscylujących, jak mi się wydawało – wokół Konfederacji Polski Niepodległej (KPN). Opowiedziałem moim współpasażerom o celu mojej podróży. Czas mijał szybko. Mijaliśmy Bochnię, Tarnów, Przeworsk, Przemyśl. Wreszcie zbliżyliśmy się do granicy. Poznałem to po długiej kolejce samochodów. Samochody ustawiono w dwóch rzędach; „normalnym” i „uprzywilejowanym”, jednakowo długich. My stanęliśmy na końcu kolejki uprzywilejowanej. W „normalnej” kolejce stały w większości samochody na rejestracji niemieckiej, maksymalnie obciążone towarami. Byli to „gastarbe-

iterzy” lub może handlarze powracający na łono Ojczyzny. Czekali oni cierpliwie na swoją kolej. Kiedy kolejka ruszała, nie włączali silników, lecz popychali pojazdy do przodu. Zdarzało się, że ktoś wykorzystywał lukę w kolejce i zajmował puste miejsce. Wybuchła wtedy awantura, po czym sprawę załatwiano w sposób polubowny. Tymczasem w kolejce „uprzywilejowanej” sprawy toczyły się podobnie, choć znacznie szybciej. Kiedy przyszła nasza kolej, szef biura wylegitymował się pismem naszego wrocławskiego wojewody, z prośbą o szczególne traktowanie naszej delegacji, udającej się na Ukrainę z misją kulturalną. To podobno wystarczyło, aby przyspieszyć formalności do około dwóch godzin, co było znacznym sukcesem.

Po drugiej stronie granicy nie było kolejki, co nas początkowo bardzo zdziwiło, kiedy jednak w odległości kilometra od granicy zobaczyliśmy rząd kilkudziesięciu samochodów, a po kolejnych kilku kilometrach następną kolejkę samochodów ustawionych porządnie w jednym rzędzie, bez specjalnego uprzywilejowania, zrozumieliśmy, że po tej stronie obowiązuje inny porządek. Samochody te podjeżdżały do granicy tylko na specjalne wezwanie służby granicznej. Jeśli zawartość pojazdu odbiegała od obowiązujących przepisów, zawracano je na sam koniec kolejki, aby pozbyć się trefnego towaru. Zdarzało się, że nieszczęśnicy zawracali po kilka razy. Chodzili słuchy, że porządek ten był przeplatany również łapówkami.

Byliśmy więc na Ukrainie. Jechaliśmy początkowo ulicami miasteczka Mościska. Domy parterowe pamiętały chyba jeszcze czasy przedwojenne. Były trochę zaniedbane, tak jak i u nas często bywa. Mijaliśmy inne bardziej lub mniej znane miejscowości, takie jak: Sądowa Wisznia, Gródek Jagielloński, a w nich domy większe i mniejsze. Kościoły i cerkwie rzucały się w oczy. Cerkwie świeżo odnowione. Kościoły przeważnie odrapane, widać było, że opuszczone lub świeżo odzyskane przez parafian. Ludzi mijaliśmy niewiele. Wreszcie wjechaliśmy do Lwowa. Początkowo przejechaliśmy obok niskiej zabudowy przedmieścia, następnie znaleźliśmy się w centrum. Ulice szerokie. W nowej dzielnicy Lwowa nowe domy w stylu socrealizmu. Potem dzielnice przedwojenne – domy w stylu „europejskim”. Szef postanowił na początek pokazać nam kawał miasta. Kluczyliśmy więc po ulicach i uliczkach. Poznałem z samochodu Politechnikę Lwowską, dawne Ossolineum, Teatr Wielki, Dworzec Główny, kościoły i cerkwie, pomniki oraz fontanny i może coś jeszcze. Ruch był dość duży, a ulice starego miasta wąskie i zapchane. Zaczęło zmierzchać. Resztę zwiedzania przełożyliśmy na dzień następny. Tymczasem podjechaliśmy pod hotel „Inturist”, gdzie zakwaterowano moich współtowarzyszy. Ja natomiast zostałem ulokowany na kwaterze prywatnej, w wielopiętrowym domu z windą w środku. Na piąte piętro weszliśmy jednak pieszo, gdyż z powodu trudności energetycznych w republice, windy nie działały. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, kuchni, łazienki oraz wąskiego korytarza – jak u nas w nowym budownictwie. Gospodyni – Polka, rodem z Żytomierza mieszkała sama. Syn właśnie przyjechał do niej z dziewczyną. Zapowiadał, że może będzie się żenił. Teraz uczył się w szkole zawodowej. Chciał zostać artystą. Żyło im się ciężko, nie starczało pieniędzy na czynsz za mieszkanie oraz na życie. Pani chodziła do kościoła i czytała książeczkę do nabożeństwa oraz książki i gazety przywożone z Polski.

O umówionej godzinie zszedłem na dół, aby udać się do hotelu na powitalną kolację. Szef kazał na siebie chwilę poczekać na dole, a kiedy się zjawił, ruszyliśmy do hotelu. Hotel o współczesnej architekturze nie miał wielu gości; jedynie większa grupa z Polski dała się poznać smętnymi piosenkami podolskimi oraz huculskimi. Obsługa hotelu z ciekawością przyglądała się temu wydarzeniu. Na kolację podano jakieś smażone w tłuszczu potrawy, których raczej już wtedy unikałem. Ustaliliśmy, że następnego dnia dziadek z wnukiem będą w dalszym ciągu zwiedzać miasto, a ja udam się do celu mojej podróży – Zbaraża. Miałem następnego ranka czekać na szefa, który miał mnie podwieźć na dworzec autobusowy. Wieczorem zatelefonowałem do mojej kuzynki Maryjki do Zbaraża z wiadomością, że jestem we Lwowie i następnego dnia chciałbym ją odwiedzić. Oczywiście wcześniej, jeszcze z domu napisałem do nich kartkę o moich zamiarach. W odpowiedzi usłyszałem, że będą na mnie czekać. Zamierzałem tam być tak długo, na ile pozwolą plany moich współtowarzyszy podróży. W tym celu miałem być w kontakcie z panią, u której nocowałem we Lwowie. Następnego ranka zabrałem swoją torbę, w której przywiozłem trochę drobnych upominków i ruszyliśmy. Dworzec był daleko od centrum miasta. Efektowna architektura przypominała czasy świetności budowy komunizmu. Ludzi było dużo, ale przed kasami pusto, ponieważ biletów już nie było lub jeszcze nie było. Na peronie stał autobus gotowy do odjazdu do Tarnopola. Cieszyłem się na tę podróż, że będę bliżej ludzi i poznam zwyczaje mieszkańców tej ziemi. Ale biletu nie miałem. Kiedy autobus podstawiono zrobił się duży ruch. Konduktor wpuszczał pasażerów tylko z biletami, a na placu pozostało jeszcze z dziesięć osób, m.in. dwaj geometrzy z przyrządami pomiarowymi, którzy błagali konduktora, że mają delegację i muszą jechać. Jednak daremny trud. Załoga zdawała się być nieugięta. Szef rozmawiał dyskretnie z kierowcą z drugiej strony kabiny. Ja tymczasem czekałem biernie na bieg wypadków. Wreszcie zabrano ode mnie torbę i umieszczono ją w bagażniku. Szef natomiast poinstruował mnie, jak i kiedy mam wsunąć do ręki konduktora, jeśli dobrze pamiętam, chyba pięćset karbowanów. W ten sposób znalazłem się w autobusie, a konduktor wskazał mi nawet wolne miejsce siedzące. Po chwili do autobusu wsiedli również nie tylko geometrzy z przyrządami, ale również pozostali chętni. Oczywiście każdy lokował się jak mógł, na dodatkowych krzeselkach lub na stojąco. Jak się okazało wielu pasażerów nie jechało daleko i miejsca robiło się coraz więcej. Ja siedziałem obok młodej kobiety z dzieckiem. Starłem się nawiązać rozmowę i zagadnąłem ją po polsku, dokąd się udają. Dowiedziałem się, że jadą do Skały. Odczułem jednak jakąś rezerwę lub niechęć z jej strony. Więcej się nie odzywałem. Droga była szeroka, powiedziałbym, że o wymiarach strategicznych, ale tylko środkowa jej część miała nawierzchnię asfaltową, boki tej drogi były przygotowane chyba dla czołgów i nie były uprzątnięte. Autobus zatrzymywał się na przystankach. Ludzie wysiadali i wsiadali. Ubrani byli raczej skromnie i prosto. Jechaliśmy przez miejscowości, które znałem z historii: Złoczów, Zborów i inne. Miasteczka charakteryzowały się niską zabudową, a domy były kryte, jak mi się zdawało, płytami cementowo-azbestowymi w szarym kolorze. Stwarzało to monotony nastrój, w przeciwieństwie do kolorowych dachów starego Lwowa.

Do Tarnopola dotarliśmy około południa. Ostatni raz byłem tu na dworcu kolejowym przed pięćdziesięciu laty, kiedy z bratem wyszliśmy z wagonu na pobliski rynek. Niestety, połączenie kolejowe czy też autobusowe ze Zbarażem nie było dla mnie korzystne. W okienku informacji pani poinformowała mnie krótko i oschle: bilety na autobus sprzedaje się na godzinę przed odjazdem autobusu. Wiedziałem, że drogę dwudziestu kilku kilometrów mogę ostatecznie przebyć taksówką. Właśnie stała przede mną taksówka, a kierowca wypatrywał potencjalnych podróżnych. Za drogę do Zbaraża żądał dwadzieścia dolarów, następnie obniżył cenę do piętnastu. Taniej mi się nie kalkulowało. A kiedy zapytał, ile mogę zapłacić, a ja odpowiedziałem: dziesięć, kiwnął ręką i natychmiast pojawił się młody człowiek gotowy za tę cenę zawieźć mnie do Zbaraża. Jego samochód marki moskwicz, mocno już wyeksploatowany, czekał w pewnym oddaleniu. Kiedy kierowca otworzył bagażnik, zawahałem się. Poprosiłem, aby zaczekał chwilę, bo muszę kogoś powiadomić, że właśnie jadę. Z torbą obszedłem pobliski budynek i pozwoliłem się w końcu ulokować w samochodzie. Kierowca pracował kiedyś w przedsiębiorstwie transportowym, teraz jednak interes się nie opłacał, pracował więc nielegalnie, na własny rachunek. Prosiłem, aby opisywał mijaną okolicę, gdyż jestem ciekaw tych stron, które opuściłem przed ponad pięćdziesięciu laty i znam je tylko z opowiadania i historii. Musiał to być dzień świąteczny Wniebowzięcia NMP w cerkwi greckokatolickiej, ponieważ wokół świątyn w Tarnopolu gromadziło się wielu wiernych. Po kilkudziesięciu minutach jazdy wjechaliśmy do Zbaraża. Moje emocje rosły gwałtownie. Ich źródłem były dziecięce wspomnienia związane z tym miejscem, wielowiekowe doświadczenia moich rodziców, dziadków i krewnych. Podałem kierowcy adres: ulica Semena Petlury na Przygródki. O ulicę trzeba było pytać, gdyż bardzo niedawno, z okazji uzyskania niepodległości, władze miasta zmieniły nazwy prawie wszystkich ulic. Mało kto więc orientował się w nowej topografii miasta. W końcu znaleźliśmy dom mojej kuzynki. Powitali mnie serdecznie, Maryjka i jej mąż Eugeniusz. Trochę się też wzruszyłem. Było wczesne popołudnie. Zjedliśmy obiad: barszcz ukraiński oraz danie mięsne z ziemniakami, ciasto, napoje. W czasie posiłku rozmawialiśmy o rodzinie i bliskich. Wreszcie ustaliliśmy plan mego pobytu na najbliższe parę godzin. Było mało czasu. Szwagier Eugeniusz wyprowadził z garażu starego zaporozca i ruszyliśmy najpierw na cmentarze.

Cmentarze położone były w części północno-zachodniej miasta, w kierunku stacji kolejowej. Cmentarz polski sprawiał wrażenie opuszczonego i nie odwiedzanego przez bliskich. Gęste zarośla, krzewy i drzewa oplatały stojące jeszcze lub obalone figury, krzyże i nagrobki. Na płytach kamiennych, oprócz płaskorzeźby patrona osób zmarłych, znajdowały się niezatarte znajome mi nazwiska: Burakowski, Stankiewicz, Górgurewicz, Tokarczuk. Kiedyś mieszkańcy tej ziemi. Po dłuższych poszukiwaniach, w środkowej części cmentarza znalazłem nagrobek mego dziadka Antoniego Szustakowskiego. Stał on w zaroślach, lekko pochylony, ale w nienaruszonym stanie, tylko nieco pokryty mchem. Pomnik zwieńczony był prostym krzyżem, a na cokole znajdowała się płaskorzeźba św. Antoniego. Przed figurą znajdowały się dwie płyty kamienne.



Kościół oo. Bernardynów w Zbarażu, 2000 r.



Cmentarz polski w Zbarażu, 2009 r.



Pod jedną z nich spoczywały prochy mego dziadka, druga przeznaczona była dla babci Łucji. Ta jednak znalazła swoje miejsce ostatecznego spoczynku na cmentarzu w Ścinawce Dolnej na Dolnym Śląsku. W pobliżu stały wysokie figury na mogiłach naszych krewnych: Tokarczuków, Gurgurewiczów i Stockich. Niektóre z nich nosiły ślady uszkodzeń. Po latach, dzięki pięknej akcji ratowania cmentarzy, Państwo Alina i Ireneusz Skrzypczakowie oraz młodzież ze szkoły w Łańcucie podjęli się pracy porządkowania i inwentaryzowania cmentarza w Zbarażu. W efekcie tej akcji odnaleziono wiele zapomnianych mogił oraz podniesiono krzyże, m.in. mego pradziadka Jana Szustakowskiego.

Na sąsiednim cmentarzu odnaleźliśmy nagrobki dziadków i krewnych ze strony mojej mamy: Łukasza Komendata oraz jego żony Marii Komendat z Gurgurewiczów. Zgodnie z moim oczekiwaniem, cmentarz ukraiński był zadbany, a na wielu mogiłach stały nagrobki z podobiznami zmarłych o prawie naturalnych rozmiarach. Mogiły otaczały często metalowe ogrodzenia. Wszystkie nagrobki były wypielęgnowane, a świeże kwiaty wskazywały na częste odwiedziny bliskich. Następnego dnia odwiedziliśmy jeszcze cmentarz położony w Załużu. Tam odnaleźliśmy nagrobki pradziadka Komendata i jego krewnych z XIX wieku. Z oddali oglądaliśmy urwisko – miejsce starego zamku w Starym Zbarażu. Późnym popołudniem odwiedziliśmy ulicę Długą. Na miejscu naszej starej chaty stał nowy parterowy dom. Naprzeciw znajdował się budynek, który przypominał naszą stajnię. Z pozostałych budynków gospodarstwa, ani z sadu nie pozostał żaden ślad. Przed domem, na skarpie jak dawniej, stała nowa figura Matki Boskiej ozdobiona godłem Ukrainy. W tym miejscu, do 1946 roku, spędziłem 12 lat mojego dzieciństwa. Było mi smutno...

Moja dalsza droga wiodła przez cerkwie, kościół, szkołę oraz zamek zbaraski. Obie cerkwie greckokatolickie – duża i mała – były całkowicie odnowione. Jaskrawe kolory ikon oraz złocenia ikonostasu świeciły jak nowe. Kościół rzymskokatolicki natomiast, na zewnątrz odbudowany, wewnątrz przedstawiał ruinę; nawa główna i boczne obstawione były rusztowaniami. Ściany popękane. Strop groził zawaleniem. Brakowało figur świętych. Wszystko brudne i szare. Ministranci zaprowadzili mnie na wieżę kościoła, stamtąd wszedłem na gzyms górnej części kościoła, co nie było rozsądne z mojej strony. Stamtąd mogłem dostrzec oplakany stan organów. Odkryłem, że ambona znajduje się po lewej stronie nawy głównej – a wydawało mi się, że jest odwrotnie. Natomiast ku mojemu zaskoczeniu, na ścianie nawy głównej kościoła zobaczyłem zachowaną tablicę poświęconą Adamowi Mickiewiczowi, a na niej napis po polsku: „Na pamiątkę Adamowi Mickiewiczowi w setną rocznicę urodzin 1798–1898”. Zakrystia – obszerne pomieszczenie o łukowym sklepieniu – była w dobrym stanie. Tutaj spędzałem kiedyś trochę czasu, przygotowując się do nabożeństw majowych. Do niedawna była tu łaźnia dla pracowników zakładu „Kwantor”. Na podwórku klasztornym znajdowała się kaplica, gdzie tymczasem koncentrowało się legalne życie wiernych parafian zbaraskich. Kościół wymagał ogromnych nakładów pracy i finansów. Wcześniej, w domu, wpłacałem już pewne kwoty na odbudowę zbaraskiego ko-

ścioła, tu na miejscu wrzuciłem jedynie symbolicznego dolara do skarbonki kościelnej, tak, jak zresztą wcześniej do skarbonki cerkiewnej. Właściwe potrzeby świątyni można było ocenić dopiero po zobaczeniu na własne oczy tego żalostnego obrazu ruiny kościoła. Mówiono mi, że obecnie również Ukraińcy uczęszczają do tego kościoła, przynajmniej w święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc.

W parku zamkowym, wśród starych lip, napotkaliśmy skromny obelisk – pomnik poświęcony Adamowi Mickiewiczowi. Na jego ścianach widniały wyrte tytuły dzieł wieszczą oraz napis: „Adamowi Mickiewiczowi w rocznicę urodzin rodacy”. Przed II wojną światową stał on w centralnej części miasta, tam gdzie dzisiaj stoi pomnik Bogdana Chmielnickiego. Na obrzeżach parku, w miejscu skąd roztaczał się widok na miasto, napotkaliśmy dużą tablicę poświęconą tym wszystkim mieszkańcom ziemi zbaraskiej, którzy zginęli za wolną Ukrainę.

Do zamku prowadziła droga przez fosę i charakterystyczną bramę obronną, po przejściu której otwierał się widok na obszerny dziedziniec, zamknięty po bokach murami oraz pałacem. Pałac był odbudowany, jak mi się wydawało, w stylu renesansowym. Na dziedzińcu znajdowała się studnia, słynna z powodu dużej głębokości; obecnie chyba zasypana. Do pałacu dostaliśmy się bocznym wejściem. Na piętro prowadziły obszerne schody. Na ścianach widniały malowidła współczesne: herb Zbaraża – św. Jerzy na koniu walczący ze smokiem, obok portret księcia Jerzego Zbaraskiego. Największym pomieszczeniem zamku była sala teatralna. Dwie małe sale muzealne poświęcono historii – zabytkowym narzędziom i naczyniom używanym w przeszłości, jeszcze za moich czasów na ziemi zbaraskiej. Wyeksponowano tutaj kosy, cepy, dzieże, cebrzyki, miski, łyżki drewniane itd. Druga sala poświęcona była szczególnym wydarzeniom historii tej ziemi: pochodowi Chmielnickiego przez Korsuń, Żółte Wody, Piławce i Zbaraż. Z historii najnowszej prezentowano szlak pochodu UPA z Wołynia na zachód ku Ziemi Tarnopolskiej. Przewodnik prezentował ekspozycje z wielką satysfakcją i dumą.

Wieczorem otrzymałem telefoniczną wiadomość ze Lwowa, że moi towarzysze podróży zatęsknili za domem i następnego dnia mam stawić się na kwaterze we Lwowie. Moi gospodarze załatwili mi przez krewnych w Tarnopolu bilet i miejscówkę w pociągu relacji Kijów – Lwów i odwieźli samochodem do Tarnopola. Mijaliśmy niektóre znajome mi miejsca w Zbarażu, Przedmieście Tarnopolskie i ulicę Długą, Wygon w Zbarażu, Czernichowce itp. Przekroczyliśmy rzeczkę Gnieznę i zajęchaliśmy na dworzec w Tarnopolu. Po krótkim oczekiwaniu na peron zajęchał pociąg. Po pożegnaniu z krewnymi znalazłem się w wagonie. Wszystkie miejsca były zajęte. Był ciepły dzień. Niektórzy podróżni spali. W wagonie panowała atmosfera leniwej sjęsty. Nie znalazłem swego miejsca, ale udało mi się usiąść na skrawku wolnego siedzenia, za cichą aprobatą jego właściciela. Tak dojechałem do Lwowa. Sylwetkę dworca we Lwowie rozpoznałem na podstawie przedwojennych ilustracji; wydawało mi się, że nic się nie zmieniła od tamtych czasów. Wnętrze dworca sprawiało wrażenie ciasnego. Przed dworcem było dużo ludzi. Po mnie nikt nie wyszedł. Było tam też wielu tak-

sówkarzy, którzy wręcz natarczywie starali się narzucić swoje usługi. Wybrałem jednak autobus miejski, który dziwnym trafem podwiózł mnie prawie pod dom, gdzie mieszkałem. Byłem szczęśliwy, że udało mi się być w krainie mego dzieciństwa w tak krótkim czasie i odwiedzić rodzinę oraz bliskich zmarłych na cmentarzu i szczęśliwie powrócić do moich towarzyszy. Rankiem następnego dnia pożegnaliśmy Lwów oraz Ukrainę udając się do domu – do Polski. Podróż minęła bez niespodzianek. Wieczorem dotarliśmy do Wrocławia. W pamięci pozostały stare i świeże wspomnienia z Kresów.

## 10.2. Rekonsekracja kościoła oo. Bernardynów w Zbarażu

Po raz drugi odwiedziłem kościół w Zbarażu 3 września 2000 roku, w dniu odnowionej konsekracji kościoła. Wnętrze kościoła znacznie zmieniło swój wygląd; w prezbiterium stał ołtarz główny z Chrystusem na krzyżu, a w bocznym kopia obrazu Matki Bożej Zbaraskiej, ufundowana staraniem ks. abpa Ignacego Tokarczuka. Pozostałe ołtarze boczne świeciły pustką, a ściany były pomalowane na biało. Tylko nieliczne polichromie zachowały się w prezbiterium. Fragmenty rusztowania wskazywały na prowadzone jeszcze prace remontowe. W uroczystościach wzięli udział metropolita lwowski, ks. abp Marian Jaworski, ks. Śliwiński z Rzymu, proboszcz parafii o. Maksymilian Żydowski, proboszczowie cerkwi w Zbarażu i Łubiankach Wyższych oraz wielu innych duchownych wyznania rzymskokatolickiego oraz grekokatolickiego i prawosławnego. Liczni miejscowi wierni różnych obrządków oraz przyjezdni z Polski zapelnili trzy nawy kościoła. Nastrój stał się uroczysty, gdy nabożeństwo się zaczęło, a wierni podchwycili zaintonowaną pieśń „*Pod Twoją Obronę*”. Ten moment był bardzo wzruszający. Nie tak dawno jeszcze zdawało się, że taka chwila już nigdy nie nastąpi. Niestety, nikt z mojej bliskiej rodziny nie doczekał tego upragnionego momentu. Dzisiaj kościół żyje, wspierany przez nielicznych parafian. Do Zbaraża i jego kościoła udają się co roku pielgrzymki byłych parafian oraz wycieczki z Polski.

Z rewizytą pasterską przyjeżdżają też do nas oo. bernardyni ze Zbaraża: o. Maksymilian, a ostatnio o. Longin oraz o. Berard i troskliwie zbierają ofiary na odbudowę świątyni. Służbę duchową oo. bernardynów w Zbarażu wspiera Familijne Stowarzyszenie Zbarażan z prezesem dr. Stanisławem Tokarczukiem. W roku 2003 Stowarzyszenie wmurowało w kościele pamiątkową tablicę poświęconą 60 rocznicy mszy Prymicyjnej ks. abpa Ignacego Tokarczuka. Natomiast w roku 2006 Stowarzyszenie ufundowało dla kościoła pamiątkową tablicę z okazji 160 rocznicy urodzin i 90 rocznicy śmierci Henryka Sienkiewicza, laureata Nagrody Nobla i autora trylogii, sławiącej obronę Zbaraża w 1649 roku.

Działalność parafii rzymskokatolickiej w Zbarażu jest dzisiaj utrudniona, ponieważ kościół traktowany jest przez władze miasta jako obiekt kulturalno-turystyczny, oddany w użytkowanie parafii w formie dzierżawy. Dzisiaj w Zbarażu żyje tylko około kilkuset rzymskich katolików, którzy przyznają się do polskiego pochodzenia i uczęszczają do kościoła. Niektórzy z nich, ku zaskoczeniu opinii publicznej, ujawnili swoją przynależność do kościoła pełniąc, jeszcze całkiem niedawno, funkcje aktywistów partyjnych. Czy zdołają oni wraz z kapłanami podtrzymać stare tradycje kościoła rzymskokatolickiego w Zbarażu?

### 10.3. Pielgrzymka na Kresy, 12–19 lipca 2005 r.

Pielgrzymkę Maryjną na Kresy w dniach 12–19 lipca 2005 r. można było uznać za wycieczkę historyczno-krajoznawczą. Oficjalnie pielgrzymkę zorganizowała społeczność Bolesławca, natomiast uczestnikami byli mieszkańcy województwa dolnośląskiego. W programie pielgrzymki były następujące miasta i miasteczka kresowe: Podkamień, Poczajów, Krzemieniec (nocleg), Zbaraż, Wiśniowiec, Tarnopol (nocleg), Trembowla, Buczacz, Jazłowiec (nocleg), Kamieniec Podolski, Kołomyja, Stanisławów (nocleg), Lwów (nocleg). W rzeczywistości program wyjazdu uległ pewnej zmianie. Ostatecznie nie byliśmy w Trembowli, Kołomyi i Stanisławowie. Była to moja trzecia z kolei podróż na Kresy po 59 latach od czasu opuszczenia rodzinnego domu w Zbarażu.

Autokar z Bolesławca przez Lubin i Wrocław ruszył na wschód 12 lipca 2005 roku. W autokarze panowała miła atmosfera. Wieczorem odtwarzano film z poprzednich pielgrzymek na Kresy. O godzinie dziewiątej odśpiewaliśmy Apel Jasnogórski i inne pieśni religijne oraz świeckie. W podobnej atmosferze przebiegała cała pielgrzymka. Późnym wieczorem stanęliśmy na granicy w Medyce, skąd po dwóch godzinach oczekiwania i odprawy paszportowej ruszyliśmy dalej do Lwowa. Lwów nie był celem pierwszego dnia pielgrzymki, toteż poznawaliśmy miasto, nie wysiadając z autokaru. Jako pierwszy na trasie naszej dalszej podróży znalazł się zamek w Olesku, w którym urodził się król Jan III Sobieski.

**Olesko.** Na teren zamku wprowadził nas funkcjonariusz, po uprzednim pobraniu opłaty wejściowej. Był wczesny ranek, przed oficjalnymi godzinami otwarcia obiektu. Nie zdziwiło więc nas ponaglanie urzędnika, aby zwiedzanie przebiegło szybko. Kiedy opuszczaliśmy obiekt, inny urzędnik zrobił awanturę o to, że zwiedzanie odbyło się bez powiadomienia administracji obiektu. Można było przypuszczać, że nasz funkcjonariusz usiłował dorobić sobie do podstawowej pensji parę dodatkowych hrywien. Podziwialiśmy więc piękne widoki okolicy z murów zamku. Być może ten szeroki horyzont miał również wpływ na poglądy i postawę przyszłego króla Jana III Sobieskiego.

**Podkamień.** Następnym etapem podróży było sanktuarium Matki Boskiej i były klasztor Dominikanów w Podkamieniu. Podkamień zawdzięcza swą sławę temu właśnie klasztorowi, którego początki sięgają 1245 roku. Ród Sobieskich, szczególnie król Jan III odnosił się z wielkim pietyzmem do tego miejsca. Jego intencją było stworzenie tu drugiej Częstochowy. Cały zespół klasztorny otaczał wysoki i szeroki na kilka metrów mur w kształcie gwiazdy. Przed wojną sanktuarium gromadziło tysiące pielgrzymów. Moi rodzice również pielgrzymowali kiedyś do tego sanktuarium. Jedną z atrakcji tej okolicy był kamień zwany diabelskim. Dość łatwo było na niego wejść, ale znacznie trudniej zejść, bywało więc, że ofiary wspinaczki głośno szlochały podczas próby powrotu z diabelskiego kamienia na ziemię. Ludowa legenda głosi, że diabły niosły ogromne kamienie, aby zniszczyć kalwarię, ale o świcie, na dźwięk piania kogutów, upuściły je w przypadkowych miejscach. Z daleka zobaczyliśmy wieżę kościoła i mur kamienny otaczający klasztor. Podchodziliśmy pod górę, mijając po drodze kapliczkę z figurą Matki Bożej. Po przekroczeniu bramy weszliśmy na obszerny dziedziniec sanktuarium. Po lewej stronie znajdowała się świątynia, po prawej – na wysokiej kolumnie figura Matki Bożej. Za kościołem znajdowało się sanatorium. Prawdziwą ruinę zobaczyliśmy wewnątrz kościoła, który jest obecnie remontowany. W części tylnej sanktuarium znajdowała się kaplica cerkiewna, w której obecnie odprawia się nabożeństwa. Pod koniec okupacji niemieckiej w Podkamieniu rozegrał się dramat<sup>1</sup>. Nasilające się napady banderowców zmusiły polską ludność z okolicznych wsi do szukania schronienia w murach klasztornych. W okresie poważnych zagrożeń w klasztorze chowało się do 2 tys. osób. W dniu 11 marca 1944 roku niemiecki garnizon opuścił Podkamień. Zbliżała się ofensywa wojsk radzieckich. W ślad za Niemcami zaczęli w popłochu wyjeżdżać z Podkamienia liczni uciekinierzy z Wołynia i okolic. W klasztorze pozostało ok. 500 Polaków. Dwunastego marca duży oddział nacjonalistów ukraińskich wzmocniony siłami z „Ukrainische Hilfpolizei” wtargnął podstępnie w obręb murów klasztornych. Rozpoczęła się krwawa masakra. Zginęło wielu ludzi. Słynący cudami obraz Matki Bożej ocalał. Jeszcze wiosną 1944 roku przewieziono go do pobliskiego Krzemieńca, później do Lwowa, a stamtąd do Krakowa i w końcu do kościoła Dominikanów we Wrocławiu. Miejmy jednak nadzieję, że w przyszłości sanktuarium w Podkamieniu będzie znowu miejscem pielgrzymek, mimo granic fizycznych i duchowych.

**Poczajów.** Kolejnym etapem naszej pielgrzymki był Poczajów. Znajduje się tutaj jedno z najsłynniejszych sanktuariów wołyńskich pod wezwaniem NMP. Jego początki sięgają XIV wieku, kiedy to prawosławni mnisi zamieszkali w pieczarach tamtejszego wzgórza. Najsłynniejszym przełożonym klasztoru był mnich Hiob, późniejszy błogosławiony. Po unii brzeskiej w sanktuarium przebywali Bazylianie. Kiedy z powodu nieuzyskania rozvodu, Mikołaj Bazyli Potocki, starosta kaniowski, zmienił

---

<sup>1</sup> Podkamień, Internet: <http://rzecz-pospolita.com/podkamien>.

wyznanie na grekokatolickie, postanowił rozbudować sanktuarium. Pod koniec życia sam w nim zamieszkał. Dzisiaj świątynia i klasztor są w obrządku prawosławnym pod wpływową opieką patriarchatu moskiewskiego. Z uwagi na to, że zwierzchnikiem cerkwi moskiewskiej jest prezydent Rosji, Ławra Poczajowska jest rosyjską enklawą na Ukrainie, gdzie nie obowiązuje czas lokalny, lecz moskiewski.

**Krzemieniec.** Krzemieniec leży na pograniczu Wołynia i Podola nad rzeką Strypą. Jak większość miast pogranicza ma długą historię. Pierwotnie gród książąt ruskich, następnie należał do Litwy, a od unii lubelskiej w 1569 roku został przyłączony do Korony. Krzemieniec był wtedy miastem powiatowym województwa wołyńskiego. Elementem charakterystycznym krajobrazu Krzemieńca jest góra królowej Bony z ruinami zamku. Z góry obserwowaliśmy leżące w dole miasto i okolice. W Krzemieńcu działało, założone przez Tomasza Czackiego (1805), słynne Liceum Krzemienieckie, w którym kształcił się m.in. Juliusz Słowacki.

W 1919 roku Krzemieniec znalazł się ponownie w granicach II Rzeczypospolitej. W kościele farnym, zbudowanym na wzór kościoła św. Katarzyny w Petersburgu, podziwialiśmy pomnik Juliusza Słowackiego oraz liczne ślady historii.

**Zbaraż.** Dalej pielgrzymka podążała przez Wiśniowiec i Zbaraż. Zamek w Wiśniowcu został założony przez Dymitra Korybuta, wnuka Wielkiego Księcia Litewskiego Gedymina, nad rzeką Horyń. Najtragiczniejszy los spotkał Wiśniowiec w lutym 1944 roku, kiedy polska ludność miasteczka oraz ojcowie Karmelitanie, szukając schronienia w zabytkowym klasztorze, ufundowanym przez Jeremiego Michała Wiśniowieckiego w 1655 roku, zostali w bestialski sposób wymordowani i spaleni przez banderowców. Spłonął wówczas kościół oraz mauzoleum Wiśniowieckich<sup>2</sup>. W Zbarażu wraz ze Stanisławem Tokarczukiem opuściłem naszych towarzyszy pielgrzymki na dwa dni, które poświęciliśmy na zwiedzanie ziemi zbarskiej. Zbaraż i ziemia zbarska to nasza „mała ojczyzna”, miejsce naszych przodków i naszego urodzenia. Zatrzymałem się w domu mojej kuzynki. Następnego dnia wyruszyliśmy na zwiedzanie okolic Zbaraża. Polecony przez miejscowego księdza kierowca starej łady zgodził się wozić nas po okolicy. Ten młody człowiek, z zawodu fotograf twierdził, że potrafi robić wszystko, ale wykonywał doraźnie drobne prace przy kościele. Najpierw ruszyliśmy starym traktem do Łubianek Wyższych. Droga była w dobrym stanie. Po kilku minutach dojechaliśmy do Łubianek Niższych, po czym skręciliśmy na Łubianki Wyższe. Tu droga była fatalna i tylko dzięki suchej pogodzie przejezdna. Mijaliśmy zabudowania wiejskie otoczone bujną zielenią drzew owocowych. Wszystkie budynki były kryte cementowymi płytami. Nigdzie nie było widać już słomianych strzech. Gdziekolwiek pasły się gęsi i brodziły w kałużach kaczkę. Wydawało się, że ludzie żyją tu szczęśliwie i dostatnio, chociaż pojęcia te mają względne znaczenie. Według obowiązującego obecnie prawa przydzielono ludziom po dwa hektary pola, które uprawiają oni na ogół własnymi siłami, bez maszyn i siły pociągowej. Celem naszej

---

<sup>2</sup> Wiśniowiec, Internet: <http://www.republika.pl/kdajczak/wisniowiec>.

wyprawy była dziękczynna figura NMP, ufundowana przez rodziców ks. abpa Ignacego Tokarczuka. Figura ukryta przez mieszkańców Łubianek w okresie komunizmu, po konserwacji została ustawiona ponownie w pierwotnym kształcie na pierwotnym miejscu, z autentycznie polskim napisem:

ZA STARANIEM SZYMONA TOKARCZUKA  
I ŻONY JEGO MARYI

1928

\* 1950–1992 \*

Dwie napotkane starsze kobiety z sąsiedztwa wydawały się sprawować bezpośrednią opiekę nad tym pomnikiem. Pytały, dlaczego arcybiskup nie odwiedza swoich stron rodzinnych? Zdawały się być szczerze przyjazne i życzliwe. Na miejscu starego domu Tokarczuków stał nowy dom, a drzewa owocowe w sadzie też wydawały się być już powojenne. Jedynie piwnica, zwana kiedyś lochem, była – jak twierdziły kobiety – ta sama. Za kolejny cel obraliśmy Czahary Zbaraskie. Do Czahar jechaliśmy przez Zbaraż, Maksymówkę i Kretowce. Wielu byłych polskich mieszkańców tych miejscowości osiedliło się w 1945 roku m.in. w Ustroniu i Żeliszowie w woj. dolnośląskim. Byliśmy ciekawi świadectw ich pobytu na tych ziemiach. Po drodze mijaliśmy mokradła Pizuńczaka, gdzie w czasie wojny pasłem krowy. Kretowce to wieś zamieszkała przed wojną wyłącznie przez Polaków. Miejscowość ta wyróżniała się tym, że działała tutaj organizacja AK i dobrze zorganizowana samoobrona przeciw bandom UPA. We wsi zastaliśmy bardzo dobrze zachowany kościół – obecnie cerkiew unicką z pięknie odmalowanym ikonostasem. Dalej przed nami znajdowała się Maksymówka. Maksymówka to miejscowość leżąca na ważnej linii kolejowej z Tarnopola do Podwołoczysk i dalej na wschód. Z dala na wzgórzu widniała cerkiew grekokatolicka i ruiny kościoła rzymskokatolickiego. Po obu stronach kościoła stały figury świętych ufundowane jeszcze staraniem Sokołów Polskich Ameryki w 1912 roku. W pobliżu, w gąszczu krzewów i drzew, znajdował się cmentarz polski. Odczytanie nazwisk na nagrobkach sprawiało duże trudności: Tokarczuk, Kaprawy ... Za nami w oddali był widoczny na horyzoncie, na tle kolorowych pól, Zbaraż. Odwiedziliśmy też stację w Maksymówce, z którą związane były nieraz losy niektórych okolicznych mieszkańców. Czahary Zbaraskie to pięknie położona miejscowość z rozrzuconymi zabudowaniami. Odnaleźliśmy bez trudu miejsce zamieszkania wujostwa Zofii i Wojciecha Lewandowskich. Żyli w sąsiedztwie cerkwi. W czasie wojny spędziłem u nich kilka dni, kiedy spodziewane było wielkie bombardowanie Zbaraża, a mama dla bezpieczeństwa wysłała mnie na wieś. Bombardowanie trwało krótko i po kilku dniach wróciłem do domu.

W tym czasie bawiłem się z Władkiem Szczęchem, strzelając z łuku do wszystkiego, co się ruszało. Zdarzyło się, że celując za stodołą w kota, trafiłem w rękę mego kolegi. Na szczęście ręka się zagoiła, a mnie odesłano do domu. Na byłej posiadłości

wujka spotkaliśmy obecnych gospodarzy. Gospodarz przesiedlony po wojnie z Polski, dysponował dwoma hektarami pola, ale na życie zarabiał jeszcze dodatkowo w inny sposób. Z wiadra przy studni głębinowej napiliśmy się chłodnej wody. Zdaniem gospodarza smak wody w tej studni był kiedyś lepszy. Mój towarzysz odwiedził w międzyczasie miejsce swojego urodzenia. Nie zostało tam wiele śladów po byłych gospodarzach tej ziemi.

Z Czahar Zbaraskich ruszyliśmy w kierunku Stryjówki. Słyszałem kiedyś od ojca, że miejscowość ta przed wojną była zamieszkiwana przez Polaków. W rzeczywistości mieszkało tam też sporo Ukraińców<sup>3</sup>. Zawsze byłem ciekaw jak polska społeczność zasiedlała południowo-wschodnie Kresy. Nie spotkałem na ten temat wielu udokumentowanych materiałów. Ogólnie wiadomo jedynie, że urodzajne ziemie na wschodzie zachęcały do przesiedlenia się mieszkańców z piaszczystej ziemi Mazowsza na żyzne pola Ukrainy. Częste napady Tatarów i Turków oraz liczne wojny powodowały brak siły roboczej i sprzyjały migracji na to miejsce ludzi z różnych stron Europy. Tym bardziej, że były to bardzo piękne ziemie. Przed nami rozpościerało się przedpole Stryjówki. Pofałdowany łagodnie krajobraz poprzecinany wąskimi pasmami uprawnych pól. Po lewej stronie napotkaliśmy cmentarz.

W gąszczu drzew i krzewów, obok cmentarza ukraińskiego, znaleźliśmy polski cmentarz. Przecieraliśmy ścieżki przez ten gąszcz. Widać było, że rzadko ktokolwiek tu zaglądał. Zrobiliśmy zdjęcia kilku nagrobków z nazwiskami Kraśnickich, Barylskich, Fedora Wałowa i innych. Jest ich wiele. Opuszczone trwają w zapomnieniu na przekór losowi. Wszędzie tam, gdzie cmentarzom towarzyszyły zarośla, można się było spodziewać cmentarza polskiego. Trzeba jednak przyznać, że na ogół nie były one zdewastowane. Za cmentarzem zjechaliśmy w dół, a następnie przez mostek nad strumykiem stromym podjazdem do wioski. Miejscowość miała wiele uliczek, przy których znajdowały się zabudowania, wszystkie podobne do siebie. Gdzieniedzie tylko widzieliśmy domy z okresu przedwojennego. Oczywiście żadnej słomianej strzechy. Te czasy już minęły. Pytając o Fedorkiewiczów trafiliśmy do domu kuzynki mego internetowego znajomego z Nowego Jorku – pana Janka. Jego rodzice wyemigrowali po wojnie wraz z innymi Polakami na zachód do Polski. Sam pan Jan urodził się na Ziemiach Zachodnich i wyjechał z Polski do Stanów Zjednoczonych w dwunastym roku życia. Mimo to, obecnie żyje bogatą wiedzą na temat tej ziemi, jak gdyby tam wyrósł. Dariusia i jej mąż Petro Fedorkiewicz oraz ich córka Marusia wraz dziećmi przyjęli nas bardzo serdecznie. Kiedy czytałem im fragmenty internetowych listów pana Jana, byli bardzo poruszeni naszymi odwiedzinami i informacjami o ich krewnym z Ameryki. Zostaliśmy poczęstowani wódką, zakąską i ciastem. Gospodarze poinformowali nas, że dwa tygodnie wcześniej odwiedziła ich siostra pana Jana, Henryka z mężem. Gościom bardzo się podobało na Ukrainie. Na naszą prośbę pan Petro pomógł nam zapoznać się z topografią Stryjówki.

---

<sup>3</sup> B. Łukasiewicz, *Wspomnienia ze Stryjówki koło Zbaraża*, wydanie II, nakładem autora, Szczecin 2000 r.



Z braku czasu nie poznaliśmy wszystkiego, o czym pisał nieraz pan Jan z Nowego Jorku. Po drodze odwiedziliśmy kilka domów, o których nie jestem dzisiaj w stanie wiele napisać. Spotkaliśmy tam starsze panie, Józefę – z domu Robak, żonę Andrzeja Szarego, szwagra Henryka Ganowskiego oraz Emilię Wysocką, sąsiadkę Ganowskich: Kazimierza, Franciszka i Stanisława. Mam nadzieję, że niczego tu nie pomyliłem. Po drodze widzieliśmy plac, gdzie kiedyś stał kościół, a po którym nie pozostał najmniejszy ślad. Z dała widniały okazałej wielkości kopuły nowej cerkwi. W drugim końcu wioski dotarliśmy do domów Ganowskich, Franciszka i Kazimierza. Jeden z nich był mocno zdewastowany, ale jego lewe skrzydło wyglądało na świeżo odbudowane z kamienia i cegły. Drzwi i okna prawego skrzydła domu wskazywały na jego dawniejsze pochodzenie. Potem odwiedziliśmy jeszcze dom Łukasiewiczów. Stał on pusty w gąszczu drzew, a za nim rozciągał się zadrzewiony park. Spacerował tam pan Petro Bereza, krewny lub znajomy pana Zdzisława Tarnowskiego z Wałachówki. Ucieszył się ze spotkania i prosił o przekazanie pozdrowień panu Tarnowskiemu, autorowi wspomnień pod tytułem „Ze Zbaraża”, obecnie mieszkańca Zielonej Góry. Po tym pożegnaliśmy Stryjówkę i udaliśmy się z powrotem do Zbaraża. Po obiedzie ruszyliśmy na cmentarz rzymskokatolicki w Zbarażu. W gąszczu drzew i krzewów odszukiwaliśmy nagrobki naszych przodków, krewnych i znajomych, zapalaliśmy znicze i odmawialiśmy pacierze za zmarłych. Mimo woli nasuwała się refleksja, że cmentarze naszych bliskich zachowały się na Kresach w dość dobrym stanie bez opieki człowieka, zdane jedynie na łaskę Bożą. Dzisiaj, obok wielkich nekropolii, Lwowa i Wilna, stanowią one świadectwo polskiej obecności na ziemi ukraińskiej i są spuścizną kultury oraz zabytkiem architektury. Należałoby zatem zadbać o ochronę prawną tych miejsc, ponieważ w przeciwnym razie polskie cmentarze długo się nie utrzymają, chociażby z braku miejsc na pochówki obecnych mieszkańców tamtych ziem.

O osiemnastej wysłuchaliśmy mszy świętej w kościele oo. Bernardynów, a następnie zostaliśmy zaproszeni przez księdza proboszcza na plebanie, na lampkę wina. Dzień zakończyliśmy zwiedzaniem miejsca pierwotnej siedziby książąt Zbaraskich, na Starym Zbarażu. Stary zamek znajdował się na stromym zboczu wzniesienia. W dawnych czasach został on zdobyty i zniszczony przez Tatarów. W czasach sowieckich resztki muru twierdzy zostały zużyte na budowę dróg. W miejscu dawnej twierdzy stoi obecnie kamień z wmurowaną tablicą informującą o historii tego tragicznego miejsca. Następnego dnia udałem się jeszcze raz wraz kuzynką na cmentarz w poszukiwaniu dalszych grobów krewnych, po czym powróciliśmy do kościoła na nabożeństwo o godzinie jedenastej. W tym czasie autobus z częścią pielgrzymów powrócił do Zbaraża. Wszyscy spotkaliśmy się w kościele. Po nabożeństwie poszliśmy na zamek w Zbarażu. Trwały tam prace rekonstrukcji murów i bramy wjazdowej. Do zamku wchodziliśmy bocznym wejściem.

W salach zamkowych zwiedzaliśmy liczne wystawy i ekspozycje. Szczególną uwagę zwracały ekspozycje sprzętów, warsztatów i wyrobów rękodzielniczych tej ziemi oraz rzeźby Johana G. Pinzela i Antoniego Osieńskiego, pochodzące prawdopo-

dobnie z kościoła oo. Bernardynów w Zbarażu. Na ścianach pałacu zamkowego wisiały portrety książąt Zbaraskich, a także Chmielnickiego i innych Kozaków oraz plany miasta i słynnej obrony zamku w 1649 roku. Na uwagę zasługiwał fakt, że w ciągu ostatnich kilku lat znacznie zwiększyła się liczba ekspozycji, dzięki temu wzrosła również ranga zamku jako ośrodka kulturalnego i turystycznego miasta. Domyślam się, że obecni mieszkańcy Zbaraża mają mieszane uczucia, co wynika z faktu, że z jednej strony sam Chmielnicki wraz z Tatarami na czele ogromnej masy ludzi szturmował zamek, z drugiej zaś załoga broniła się skutecznie i Chmielnicki nie zdobył wówczas zbaraskiego zamku. Żegnałem Zbaraż żałując, że nie zobaczyłem i nie poznałem tego wszystkiego, o czym często wspominam – nie odnalazłem dawnego Zbaraża mojego dzieciństwa. Obiecałem sobie, że jeszcze będę tu wracać przynajmniej we wspomnieniach.

**Tarnopol.** Pamiętam, jak rankiem w 1946 roku, emigrując na zachód, wylegliśmy z wagonów towarowych na pobliski ryneček w Tarnopolu, gdzie sprzedawczyni wołała „*gariaczeje moloko*”. Później byłem jeszcze w Tarnopolu w latach 1996 i 2000, w drodze do Zbaraża. Tarnopol został założony przez Jana Amora Tarnowskiego w roku 1540. Miasto to leży na szlakach handlowych i dzięki licznym przywilejom bardzo szybko się rozwijało. Tarnopol był celem wielokrotnych najazdów ze strony Tatarów i wojsk rosyjskich. Szczególnego zniszczenia miasto doznało podczas II wojny światowej. W Tarnopolu nie zabawiliśmy długo, zwiedzając jedynie dawny kościół Dominikanów pod wezwaniem św. Wincentego, a obecnie cerkiew unicką. Fundusze na budowę nowego kościoła parafialnego w Tarnopolu zbierał ks. Andrzej Malig, który w czasie mojej wizyty przebywał na Zakarpaciu.

**Jazłowiec.** Miejscowość ta leży w jarze nad Jazłowczykiem, pierwotnie była rezydencją biskupów ormiańskich, następnie stanowiła własność Jazłowieckich<sup>4</sup>. Po pokoju buczackim Jazłowiec znalazł się na krótko w rękach tureckich. Gospodarzami Jazłowca byli m.in. Koniecpolscy i Poniatowscy. Od 1863 roku w dolnym zamku przy klasztorze zamieszkały siostry niepokalanki, które wraz z siostrą Darowską prowadziły tu zakład wychowawczy dla tzw. dobrze urodzonych panienek. Jazłowiec został kompletnie zniszczony przez wojska rosyjskie w 1916 roku. W 1946 roku klasztor zlikwidowano. Od kilku lat siostry niepokalanki stopniowo odzyskują pojedyncze budynki klasztoru i po remoncie prowadzą dom rekolekcyjny. Jest to bardzo pięknie położone i zaciszne miejsce, gdzie nie docierają nawet sygnały radiowe i telefonii komórkowej. Klasztor, a właściwie oficjalnie sanatorium, usytuowane jest tuż obok ruin zamku. Część budynków odnowiono dzięki zaangażowaniu sióstr zakonnych. Kaplicę klasztorną udało się siostronom również ostatnio odzyskać, oddając w zamian na świetlicę sanatoryjną inne pomieszczenie. Klasztor był naszą bazą w czasie pobytu na Kresach. Zostaliśmy zakwaterowani w pokojach od pojedynczych do wieloosobowych. Warunki zastałyśmy dobre; w pokojach znajdowały się umywalki, a sanitariaty i prysznic na korytarzach. W kranach płynęła zimna i ciepła woda. Tak było do

---

<sup>4</sup> Jazłowiec, Internet: <http://rzecz-pospolita.com/jazlowiec>.

ostatniego dnia naszego pobytu, kiedy to nagle pękła rura i zupełnie zabrakło wody. Na uznanie zasługiwał jednak miły personel i bardzo dobre wyżywienie.

W Jazłowcu, oprócz ruin zamku, naszą szczególną uwagę zwracały zgliszcza kościoła. Świadkowie opowiadają, że jeszcze niedawno był on w dobrym stanie. Obecnie bez dachu, stanowił kompletną ruinę. Na ścianach z trudem można było dostrzec dawne freski i ornamenty. W rogu kościoła odnaleźliśmy pośmiertną tablicę poświęconą Mikołajowi Gomółce z Sandomierza (ur. 1535). Proboszczem parafii rzymskokatolickiej w Jazłowcu w czasie wojny był ks. Andrzej Kraśnicki – urodzony w Stryjówce koło Zbaraża. Dnia 8 grudnia 1943 roku, w środku nocy, proboszcz został uprowadzony z plebanii przez bandę nacjonalistów ukraińskich i zamordowany. Ksiądz prałat Ludwik Rutyna, proboszcz parafii w Buczaczu opowiadał nam, że znał ks. Andrzeja, kiedy ten był prefektem seminarium, a następnie proboszczem parafii w Jazłowcu. Powiedział nam też, że ksiądz Andrzej Kraśnicki został przywiązany przez bandytów do sań i wleczoney na miejsce zbrodni. W tym czasie wikary o nazwisku Alojzy Schmidt zdołał się uratować, uciekając z plebanii przez okno. Wyemigrował on potem do Polski, gdzie zmarł. Szczęśliwym trafem poznałem wśród uczestników pielgrzymki panią Cichoń, która urodziła się w Jazłowcu i wiedziała o tragedii ks. Andrzeja Kraśnickiego. Wraz z córką poszukiwały one bez skutku śladów rodzinnych na miejscowym, dość dobrze zachowanym cmentarzu, położonym obok ruin innego kościoła na wzgórzu.

**Buczacz.** Leży na Podolu nad rzeką Strypą. W historii miasto zapisało się traktatem buczackim (1672), na podstawie którego Polska utraciła Podole na rzecz Turcji. Na wzgórzu nad miastem widać było ruiny zamku. W mieście zwiedzaliśmy ufundowaną przez Mikołaja Potockiego cerkiew oo. Bazylianów, cmentarz i kościół rzymskokatolicki pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Nasze zainteresowanie wzbudził ratusz miejski z wysoką wieżą, ozdobiony licznymi rzeźbami Johana Georga Pinzela. Dzisiaj Buczacz liczy 14 tys. mieszkańców. Proboszczem parafii jest ks. prałat Ludwik Rutyna, staruszek, który na emeryturę przeniósł się z Polski na ziemię rodzinną do Buczacza. W niedzielę wysłuchaliśmy nabożeństwa z okazji święta Matki Bożej Skalpierznej. Kościół pięknie odbudowany zgromadził wielu wiernych miejscowych i przyjezdnych. Byli również miejscowi mieszkańcy ukraińscy. We wszystkich podobnych uroczystościach wyczuwało się uniwersalne znaczenie chrześcijaństwa, które łączy nas ponad podziałami narodowymi i rasowymi.

**Kamieniec Podolski.** Kamieniec Podolski przerósł moje wyobrażenie. Wiele czytałem o twierdzy i jej znaczeniu jako strażnicy wschodnich granic Polski i przedmurzu chrześcijaństwa. Nie doceniałem natomiast tego miasta nad Smotryczą, jako stolicy województwa podolskiego. Wielonarodowa społeczność Rusinów, Ormian i Polaków na ważnym szlaku handlowym sprzyjała rozwojowi miasta i jego mieszkańców<sup>5</sup>. Każda społeczność miasta miała swoją administrację z burmistrzem na czele. Bogactwo

<sup>5</sup> Kamieniec Podolski, Internet: <http://rzecz-pospolita.com/kamieniec>.

i jego strategiczne położenie było powodem wielokrotnych ataków Tatarów i Litwinów, a następnie Wołochów i Turków. Zwiedzanie miasta zaczęliśmy od katedry pod wezwaniem św. Piotra i Pawła. Na plac katedralny weszliśmy przez bramę, przez którą kiedyś przechodził król Stanisław August Poniatowski. Przy katedrze stał minaret z czasów tureckich z połączoną figurą NMP na szczycie. Na placu mogliśmy podziwiać pomnik poświęcony pułkownikowi Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu, bohaterowi twierdzy Kamienieckiej. W świątyni widzieliśmy wiele pamiątkowych epitafiów, tablic i nagrobków – śladów historii Polski na Kresach. Istnym cudem architektury wydawała się być twierdza, zabytek minionych czasów.

**Chocim.** Chocim to przede wszystkim potężna twierdza nad Dniestrem, na pograniczu Podola i Mołdawii. Tu w 1623 roku hetman Jan Karol Chodkiewicz przez ponad miesiąc powstrzymywał oblężenie tureckie. Natomiast Jan Sobieski na czele husarii na polach Chocimia rozbił armię turecką w 1673 roku. Tu też nasze wojska prowadziły wiele bitew, broniąc dostępu wrogów do Rzeczypospolitej. Dziw bierze, że tak mała twierdza, położona w dole nad małym dopływem Dniestru mogła pełnić tak ważną rolę w systemie obrony Rzeczypospolitej. Podziwialiśmy zachowane obiekty twierdzy i zabytki dawnej sztuki fortyfikacji. Twierdza ma dzisiaj uniwersalne znaczenie dla historii powszechnej. Po stracie Kamieńca Podolskiego na rzecz Turków duże znaczenie miały zyskać Okopy Świętej Trójcy, położone w ramionach Zbrucza i Dniestru. Twierdza ta kontrolowała dostawy tureckie dla Kamieńca. Obecnie zastaliśmy tu jedynie jej fragmenty, w postaci kamiennej bramy.

**Lwów.** Ostatnim etapem naszej pielgrzymki był Lwów. W pierwszym dniu podziwialiśmy panoramę Lwowa z Wysokiego Zamku. Następnie udaliśmy się do Żółkwi, miasta położonego nieopodal Lwowa. Żółkiew powstała na miejscu dawnej miejscowości Winniki, rozbudowanej przez hetmana wielkiego koronnego Stanisława Żółkiewskiego (1598). Szczególne pamiątki miasta to: ratusz, zamek, kościół kolegiacki, obecnie cerkiew św. Trójcy i synagoga. We Lwowie zostaliśmy zakwaterowani przy kościele św. Antoniego przy ulicy Czerniakowskiej. Od pierwszej chwili pobytu we Lwowie odczuliśmy na własnej skórze zasadnicze problemy miasta – niedostatki wody, energii elektrycznej oraz komunikacji miejskiej. Problemy te nie pozwalają na dynamiczny rozwój miasta. Lwów pełen jest materialnych świadectw historii, z którymi związane było życie i działalność ludzi na przestrzeni wielu wieków. Poznawaliśmy więc historię bardziej lub mniej znanych budowli, instytucji i ludzi. We Lwowie na przestrzeni wieków żyły społeczności wielu narodowości: polskiej, ukraińskiej, ormiańskiej, żydowskiej, niemieckiej, czeskiej, węgierskiej i innych. Świadectwem historii tego miasta są m.in.: Wysoki Zamek, Kopiec Unii Lubelskiej, katedra rzymskokatolicka, czyli Bazylika Metropolitalna pw. Wniebowzięcia NMP, katedra unicka św. Jura z rzeźbami Johana G. Pinzela, teatr opery i baletu, Ossolineum, Uniwersytet i Politechnika, pomnik Adama Mickiewicza, dworzec kolejowy, kamienice starego miasta, a także zabytkowa apteka, gdzie Ignacy Łukasiewicz przeprowadził destylację ropy naftowej i wydzielił z niej naftę (1852) i w konsekwencji skonstruował pierwszą

w świecie lampę naftową. Ważnym elementem historii miasta są też jego cmentarze. Na Cmentarzu Łyczakowskim spoczywa wielu znakomitych mieszkańców dawnego Lwowa. Końcowym etapem naszej pielgrzymki był Cmentarz Orłat Lwowskich. Leżą tu dzielni obrońcy polskiego Lwowa. W sąsiedztwie, na cmentarzu Strzelców Siczowych, pochowani są ci, którzy walczyli o Lwów ukraiński. Zgodne kiedyś współzycie różnych społeczności na tej ziemi skończyło się konfliktem, który był zapowiedzią dalszych tragicznych losów ludności polskiej, żydowskiej i ukraińskiej, obywateli tej ziemi od wieków. Wieczorem ostatniego dnia pielgrzymki ruszyliśmy w kierunku granicy, gdzie po czterogodzinnym postoju i odprawie ruszyliśmy do kraju. Po całonocnej podróży dotarliśmy rankiem następnego dnia szczęśliwie do domów. W czasie pielgrzymki pokonaliśmy około 3000 km drogami dawnych Kresów, odwiedziliśmy historyczne miejsca, poznaliśmy ludzi dawnych Kresów i współczesnej Zachodniej Ukrainy. W ten sposób spełniły się, w jakimś stopniu, moje marzenia bliższego poznania Kresów na tle dziejów naszych Przodków i historii Ojczyzny.

## 10.4. Podróż do rodzinnej ziemi zbaraskiej – Zbaraż 2009 r.

W dniach 13–17 lipca 2009 r. odbyłem czwartą już w moim życiu podróż do rodzinnej ziemi zbaraskiej. Tym razem jechałem mikrobusem z Wołodią. Kursuje on regularnie między Wrocławiem a Zachodnią Ukrainą, przewożąc ludzi do pracy w Polsce i z powrotem. Ludzie właśnie wracali na urlopy do domu. Wieźli z sobą ciężkie torby i kartony. Jazda przebiegała sprawnie, dopiero na granicy czekało nas około sześć godzin oczekiwania na odprawę i zamiast wieczorem u moich gościnnych gospodarzy znalazłem się następnego dnia rano.

Od pierwszego dnia nie marnowałem czasu. Zaraz po śniadaniu rozpocząłem zwiedzanie mego rodzinnego miasta Zbaraża. Wyruszyłem z Przygródka. Z uwagi na moje genealogiczne zainteresowania, moim pierwszym celem było odwiedzenie archiwum miasta. Po drodze mijałem stare, przeważnie parterowe, kamieniczki przy ulicy Daniły Halickiego (Jana Skrzetuskiego). W rynku znalazłem budynek mojej dawnej szkoły z jaskrawo czerwonym dachem. Odniosłem wrażenie, że otoczenie szkoły jak gdyby zamarło i raczej się nie zmieniło. W archiwum przywitała mnie bardzo miło pani kierowniczka. Właśnie wychodziła, kiedy poznając we mnie obcokrajowca, zawróciła do biura. Niestety żadnych ksiąg metrykalnych nie znalazła. Poleciała mi natomiast książkę o najnowszej historii miasta. Otrzymałem też adres archiwum w Tarnopolu. W sprawie ksiąg metrykalnych odesłano mnie do Urzędu Miejskiego. Tu pani w sekretariacie poinformowała mnie, że metrykę mego urodzenia może wystawić w ciągu kilku godzin, ale kościelnych ksiąg metrykalnych w urzędzie nie ma. Wędrowałem dalej ulicą Niezawisłości (Henryka Sienkiewicza), mijając po drodze

małą cerkiew, ochronkę, kościół, figurę patrona przepraw wodnych – św. Jana Nepomucena przy Czarnym Moście na rzece Gnieźnie oraz na rozdrożu czołg T-34, pamiątkę po II wojnie światowej. Z dała widziałem sylwetkę pałacu zamkowego książąt Zbaraskich.

Po obiedzie ruszyłem na moją ulicę Długą (Tadeusza Kościuszki). Szedłem dokładnie tymi ulicami, którymi wędrowałem kiedyś do kościoła i szkoły. Mijałem znajome domy, m.in. Hanusiewiczów i Bocheńskich. Wszystkie boczne uliczki pokrywał tłuczony szary kamień. Chodzenie takimi uliczkami w pogodny dzień wymaga zapewne częstego czyszczenia butów, a przejazd samochodów wzniesie tumany kurzu. Na ulicy Długiej najpierw skierowałem się w stronę mniej mi znanego „Kąta”. Tak nazywano dawniej zachodnią część tej ulicy. Szutrowa nawierzchnia ulicy przykrywała żyzną czarną glebę. Po obu stronach ulicy stały bardziej lub mniej zadbane domy. Mijałem posesję Karola Bojarczuka, Ornawków, mego stryja Ignacego, dom Hebanowskich, gospodarstwo Humeniuków i inne. Zaszedłem na sam koniec ulicy pod wzgórze zwane „Skałą”. W drodze powrotnej poznałem pana Romana Junkę, który jest Polakiem i mieszka tu przy ul. Długiej. Podwiózł mnie kawałek swoim wiekowym samochodem marki zaporożec i ofiarował się, za odpowiednią opłatą, powozić po okolicy. Tymczasem postanowiłem jeszcze odwiedzić mieszkańców naszej dawnej posesji przy ul. Długiej 35. Pamiętam, kiedy w 1946 roku Józef Cienki i jego rodzina pojawili się na naszym podwórku. Byli przesiedleńcami z miejscowości Laszki na ziemi przemyskiej. Na miejscu starej chaty postawili nowy dom, a obok drugi. W nowym domu żyją już następne pokolenia. Przyjęli mnie bardzo życzliwie. Dom jest pięknie urządzony przez młodą panią, która pracuje we Włoszech i zdarza się, że powie „si, parla italiano”. Zrobiłem sobie zdjęcie z panią domu na tle zagonu ziemniaków. Kiedyś było to nasze podwórko. Piwnice zwane „lochami”, usytuowane dawniej pod stodołą i drewnutnią, wyznaczają rozmiary podwórka, które co sobotę miałem kiedyś obowiązek zamiatać. W piwnicy pod stodołą kryliśmy się w okresach przesilenia frontowego. Szczęśliwym trafem nie upiekliśmy się żywcem. Następnie udałem się na poszukiwanie Oli Popowicz – towarzyszki dziecięcych zabaw. Ola mieszka samotnie w nowym domu. Obok stoi w dobrym stanie stary dom. Jego wnętrze przypomina mi typowy rozkład naszej chaty: wejście od strony wschodniej do sieni, skąd drzwi po lewej prowadzą do dużego pokoju, naprzeciw do małej izby, a na wprost do wankirza, czyli wąskiej, długiej kuchni. Idąc dalej krętą ulicą, mijałem kolejne domy znanych mi dawnych mieszkańców: Stankiewiczów, Gargulińskich, Szubrów. Tak doszedłem do gościńca tarnopolskiego, kiedyś ul. Juliusza Słowackiego, a obecnie ul. W. Czornowoła. Wracalem do miasta skrótem koło gmachu „Sokoła” i wstąpiłem do kościoła oo. Bernardynów, w którym o. Berard odprawiał akurat wieczorną mszę. Dwie starsze kobiety oraz czworo dzieci wtórowało księdzu, odprawiającemu mszę w języku ukraińskim. Po mszy odwiedziłem o. Berarda w zakrystii i zamówiłem mszę za zmarłych z rodziny Komendatów i Szustakowskich. Przy Czarnym Moście, naprzeciw figury św. Jana Nepomucena, znalazłem Kaplicę Łemkowską „poświęconą 60 rocznicy

*deportacji pół miliona Ukraińców z etnicznych terenów Podlasia, Chełmszczyzny, Nadsania i Łemkowszczyzny oraz ofiarom wojskowo-represyjnej akcji „Wisła” w Polsce. 12.06.2006*”. Ludzie ci zamieszkali w naszych domach, kiedy nas zmuszono do wyjazdu na zachód.

Następnego dnia zostałem zaproszony przez o. Berarda na rekonesans cmentarza w Stryjówce. Pojechali też z nami państwo Alina i Ireneusz Skrzypczakowie, którzy wraz z młodzieżą ze szkoły wojskowej w Łańcucie, od kilku lat pielęgnują cmentarz polski w Zbarażu. Tym razem zamierzali prowadzić akcję oczyszczania innego cmentarza, w Maksymówce lub Stryjówce. Przy okazji odwiedziliśmy rodzinę Fedorkiewiczów, którą poznałem cztery lata wcześniej. Zostaliśmy przyjęci i ugoszczeni przez nich bardzo serdecznie. Pani Daria pochodzi z rodziny Kraśnickich, ale nie mówi już po polsku. Na zakończenie spotkania zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Dalej udaliśmy się do Tarnopola, aby sprawdzić godzinę przyjazdu drużyny harcerzy z Warszawy. Drużyna licząca dziesięć osób, zgłosiła się do udziału w akcji odnowy polskiego cmentarza na ziemi zbaraskiej. Po drodze minęliśmy dawną wieś Zarudzie wraz z kościołem zamienionym na cerkiew prawosławną. We wsi mieszkają prawie wyłącznie potomkowie przesiedleńców z Polski. Przy drodze wita nas wyniosła figura Jana Nepomucena z 1862 roku! Następnie odwiedziliśmy ruiny kościoła w Ochrymowcach. W tym oryginalnym budynku z czerwonej cegły i pod blaszanym dachem nie odprawia się nabożeństw i jak dotąd popada w ruinę. Dalej typowym szutrowym gościńcem dotarliśmy do szosy prowadzącej do Tarnopola.

Po obiedzie państwo Skrzypczakowie zaproponowali odwiedzić cmentarz w Zbarażu. Zaczęliśmy od strony cmentarza żydowskiego. Znaleźliśmy tu jedynie kilkadziesiąt maceb. Według przewodnika po ziemi zbaraskiej Henryka Ślaskiego, najstarsze nagrobki na tym cmentarzu pochodzą z lat 1756 i 1790. Na obu znajdowały się wyryte polskie orły. Na jednej z płyt odczytałem inskrypcję częściowo w języku polskim: „Teni z Tinterów Aszkenasowa 1881–1937”. W czasie niemieckiej okupacji zniszczono większość nagrobków z tego cmentarza. Dalej przeszliśmy na cmentarz polski. Powitały nas pochylone w różne strony figury na nagrobkach. Państwo Skrzypczakowie sprawdzili wyniki prowadzonych od kilku lat prac porządkowych oraz skuteczność stosowanych oprysków. Siła przyrody jest jednak wielka i bez stałej pielęgnacji trudno z nią wygrać. Najważniejsza jest jednak idea, która dzisiaj znalazła wielu naśladowców na innych cmentarzach kresowych. Wśród wielu mogił znajduję nagrobek moich krewnych Wawrzyńca i Józefy Tokarczuków (1864) oraz mego dziadka Antoniego (1864–1936). Staram się też odnaleźć nagrobki moich krewnych ze strony matki, ale tym razem bez skutku. Następnie udaliśmy się na cmentarz w Maksymówce. Znaleźliśmy tu wyłącznie nagrobki polskie i znane mi nazwiska: Mateusz Boczar, Jakub Magalas, Anna Sokół, Mikołaj Kurczowski i inni. Nieopodal stoją zgliszcza kościoła, a przed nim figury ufundowane w 1912 roku przez Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” ze Stanów Zjednoczonych. Po drodze wstąpiliśmy do wioski Hrycowce. Kiedyś była to podobnie jak Kretowce wieś polska, obecnie za-

mieszkała przez przesiedleńców z Polski. Niektóre domy pamiętają dawne czasy, chociaż nie są już kryte słomianą strzechą, lecz przypuszczalnie płytami azbestowymi. Wieczorem wróciliśmy do Zbaraża.

Trzeciego dnia wędrowałem szlakiem, który miał być dla mnie częściowo nieznaną turystyczną przygodą. Zacząłem od Przygródka, przez Tarnopolskie Przedmieście, dalej przeszedłem przez zabudowania w Laskach i dotarłem do nowego osiedla powstałego na miejscu byłych ogrodów, wzdłuż ulicy Długiej. Znalazłem się na ulicy Korolowej. Uliczki pokryte były powszechnie stosowanym tu szutrem z szarego kamienia. Kiedyś rozlegał się stąd widok na miasto, obecnie domy wszystko zasłaniają. Powyżej rośnie gęsty las. Za lasem była dawniej „Dębina”, gdzie miał zginąć jeden z bohaterów obrony Zbaraża – Longinus Podbipięta. Dalej poszedłem na zachód w kierunku wzgórza zwanego „Skałą”. To tu jeździł kiedyś na nartach ówczesny uczeń gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Zbarażu, a późniejszy metropolita przemyski – abp Ignacy Tokarczuk. Stąd roztacza się widok na okolicę: w dole widać miasto Zbaraż, a dalej na wschodnim horyzoncie żyzne pola czarnoziemiu i wioski: Łubianki, Kretowce, Hrycowce, Stryjówka. Na samym wzgórzu natknąłem się na pozostałość prawdopodobnie po instalacjach wodnych. Schodząc niżej minąłem dzikie wysypisko śmieci. W oddali majaczył cmentarz Załuski. Tu również znalazłem mogiły moich krewnych z rodziny Komendantów. Na miejscu starej twierdzy w Starym Zbarażu stoi kamienny obelisk z żeliwną tablicą i napisem, w wolnym przekładzie:

*„Tu w XIII–XVI w. była starozbaraska forteca  
– świadek sławy, heroizmu i losu narodu ukraińskiego”*

W dole wzdłuż rzeki Gniezny widać zabudowania Starego Zbaraża, a dalej Załuża. Po przeciwnej stronie wznoszą się wzgórza Miodoborów i las Załuski. Stromą ścieżką schodzę do Starego Zbaraża. Stąd wyjechało na zachód po 1945 roku wielu Polaków. Ku memu zaskoczeniu, wzdłuż drogi mijam przydrożne święte figury, a na nich polskie napisy, m.in.: „*Królowo Różańca Świętego módl się za nami*”. Fundatorem kilku figur był Tomasz Stankiewicz i jego żona. Byłem zbudowany troską o zachowanie pamiątek i wyrazem szacunku dla tradycji tej ziemi przez obecnych jej mieszkańców! Na styku Starego Zbaraża i Załuża stoi cerkiew, a nieco dalej szkielet kościoła bez dachu. Przed kościołem znowu figura Królowej Różańca Świętego. Stojąc obok niej nawiązałem rozmowę z młodym gospodarzem. Jego dziadek służył w Ludowym Wojsku Polskim i zginął na wojnie. Dalej poszedłem w kierunku Małego Załuża. Po prawej stronie widać wzgórze z cerkwią św. Spasa. O historii tej budowli świadczy wmurowana tablica z tekstem pisanym cyrylicą, w przekładzie: „*W leto ot sozdanija miry 7108 a iże ot wopłeszczeniya z Preswiatoj Diwi Marii Gospoda naszego Isusa Christa 1600-go roku na sem siatom meste starožitnogo monastira za blagoizwolenijm Bożym na wecznuju czest i chwału Jogo swjatuju soorużeno bist sija Swjatogo Welikoho Spasa za derżawii ii szczasliwogo panuwannja jogo Miłosti Janusza Zbarażskiego woje-*



*wodi Braclawskiego starosti Kremeneckogo za starannjam pracuje służbi jogo miłosti mnogorisznego raba Bożija Grigorija Nowickogo na toj czas starosti Zbaraskogo.*” Cerkiew ta zbudowana z kamienia w stylu gotyckim, miała charakter obronny, o czym świadczy m.in. wieża zaopatrzona w strzelnice. Następnie przeszedłem przez most na rzece, nad którą stoi jeszcze jeden nieczynny teraz młyn wodny i wszedłem na teren Załuża Małego. Tu odwiedziłem dom moich krewnych Komendatów. Przy winie i miłym poczęstunku powspominaliśmy losy rodziny. W dalszej wędrówce znowu spotkałem zabytkową figurę św. Grzegorza wystawioną staraniem Gabriela i Marianny R.P. 1844. Minąłem zabudowania, gdzie podobno mieszkał przed wojną starosta Zbaraża Jawetz i zszedłem w dół w kierunku młyna Kurnija. Stary budynek przypomina dawną sylwetkę, ale już nie szumi tu woda, spadająca na koło młyńskie oraz sącząca się przez szpary drewnianej zapory. Kiedyś znajdowało się tu popularne kąpielisko zbaraskie. Z poręczy mostu skakali do wody odważni chłopcy. Przed mostem był kiedyś staw, słynny z powodu powieści „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza, dzisiaj rośnie tu tylko bujna trawa, wśród której wije się wąska struga rzeki. Z dała widać ruiny browaru, który zakupiony podobno przez Holendrów, doprowadzony został do upadku. Wydaje mi się, że pamiętam jeszcze cierpki smak piwa z tego browaru, kiedy jako pięcioletni brzdąc brałem udział w weselu mojej ciotki Zofii. Pamiętam, że smak tego napoju nie przypadł mi wtedy do gustu. Dalej zmierzałem ulicą Łesi Ukrainki (Marii Konopnickiej) do miasta. Po drodze zapytałem jakiegoś człowieka: „Czy to był młyn spalinowy Zacharasiewicza?”, „Tak”, odpowiada, „Teraz jest tu zakład pogrzebowy”. Kiedyś zastosowany tu w młynarstwie silnik Diesla był rewelacją techniczną na skalę krajową. Ulica, którą szedłem jest mi dobrze znana; w dzieciństwie wędrowałem nią do babci Marii Komendat w Sadkach. Dalej minąłem doskonale mi również znaną uliczkę w kierunku ulicy Długiej, dom Hanusiewiczów, po lewej dom rodziny Filarowskich, czołg – pomnik i wszedłem na wzgórze do parku zamkowego. Podeszedłem do pomnika poświęconego Adamowi Mickiewiczowi. Pod cokołem pomnika leżał skromny wieniec z biało-czerwoną wstążką. Zszedłem znowu w dół, w kierunku stawu Bazarzyńskiego, przez który miał przekradać się inny bohater obrony Zbaraża w 1649 roku – Jan Skrzetuski. Tutaj stoi nieczynny młyn Szmajuka, ale woda na grobli szumi jak za dawnych lat. W końcu zamknąłem pętlę i pod murami zamku wróciłem do domu moich gospodarzy.

Czwartego dnia mego pobytu na ziemi zbaraskiej byłem świadkiem akcji porządkowania cmentarza w Stryjówce. Drużyna 206 Starszoharcerska im. Jana Skrzetuskiego z Warszawy, pod opieką państwa Aliny i Ireneusza Skrzypczaków z Fundacji Longinus, wzięła udział w porządkowaniu cmentarza. Do wyboru był cmentarz w Maksymówce lub Stryjówce.

O wyborze Stryjówki zdecydował fakt udziału w akcji panów Jana i Andrzeja Łukasiewiczów, których korzenie wywodzą się właśnie ze Stryjówki. Obszerny teren cmentarza znajdował się przy drodze z Kretowiec. Składał się z dwóch części; na jednej chowano zmarłych, była to część ukraińska i ukryta w zaroślach – polska. Polska

część cmentarza pozostawała w stanie prawie nienaruszonym od czasu wyjazdu polskich mieszkańców tej miejscowości w latach 1945–1946. Była ona zarośnięta całkowicie krzewami, pokrzywą i zielskiem. Akcji porządkowania cmentarza patronował o. Berard z kościoła oo. Bernardynów w Zbarażu. Do prowadzenia prac wypożyczono ze wsi odpowiednie narzędzia, m.in. kosę i siekiere. Natomiast piłę spalinową przywieźli z Polski państwo Skrzypczakowie. Pracami kierowali, doświadczeni w tego typu działaniach, państwo Alina i Ireneusz Skrzypczakowie. Pan Ireneusz wycinał piłą krzewy i mniejsze drzewka, pani Alina robiła zdjęcia nagrobków oraz spisywała inskrypcje nagrobne w grubym notatniku. Młodzież pracowała posługując się kosą i siekiere, albo po prostu rękoma. Wycięte krzewy wynoszono na skraj cmentarza. Niedostępne i zapomniane mogiły stawały się nam coraz bliższe; odczytywaliśmy nazwiska: Barylskich, Kominków, Kraśnickich, Małachowskich, Fedora Wałowa itd. Niektóre nagrobki miały inskrypcje zapisane cyrylicą, wśród których częste było nazwisko Kruk. Praca młodzieży na tym cmentarzu wzbudzała zainteresowanie obecnych mieszkańców wioski. W pewnej chwili pojawił się jeden z nich. W trakcie rozmowy podziwiał godny naśladowania pomysł i zapał młodzieży do pielęgnowania pamięci naszych przodków. Wiadomo było, że cmentarz za rok znowu zarośnie zielskiem, wiedzieliśmy jednak, że w naszych sercach pozostanie on na zawsze. Czas mijał szybko.

W międzyczasie obok drogą przechodził kondukt pogrzebowy, kierując się na sąsiedni cmentarz ukraiński. Spora grupa ludzi z chorągwiami szła śpiewając, a na czele pop w asyście dwóch mężczyzn. Stałem, aby okazać szacunek, a kiedy wsłuchiwałem się w ten narastający gwar, nagle usłyszałem wyraźnie, jak jeden mężczyzna z asysty przekrzykując wszystkich mówił: „*Gdyby Hitler wygrał wojnę, to tu teraz byłby raj na ziemi!*”. Byłem zdumiony tymi słowami; tyle lat po wojnie, a ciągle jeszcze wiara w ten raj na ziemi, tworzony przez faszyzm, tliła się w niektórych głowach.

W czasie mego pobytu w Zbarażu spotkałem kilku naszych rodaków, którzy samochodami na polskich numerach rejestracyjnych poruszali się po okolicy. Jeden oznajmił, że żyje tam od trzech lat i nie zamierza wracać do kraju. Inny natomiast twierdził, że kupił dom w okolicy zamku i zawiesił na nim polską flagę. Niestety, nie udało mi się jej zobaczyć.

Po południu jeszcze raz pożegnałem bliskich na cmentarzu w Zbarażu. Wieczorem wziąłem udział w spotkaniu znajomych i krewnych, a następnego ranka ruszyłem mikrobusem Wołodi do domu. Żegnałem ten piękny kraj oraz miłych i gościnnych ludzi. Trochę czasu minęło, zanim wszyscy pasażerowie mikrobusu zostali skompletowani. Wreszcie stanęliśmy około południa w długiej kolejce na przejściu granicznym. Czekaliśmy na odprawę około czterech godzin. Z daleka, na wysokich masztach powiewały zapraszająco flagi, nasza biało-czerwona i unijna. Jak miło było wracać do kraju i Europy bez barier.

## Bibliografia

- Beauvois D., *Walka o ziemię*, Sejny 1996.
- Biernat-Szpunarowa J., *Wspomnienia*, archiwum prywatne autora, 2004.
- Bobrowski T., *Pamiętniki mojego życia*, t. 1 i 2, Warszawa 1979.
- Bojarczuk J., *Wspomnienia*, archiwum prywatne autora, 2010.
- Davies N., Moorhouse R., *Mikrokosmos*, Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2002.
- Garść wiadomości o zabytkach Zbaraża*, broszura, Zbaraż 1939.
- Hankowska H., *Informacje prywatne – listy*, archiwum prywatne autora, 2007.
- Hankowska H., *Tak daleko, tak blisko*, Semper Fidelis, nr 2–4, Wrocław 2006.
- Heimatbuch des Kreises Löwenberg in Schlesiens, Verlag. Kreis Ausschusses des Kreises Löwenberg 1922,  
Internet: <http://www.doris-baumert.de/Dokumente/giersdorf.htm>
- Hoffmann H., Giersdorf. Internet: <http://home.t-online.de/home/doris.baumert/dokumente/giersdorf.htm>.  
Internet: [www.pryzmat.pwr.wroc.pl/Pryzmat](http://www.pryzmat.pwr.wroc.pl/Pryzmat) 161.
- Jaworski E., *Historia budowy kościoła w Kretowcach*, archiwum prywatne autora, 2010.
- Jazłowiec. Internet: <http://rzecz-pospolita.com/jazlowiec>.
- Kachel J., *Dzieje kościoła i klasztoru Ojców Bernardynów w Zbarażu (1628–1946)*, Calvarianum, Kalwaria Zebrzydowska 2001.
- Kaczmarek J., *Ballada wrześnieowa*, Internet: [http://www.kaczmarek.art.pl/tworczosc/wiersze\\_alfabetycznie/kaczmarek/bballada\\_wrznieowa.php](http://www.kaczmarek.art.pl/tworczosc/wiersze_alfabetycznie/kaczmarek/bballada_wrznieowa.php).
- Kamieniec Podolski. Internet: <http://rzecz-pospolita.com/kamieniec>.
- Komański H., Siekierka Sz., *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939–1946*, Nortom, Wrocław 2006.
- Kościół oo. Bernardynów w m. Zbarazhi*, wydane nakładem oo. bernardynów, Zbarazh 1992, broszura.
- Kubow W., *Polacy i Ukraińcy na Podolu. Tragedia Polaków w Berozowicy Małej koło Zbaraża*, wydanie III poprawione i rozszerzone, Nortom, Wrocław 1997.
- Lisowski E., *Wspomnienia z Zarudzia*, archiwum prywatne autora, 2010.
- Litopis UPA, vol. 12, Kiiw Ukraine 1995: Internet: <http://www.eastview.com/>.
- Lubelskie Towarzystwo Genealogiczne. Internet: <http://www.ltg.pl/content/view/112/53/>.
- Łukasiewicz B., *Wspomnienia ze Stryjówki koło Zbaraża*, wydanie II, wydane nakładem autora, Szczecin 2000.
- Milaszewski R., *Wspomnienia z Kresów Wschodnich i frontowych dróg*, Rzeszów 2004.
- Nachschlagewerke der Geschichte der Dritten Reich, Abkürzungen, Personen- Gaue und Kreise der NSDAP,  
Internet: [www.wissenschaft-on-demand.de](http://www.wissenschaft-on-demand.de).
- Nizkor FTP Internet file: [camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.09](http://nizkor.org/ftp/docs/camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.09)
- Nizkor FTP Internet file: [camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.10](http://nizkor.org/ftp/docs/camps/aktion.reinhard/belzec/belzec.10)
- Podkamień. Internet: <http://rzecz-pospolita.com/podkamien>.
- Rakówski G., *Przewodnik po Ukrainie Zachodniej*, cz. 2, Podole, Pruszków 2006.

- Rzewuski H., *Pamiętki Soplicy*, OW Vacatio, Warszawa 1997.
- Skrzypczak A., Skrzypczak I., *Polski cmentarz w Zbarażu, inskrypcje nagrobne*, Fundacja Longinus, Rzeszów 2010.
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, Zbaraż, Tom XIV, Internet: [http://dir.icm.edu.pl/pl/slownik-geograficzny/tom\\_XIV/509](http://dir.icm.edu.pl/pl/slownik-geograficzny/tom_XIV/509) 1980–1914.
- Słownik nazwisk 1992*, Internet: [www.herby.com.pl](http://www.herby.com.pl).
- Szustakowski M., *Kronika ziemi zbaraskiej*, wydane nakładem autora, Wrocław 2006.
- Szustakowski M., *Wspomnienia zbaraskie i inne 1934–2006*, wydane nakładem autora, Wrocław 2006.
- Ślaski H., *Zbaraż w przeszłości i teraźniejszości*, PTTK, Tarnopol 1934.
- Tarnowski Z., *Ze Zbaraża*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2000.
- Tokarczuk I., *Od Zbaraża do Przemysła*, Michalineum, Marki-Struga 1998.
- Wiśniowiec. Internet: <http://www.republika.pl/kdajczak/wisniowiec.html>.
- XXV lat Instytutu Technologii Nieorganicznej i Nawozów Mineralnych 1969–1994. Historia i dzień dzisiejszy*, Wrocław 1994.
- Zbaraż misto w Medoborach*, 1996, dodatek do czasopisma „Wisnik istorii kraju”, broszura.
- Żiła W. (red.), *Zbarażczina*, t. 1, Nowy Jork–Paryż–Sydney–Toronto 1980.

# Załączniki



## Załącznik nr 1

Miejscowości na ziemi zbaraskiej na prawach gminy (Księga adresowa Polski 1929 r.)

Źródło: <http://data.jewishgen.org/jri-pl/1929/1929top1641>

- **Berezowica Mała** – wieś i gmina. Mieszkańców 1019. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Mieczysław Konopacki (540 ha).
- **Bazarzyńce** – wieś i gmina. Mieszkańców 648. Kościół greckokatolicki.
- **Czernichowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 2403. Kościół rzymskokatolicki. Właściciel ziemski: Zofia Doliwa-Dobrowolska (180), T. Teodorowicz (223).
- **Czumale** – wieś i gmina. Mieszkańców 360. Właściciel ziemski: Juliusz Sochanik (230).
- **Dobromirka** – wieś i gmina. Mieszkańców 1136. Właściciele ziemscy: Konstanty hr. Brunicki (445).
- **Dobrowody** – wieś i gmina. Mieszkańców 2103. Kościół greckokatolicki. Właściciele ziemscy: Aleks Bączkowski (639) i Hładczyzna (115), Łukasz Raciborski (478).
- **Holotki** – wieś i gmina. Mieszkańców 829. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski Kazimierz Kański (848).
- **Hluboczek Mały** – wieś i gmina. Mieszkańców 236. Właściciel ziemski: Władysław Małecki (71).
- **Hnilice Małe** – wieś i gmina. Mieszkańców 937. Właściciel ziemski: Dora Seidman (363).
- **Hnilice Wielkie** – wieś i gmina. Mieszkańców 1924. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Zbigniew Zieliński (229).
- **Holoszyńce** – wieś i gmina. Mieszkańców 441. Właściciel ziemski: Maurycy Zuckerman (218).
- **Hrycowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 684. Właściciel ziemski: Jakub Szarfspitz (142).
- **Huszczanki** – wieś i gmina. Mieszkańców 484. Kościół greckokatolicki.
- **Iwanczany** – wieś i gmina. Mieszkańców 606. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Władysław Zieliński (321).
- **Iwaskowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 305. Właściciel ziemski: Herman Aksebrod (244).
- **Jacowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 800. Kościół rzymskokatolicki. Właściciele ziemscy: Aleksander Federowicz (1000), Wincenty Wojciechowski (231).
- **Kapuścińce** – wieś i gmina. Mieszkańców 417. Kościół rzymskokatolicki.
- **Klebanówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 1346. Właściciel ziemski: Aleksander Fedorowicz (746).
- **Klimkowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 899. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Jadwiga Czerniakowska (287).
- **Kobyła** – wieś i gmina. Mieszkańców 1448. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Tadeusz Smarzewski (202).

- **Kozłaki** – wieś i gmina. Mieszkańców 2564. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Tadeusz Małecki (758).
- **Koziary** – wieś i gmina. Mieszkańców 487. Kościół: greckokatolicki. Właściciel ziemski: Kazimierz Bączkowski (173).
- **Krasnosielce** – wieś i gmina. Mieszkańców 1025. Kościół: greckokatolicki. Właściciel ziemski: Władysław Małecki (253).
- **Kretowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 888. Kościół: rzymskokatolicki. Właściciel ziemski: Jerzy Małachowski (74).
- **Kujdańce** – wieś i gmina. Mieszkańców 1416. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Bronisław Kulikowski (208).
- **Kurniki Iwaczańskie** – wieś i gmina. Mieszkańców 734. Właściciel ziemski: Władysław Zieliński (183).
- **Lisieczynce** – wieś i gmina. Mieszkańców 952. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Jadwiga Czerniakowska (752).
- **Łubianki Niższe** – wieś i gmina. Mieszkańców 1525. Właściciel ziemski: Leopold Buber (897).
- **Łubianki Wyższe** – wieś i gmina. Mieszkańców 1940. Kościół: greckokatolicki. Właściciel ziemski: Oswald Buber (689).
- **Łozówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 512. Kościół: rzymskokatolicki.
- **Maksymówka** – wieś i gmina założona w 1892 roku. Mieszkańców 859. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki.
- **Medyn** – wieś i gmina. Mieszkańców 1123. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Waclaw Małachowski (485).
- **Nowiki** – wieś i gmina. Mieszkańców 559. Kościół: greckokatolicki. Właściciel ziemski: Julian Tochanik (147).
- **Nowe Siolo** – wieś i gmina. Mieszkańców 738. Kościoły: rzymskokatolicki, greckokatolicki i synagoga. Właściciel ziemski: Kazimierz Bączkowski (201).
- **Obodówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 373. Właściciel ziemski: Aleksander Fedorowicz (286).
- **Ochrymowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 901. Kościoły rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Stanisław Kozłowski (361).
- **Palczyńce** – wieś i gmina. Mieszkańców 983.
- **Pieńkowce** – wieś i gmina. Mieszkańców 491. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Gabriela Małachowska (180).
- **Romanowe Siolo** – wieś i gmina. Mieszkańców 1101. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: S. Schulbaum (168).
- **Roznoszyńce** – wieś i gmina. Mieszkańców 574. Kościół greckokatolicki. Właściciel: Władysław Małecki (450).
- **Sieniachówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 585. Kościół greckokatolicki.
- **Sieniawa** - wieś i gmina. Mieszkańców 1345. Kościół rzymskokatolicki. Właściciele ziemscy: Ozjasz Kaminkern (282), Teresa Ziębicka (Tychówka 75).



- **Skoryki** – wieś i gmina. Mieszkańców 1119. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Czesław Małachowski (397).
- **Stryjówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 1855. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki. Właściciel ziemski: Jerzy Małachowski (314).
- **Szelpaki** – wieś i gmina. Mieszkańców 935. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Kazimierz Bączkowski (517).
- **Szyły** – wieś i gmina. Mieszkańców 1410. Kościół greckokatolicki. Właściciele ziemscy: Stefan Tracz (69), Stanisław Tyczkowski (122).
- **Tarasówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 451. Kościół greckokatolicki. Właściciel ziemski: Jakub Horowitz (322), Józef Jampoler (222).
- **Terpilówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 884. Właściciele ziemscy: Semen Polanicz (53), Weissman i Ska (229).
- **Toki** – wieś i gmina. Mieszkańców 2742. Kościoły: rzymskokatolicki i greckokatolicki.
- **Worobjówka** – wieś i gmina. Mieszkańców 702. Właściciel ziemski: Józef Glimbarg (380).
- **Zarubińce** – wieś i gmina. Mieszkańców 678. Właściciel ziemski: Izaak Altstadter (600).
- **Zarudzie** – wieś i gmina. Mieszkańców 712. Kościół rzymskokatolicki. Właściciel ziemski: Józef Ginsberg (230).
- **Zbaraż** – miasto powiatowe. Siedziba sądu powiatowego. Mieszkańców 8419. Kościoły: rzymskokatolicki, dwie cerkwie greckokatolickie i synagoga.
- **Zbaraż Stary** - wieś i gmina. Mieszkańców 1130.



Szkic mapy administracyjnej powiatu Zbaraż – stan na 1.09.1939 r.

Źródło: <http://www.stowarzyszenieuozun.wroclaw.pl/zbaraz>

Udokumentowana liczba zamordowanych Polaków przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA w powiecie Zbaraż w latach 1939–1946

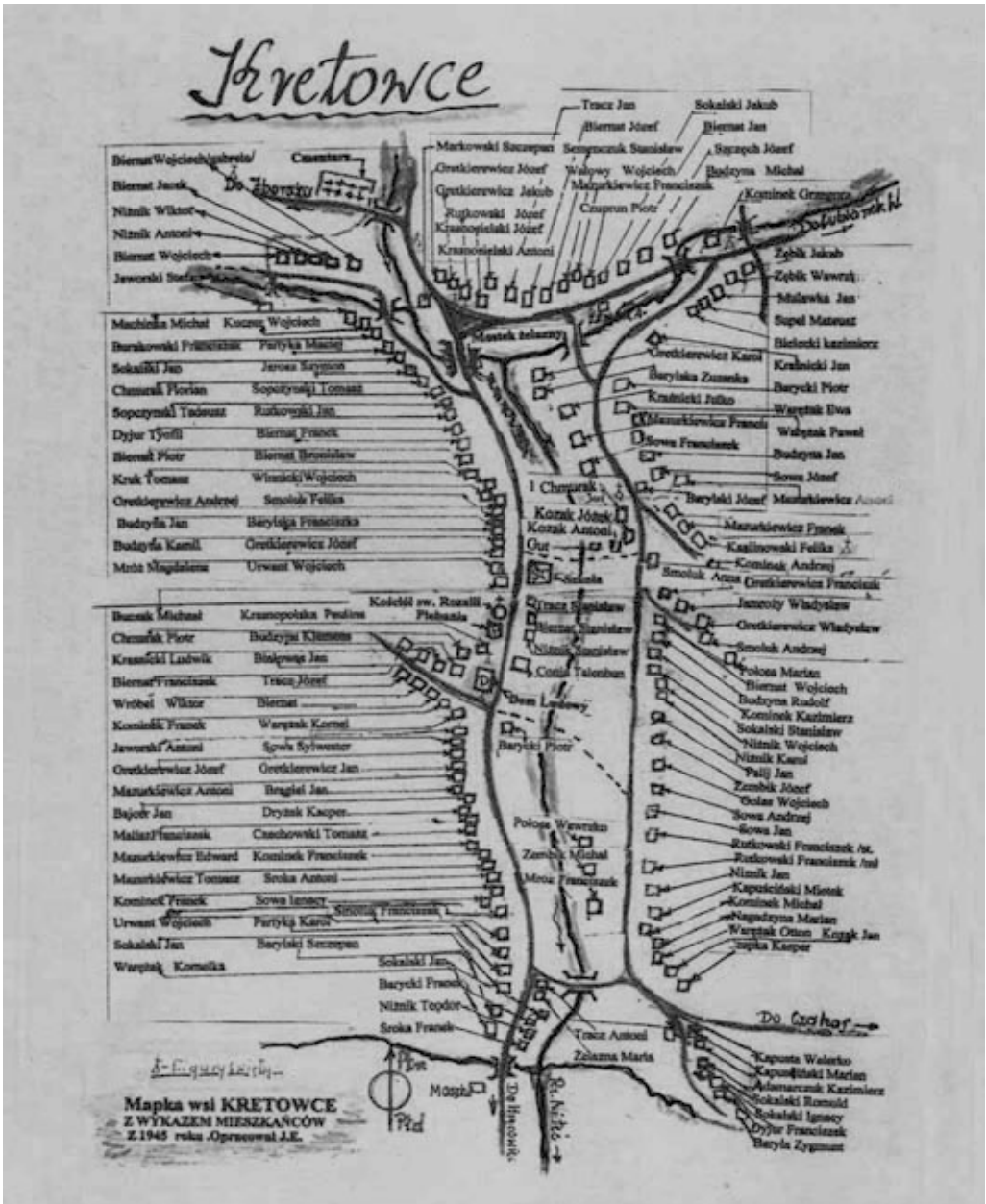
Źródło: <http://www.stowarzyszenieuozun.wroclaw.pl/zbaraz>

Lp.	Nazwa miejscowości	Ilość				
		zamordowanych	ustalonych nazwisk	rannych	wypędzonych (wysiedlonych)	opuszczonych, spalonych zagród
1.	Bazarzyńce	20	–	–	211	49
2.	Berezowica Mała	138	107	20	566	128
3.	Czahary Zbaraskie	20	20	–	470	102
4.	Dobromirka	25	16	–	106	30
5.	Dobrowody	15	15	–	571	108
6.	Hnilice Wielkie	52	6	–	627	106
7.	Holoszyńce	15	–	–	82	22
8.	Hrycowce	9	–	–	574	137
9.	Jacowce	8	–	–	463	107
10.	Kapuścińce	19	3	–	297	61
11.	Klebanówka	7	1	–	347	84
12.	Klimkowce	42	12	–	469	94
13.	Kobyla	4	4	–	1208	211
14.	Kozłaki	7	1	–	572	129
15.	Krasnosielce	1	1	–	112	24
16.	Kretowce	11	5	–	764	179
17.	Kujdańce	11	–	–	690	146
18.	Kurniki Iwaczańskie	18	10	–	421	85
19.	Lisieczyńce	5	–	–	53	11
20.	Łozówka	2	–	–	21	5
21.	Łubianki Niższe	15	–	–	115	24
22.	Łubianki Wyższe	30	28	–	314	78
23.	Maksymówka	34	23	–	2000	440
24.	Medyń	8	–	–	296	54
25.	Netreba	32	16	–	231	53
26.	Nowe Siolo	5	–	–	112	28
27.	Nowiki	5	–	–	148	30
28.	Nowy Rogowiec	11	11	–	168	28
29.	Obodówka	5	–	–	96	22
30.	Prasowce	10	10	–	228	49
31.	Romanowe Siolo	11	–	–	437	85
32.	Roznoszyńce	1	1	–	11	2
33.	Sieniachówka	32	5	–	149	36
34.	Sieniawa	26	12	–	804	202
35.	Skoryki	12	1	–	325	65
36.	Stryjówka	7	6	4	1130	239
37.	Szyty	5	4	–	48	11
38.	Tarasówka	2	2	–	238	45
39.	Terpiłówka	12	–	–	10	5
40.	Toki	22	11	1	313	65
41.	Zarudeczko	20	5	–	143	35
42.	Zbaraż	11	1	–	3083	514
43.	Zbaraż Stary	4	3	–	961	205
44.	Holodki	2	2	–		
	<b>Razem:</b>	<b>751</b>	<b>342</b>	<b>25</b>	<b>19984</b>	<b>4133</b>

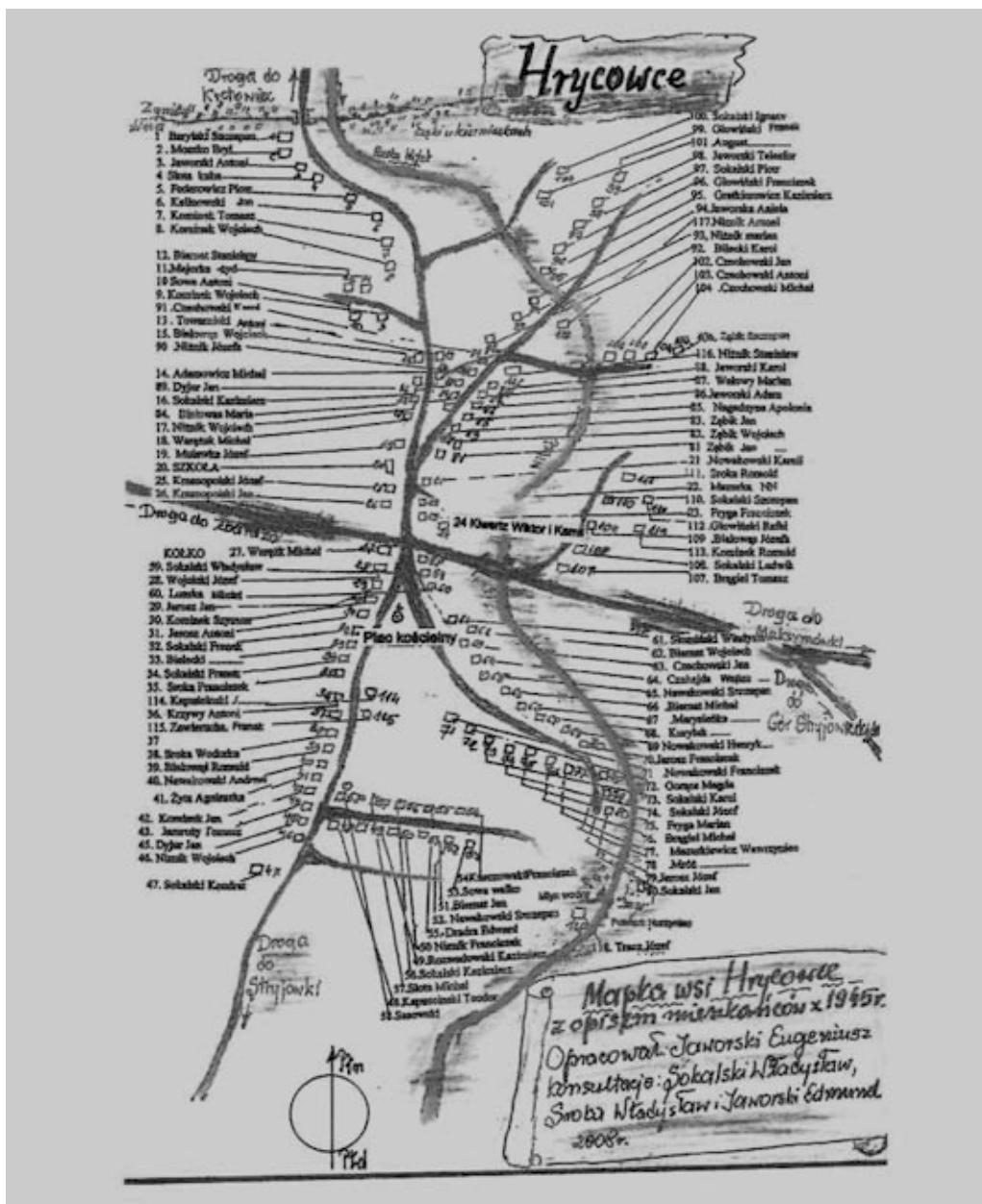


Plan Kretowice w powiecie Zbaraż przed 1945 r.

Opracowanie: Eugeniusz Jaworski

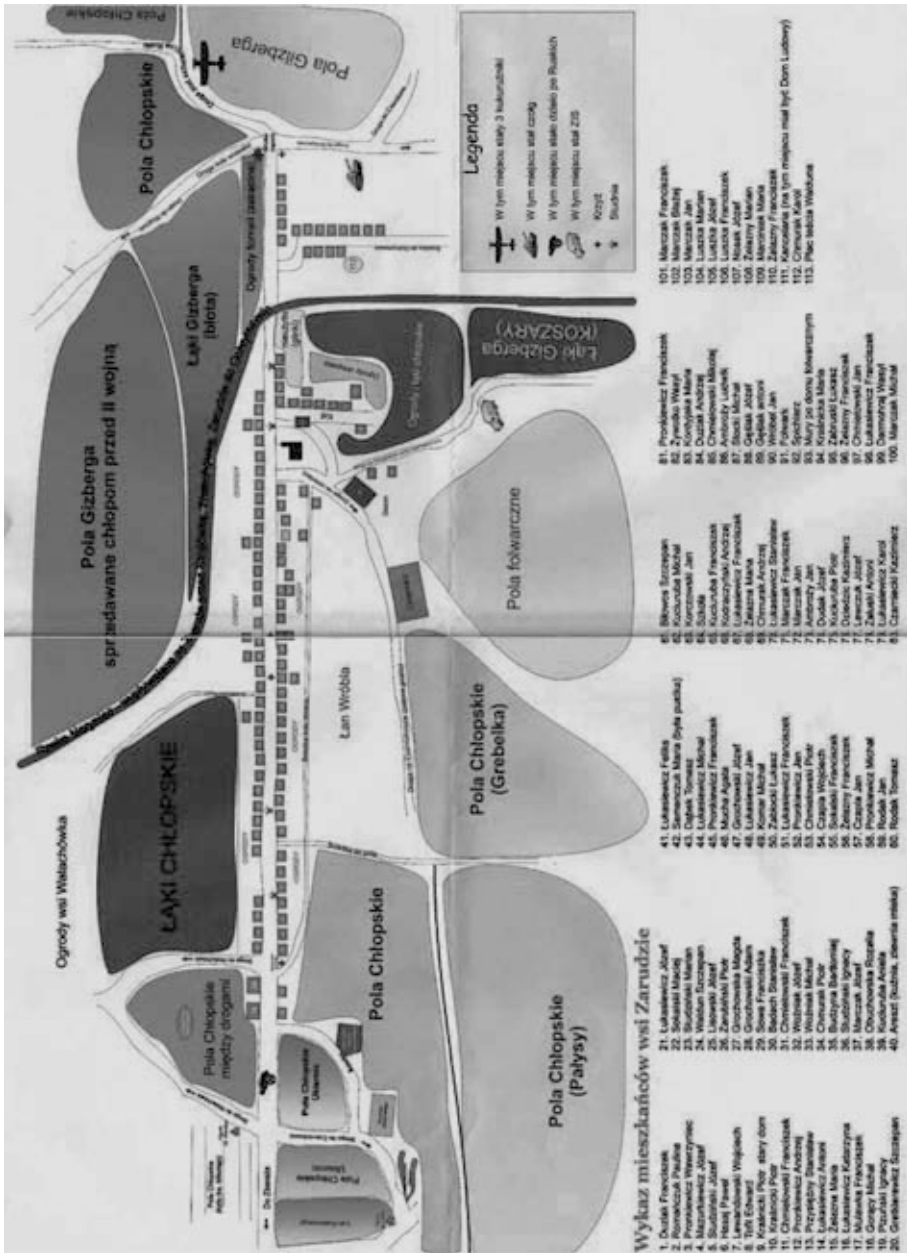


Plan Hrycowiec w powiecie Zbaraż przed 1945 r.  
Opracowanie: Eugeniusz Jaworski

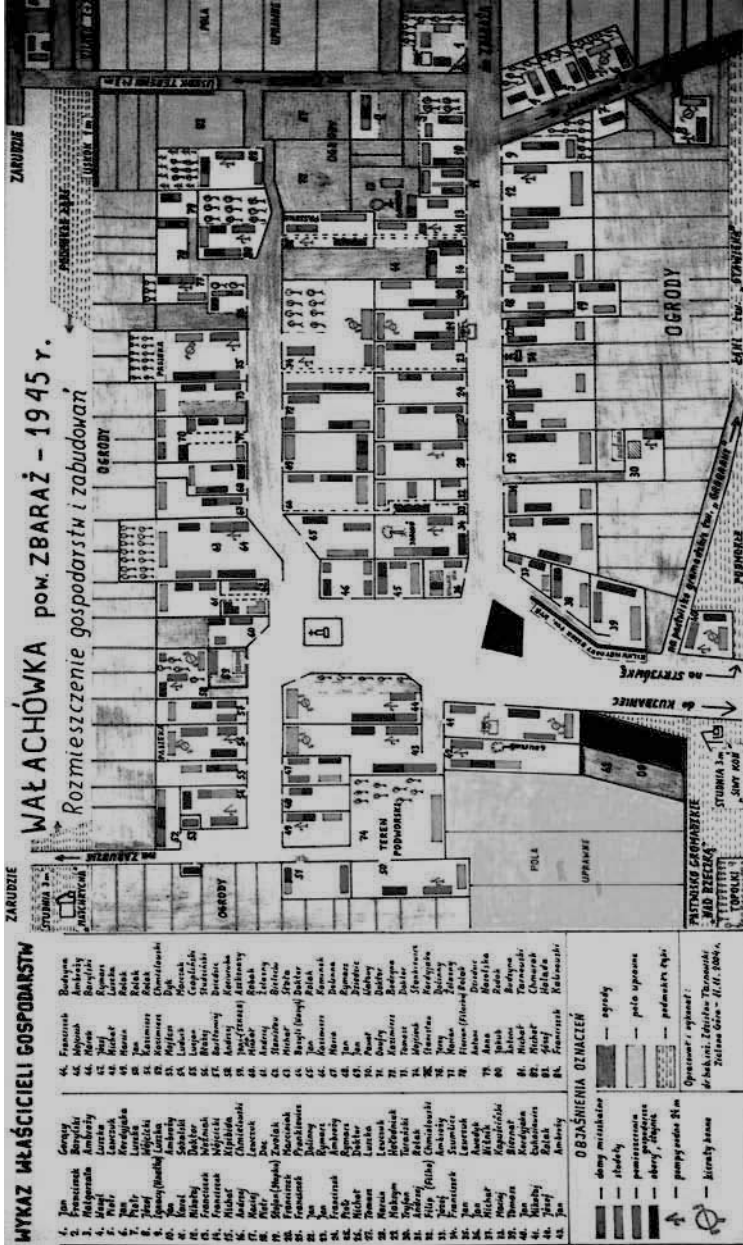


Plan Zarudzia w powiecie Zbaraż przed 1945 r.

Opracowanie: Eugeniusz Lisowski



Plan Wałachówki w powiecie Zbaraż przed 1945 r.  
Opracowanie: Zdzisław Tarnowski



## Lista mieszkańców ul. Długiej w Zbarażu przed 1945 r.

Opracowanie własne

		70 Dynowska	
		68 Skrót	
SKAŁA		+ 66 Dominik Szafranski	
		66 Tomków Józef	
		64 Tokar i Ciastoń	
		62 Klimeczuk	
		■ 60 Dąbek	
		58 Chrin	
		Buczyński 61	56 Franko Załuski
		Humeniuk 59	54 Klimeczuk
	OGRODY	Popowicz 57	52 Michałowski
		Franciszek Solski 55	50 Antoni Biernat
		Michał Biernat 53	48 Władysław Humeniuk
		Jawny 51	46 Dilaj
		Pruska 49	44 Józef Szafranski
		Gonta 47	42 Jan Andruszkiewicz
L		Andruszkiewicz 45	40 Semen Popowicz
A		Petro Humeniuk 43 ■	38 Ignacy Szustakowski
S		Hebanowska 41	36 Antoni Ornawka
K		Karol Bojarczuk 39	34 Czaplińska
I		Feliks Szustakowski 37	32 Dowhań
		Tomasz Szustakowski 35	+
		Ignacy Bojarczuk 33	30 Wojciech Kurajczuk
		Maciej Bojarczuk 31	■ 28 Ignacy Burakowski
		Ludwik Stankiewicz 29	26 Popowicz
		Ignacy Stankiewicz 27+	24 Berezycha
		Maryna Mandryk 25	20 Franciszek Stankiewicz
		Zamoroka 23	18 Wysoczan
		Dziedzie 21	16 Franciszek Garguliński
OGRODY		Terejan Szuber 19	14 Gardaszewska
		Hołodiuk 17 ■	12 Soroka
		Jędziorowska 15	10 Kiryk
		Iwaskiewicz 13	8 Jakub Stocki
		Wasyłkowski 11	6 Michał Gurakowski
		Jan Stankiewicz 9	4 Ludwik Szuber
		Lukasz Stankiewicz 7	2 Antoni Granatyr
		Pizuński 5	
		Słońska 3	
		Franciszek Kuryluk 1	
		+	



+ kaplice i figury przydrożne

■ studnie przydrożne



## Załącznik nr 9

Mieszkańcy Załuża Małego k. Zbaraża w czasie II wojny światowej.

Opracowanie: Stefania Komendat

- |  |   |
|--|---|
| 1. Granater Franek – Pol                                     | 20. Górgurewicz Stach (Jan) – Pol.                      |
| 2. Frydel ? – ?  | 21. Oleszczuk Anna – Ukr.                               |
| 3. Salamon Mikołaj – Ukr.                                    | 22. Oleszczuk Dymitruj – Ukr.<br>(żona Karolina – Pol.) |
| 4. ?   | 23. ?   |
| 5. Jagiełło Anna – Pol.                                      | 24. Traczuk ? – Ukr.                                    |
| 6. Adamowicz Iwan – Ukr.                                     | 25. Wituszyński Daniel – Ukr.                           |
| 7. Chrin Jaryna – Ukr.                                       | 26. Wojciechowska Stefania – Ukr.                       |
| 8. Wojtko ? – Pol.   | 27. Kyryk Roman – Ukr.                                  |
| 9. Komendat Wasyl – Ukr.<br>(żona Józefa Górgurewicz – Pol.) | 28. Szmigielski Oleksy – Ukr.                           |
| 10. Danilewicz Josef – Ukr.                                  | 29. ?   |
| 11. Danilewicz Iwan – Ukr.                                   | 30. Sass Franek – Pol. (żona – Ukr.)                    |
| 12. Sukar Taras – Ukr.                                       | 31. Szuba Marian – Ukr.                                 |
| 13. Jaremczuk – Ukr. (żona – Pol.)                           | 32. Górnik ? – Ukr.                                     |
| 14. Kowalczuk Petro – Ukr.<br>(żona – Pol.)                  | 33. Jędzierowska ? – Pol.                               |
| 15. Kowalczuk Stepan – Ukr.                                  | 34. Leńko ? – Ukr.                                      |
| 16. Hudyma Anna – Ukr.                                       | 35. Burakowska ? – Pol.                                 |
| 17. Hudyma Mikoła – Ukr.                                     | 36. Zalwowska ? – Pol.                                  |
| 18. Adamowicz Włodzimierz – Ukr.                             | 37. Berezowska ? – Pol.                                 |
| 19. Górgurewicz Michał – Pol.                                | 38. Partyka ? – ?                                       |
|  | 39. Juszczyszyn Olga – Ukr.                             |

## Mieszkańcy Ustronia i Żeliszowa po wojnie w 1945 r.

Opracowanie: Jadwiga Biernat-Szpunarowa i Helena ze Szpunarów-Szustakowska


- Adamarczuk Jan – Maksymówka
- Adamarczuk Piotr – Maksymówka
- Adamowicz Anna – Czahary Załuskie
- Ambroży Fryderyk – Maksymówka
- Ambroży Wiktor – Czahary Kretowieckie
- Artymowicz Jan – Czahary Zbaraskie
- Artymowicz Konstanty – Koryłówka
- Białowąż Stefan – Czahary Zbaraskie
- Biernat Jadwiga – Czahary Zbaraskie
- Boczar Jan – Czahary Starozbaraskie
- Budzyna Józef – Góry Stryjowieckie
- Ciastoń Franciszek – Maksymówka
- Ciastoń Józef – Maksymówka
- Ciastoń Stanisław – Maksymówka
- Czerkas Józef – Czahary Starozbaraskie
- Czóprun Władysław  
– Czahary Kretowieckie
- Czyryk Jan – Góry Stryjowieckie
- Dobrzański Stanisław – Maksymówka
- Dobrzański Stanisław  
– Czahary Kretowieckie
- Drobnicki Piotr – Koryłówka
- Domański Franciszek – Jacowce
- Dyjur Franciszek  
– Czahary Starozbaraskie
- Ganowski Piotr – Czahary Starozbaraskie
- Garguliński Paweł – Czahary Zbaraskie
- Garguliński Wawrzyniec  
– Czahary Załuskie
- Głowińska Zofia – Czahary Zbaraskie
- Górecka Józefa – Koryłówka
- Grabowy Roman – Czahary Kretowieckie
- Grabowy Tomasz – Góry Stryjowieckie
- Grajczyk Franciszek  
– Czahary Starozbaraskie
- Gugulski Edmund – Czahary Zbaraskie
- Huska Maria – Maksymówka
- Jaworski Grzegorz  
– Czahary Starozbaraskie
- Kaprawy – Maksymówka
- Klepacz Jan – Maksymówka
- Klepacz Michał – Maksymówka
- Kominek Delfina – Góry Stryjowieckie
- Korczowski Franciszek  
– Czahary Załuskie
- Koryluk Piotr – Czahary Zbaraskie
- Kraśnicki Władysław – Stryjówka
- Kruk Szczepan – Czahary Kretowieckie
- Krzystyniak Michał – Maksymówka
- Krzyżanowski Franciszek  
– Czahary Kretowieckie
- Krzyżanowski Jan – Maksymówka
- Krzyżanowski Józef  
– Góry Stryjowieckie
- Krzyżanowski Józef – Czahary Zbaraskie
- Kułag Jan – Sądowa Wisznia, Bieszczady
- Kuśnierz Jan – Czahary Starozbaraskie
- Kuźniar Rudolf – Gródek, Wołyń
- Leśniowski Michał  
– Czahary Starozbaraskie
- Lipnicki Adolf – Czahary Załuskie
- Lis Michał – Białoruś ?
- Lisowski Jan – Maksymówka
- Łukasiewicz Andrzej – Maksymówka
- Masłoń i Witkowski – Białoruś
- Mazurkiewicz Leon – Czahary Załuskie
- Mazurkiewicz Stanisław – Maksymówka
- Mielnik Elżbieta – Maksymówka
- Miśków Helena – Góry Stryjowieckie
- Mucha Stanisław – Żywiec
- Myślicki Jan – Góry Stryjowieckie
- Obszarski Michał – Czahary Załuskie

- Osadczyk – Białoruś
- Osowicz Jan – Maksymówka
- Paliniewicz Bronisław  
– Czahary Załuskie
- Paliniewicz Fryderyk – Czahary Załuskie
- Paliniewicz Jan – Czahary Kretowieckie
- Paliniewicz Mikołaj – Czahary Załuskie
- Paternakowa Ludwika  
– Czahary Starozbaraskie
- Pasternakowa Zofia – Maksymówka
- Piotrowski – Kujawy
- Raziuk Piotr – Czahary Starozbaraskie
- Robak Stefania – Czahary Kretowieckie
- Romaniszyn Maria – Maksymówka
- Różański – Kujawy
- Rutkowski Franciszek – Kretowce
- Rutkowski Szymon – Czahary Załuskie
- Sagan – Czahary Kretowieckie
- Sankowski – Polesie
- Sas Władysław – Zbaraż
- Sokół Antoni – Góry Stryjowieckie
- Sokół Jan – Góry Stryjowieckie
- Sokół Paweł – Maksymówka
- Sowa Michał – Czahary Załuskie
- Stachów Karolina  
– Czahary Starozbaraskie
- Stawinoga Mikołaj  
– Czahary Starozbaraskie
- Szafował Bartłomiej – Koryłówka
- Szmyrnik Michał – Białoruś
- Szpunar Franciszek  
– Czahary Starozbaraskie
- Szpunar Jan – Czahary Zbaraskie
- Szpunar Józef – Czahary Zbaraskie
- Szpunar Stanisław  
– Czahary Starozbaraskie
- Szpunar Tadeusz  
– Czahary Starozbaraskie
- Szumlicz Franciszek – Maksymówka
- Szumlicz Wiktoria – Maksymówka
- Szustakowski Tomasz – Zbaraż
- Tokarczuk Jan – Czahary Zbaraskie
- Tomczak – Kujawy
- Warężak Jan – Czahary Starozbaraskie
- Wojciechowska Maria  
– Czahary Starozbaraskie
- Wojciechowski – Maksymówka
- Wojtowicz – Polesie
- Wujcicki Michał – Czahary Załuskie
- Zarzycki Michał – Czahary Załuskie
- Zawadzki – ?
- Zawierucha Antoni – Maksymówka
- Zembik Franciszek – Czahary Załuskie
- Zieliński Adolf – Czahary ?
- Żabski Władysław – Klebanówka
- Żelazna Katarzyna – Zarudzie
- Żelazny Jan – Czahary Załuskie
- Żuk Bazyli – Koryłówka

Opis mienia pozostawionego w Zbarażu przez Tomasza Szustakowskiego w 1946 r.  
Archiwum Państwowe w Tarnopolu, 2007 r.

001456

УКРАЇНА  
 ТЕРНОПІЛЬСЬКА ОБЛАСНА ДЕРЖАВНА  
 АДМІНІСТРАЦІЯ  
**ДЕРЖАВНИЙ АРХІВ**  
 ТЕРНОПІЛЬСЬКОЇ ОБЛАСТІ  
 46000, м. Тернопіль, вул. Сагайдачного, 14  
 тел. (0352) 22 4495, факс (0352) 52 2618  
 dato-dogd@ukr.net



UKRAINE  
 TERNOPIIL REGIONAL STATE  
 ADMINISTRATION  
**STATE ARCHIVES**  
 TERNOPIIL REGION  
 46000, Ternopil, 14, Sahaidachny St.  
 Phone: (0352) 22 4495, fax: (0352) 52 2618  
 dato-dogd@ukr.net

21.09.07 № Ш/8

На № \_\_\_\_\_

АРХІВНА ДОВІДКА


Гр. Шустаківскі Томашу Ант. /так в документі/, який проживав в 1945 році в м. Збараж, по вул. Довга, 35 /К.Маркса, 35/ і до евакуації в Польщу йому належало нерухоме майно:

- житлова будівля /хата/, 1890 року побудови, 110 м<sup>2</sup>, глина під соломом,
- комора, 120 м<sup>2</sup>, кам. під бляхом, 1939 р. побудови,
- склад, 224 м<sup>2</sup>, глина під соломом, 1908 р. побудови,
- корбник, 5 м<sup>2</sup> дерев., 1929 р. побудови,
- шпиклір, 42 м<sup>2</sup>, глина під соломом, 1894 р. побудови.

Всього землі 4,60 га, в тому числі орної - 4,60 га.  
Посіяно озимих під урожай 1945 року - 1,25 га, пшениці - 0,60 га,  
жита - 0,65 га.

Підстава: довідка №121 від 17.09.2007р. архівного відділу  
Збараської райдержадміністрації.

Директор



Б. Хаварівський

Akt nadania gospodarstwa Tomaszowi Szustakowskiemu, 1960 r.



**RZECZPOSPOLITA POLSKA**  
**MINISTERSTWO ROLNICTWA**

**AKT NADANIA**

Nr **234880** \*

Na podstawie art. 5 i 10 dekretu z dnia 6 września 1951 r., o ochronie i uregulowaniu własności osadniczych gospodarstw chłopskich na obszarze Ziemi Odzyskanych (Dz. U. R. P. Nr 46, poz. 340)

Powiatowa Komisja Ziemia w WONKOWIE.

n a d a n i e:

ob. Szustakowski Tomasz Antoniego  
ur. 9 (imię i nazwisko) dnia 13 (dzień i miesiąc) r. 1894 w Sioróg

(miejsce urodzenia, gmina, powiat, województwo)

gospodarstwo — działkę Wieliszów, gm. Kmiecin  
(nazwa nieruchomości, oraz powiat, gmina, powiat, województwo)  
pow. Włoszczowski, hrabstwo Krasicki

obejmujące(s): ok 749 ha

1. grunty (rodzaj i powierzchnia w ha):

2. budynki: dom u boro słodkiej sępa

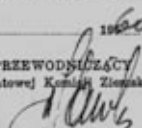
3. inwentarz żywy:

4. inwentarz martwy: Kosienka pług, bronie  
Aut. tyrolski

Niniejszym aktem poświadczam, że nadane gospodarstwo — działka stanowi własność osoby w tym akcie wymienionej.

WONKOWIE dnia 25 r. 1960

CZŁONKOWIE  
 Powiatowej Komisji Ziemiakiej  


 M. P.  
 PRZEWODNICZĄCY  
 Powiatowej Komisji Ziemiakiej  


**STARE ZIEMIE PIĄSTOWSKIE**  
**WRÓCIŁY DO MACIERZY**

Świadectwo z I klasy szkoły podstawowej w Zbarażu, 1942 r.

**GENERALGOUVERNEMENT**

*Sieben*-klassige polnische Volksschule Nr. \_\_\_\_\_  
-klasowa polska szkoła powszechna

in *Zbaraz* Kreis *Tarnopol.*  
w powiat

Nr. *41.* Schuljahr *1941/42.*  
Rok szkolny

**BESCHEINIGUNG  
ZAŚWIADCZENIE**

*Mieczysław Brustakowski*

geboren am *2 April* 19*34* in *Zbaraz*  
urodzony dnia *kwiecień* w

Kreis *Tarnopol* Konfession *römisch-kat.*  
powiat wyznania *rzymsko-kat.*

Schüler(in) der ersten Klasse im Schuljahr *1941/42*  
uczeń klasy pierwszej w roku szkolnym

wird in die zweite Klasse versetzt.  
zostaje promowany do klasy drugiej.

*Zbaraz* den *30 Juni* 19*42.*  
dnia

*B. Bilasiewicz* *L. Kucuk*  
Klassenlehrer(in) Schulleiter(in)  
Opiekun(ka) klasy Kierownik(iczka) szkoły

GENERALGOUVERNEMENT  
**POLNISCHE VOLKSSCHULE**  
in Zbaraz, Kreis Tarnopol (Lemberg)  
Eigel  
GENERALVEKSTERSKISKO  
**POLSKA** WILNA

Staatsdruckerei Warschau — Nr. 96619-42. Sign. V. 3

## Załącznik nr 14

Świadectwo ukończenia klasy IIIA szkoły podstawowej w Zbarażu, 1945 r.

Народний Комісаріат Осві и УРСР

**КАРТКА**

про Успішність, поведінку  
та відвідування

учня \_\_\_\_\_ класу за 1944-45 навч. рік  
учениці \_\_\_\_\_

*Мухомовські*  
(прізвище учня)

*Михайло Михайлович*  
(ім'я та по батькові)

*Дитяче - середня* школа  
(початкова, неповна середня, середня)

№ *34 з початкової дитячої школи*

місто, село *Збараж*

район *Збарашський*

область *Житомирська*

[ Учень, повертає картку у перший день наступної  
чверті навчального року

